S. F. Stomina

2078

PODANIA LITEWSKIE.

SERYA TRZECIA.

PUSTELNIK
W PRONIUNACH.

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH.

PRZEZ

Ignacego Chodźkę,

Autora Obrazów Litewskich.

Chodźko Ignacy

PODANIA LITEWSKIE.

Serya Trzecia.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1858.

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury, prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 14 Kwietnia 1858 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

PANU JÓZEFOWI KRASZEWSKIEMU.

Dla drogich ziomków pracujący szczérze,
Zwiększajmy zasób naszéj dla nich składki,
Więc we wzajemnéj méj dla Cię ofierze
Przyjm Pustelnika do Bożéj Czeladki (1).

(1) P. Józef Kraszewski przypisał powieść swoją pod tytułem: Boża Czeladka, Autorowi Pustelnika.



195293

PUSTELNIK W PRONIUNACH [1].

Część Piérwsza.

I.

Obierz jakąkolwiek jałową i pustą okolicę, któréjby natura wszelkich odmówiła ozdób, przez którą z tęsknotą i nudą wlekący się podróżny, próżno ociężałą źrenicą upatruje przedmiotu, mogą-

(1) Miejsce na trakcie wileńskim, tak nazwanym Czarnym— tamże kaplica i niegdyś mieszkanie pustelników.

cego zająć go i rozerwać, po któréj wiatr nawet, podnosząc tumany piasku, nie ma gdzie ich osadzić, i karłowate tylko a zeschłe drzewka lub zwiędłą zasypuje trawkę. Chcesżże smutną i ponurą barwę téj okolicy zmienić? wesołéj z niéj uczynić nie potrafisz; ale chcesżże ją zrobić interesującą? postaw wśród niéj domek boży — *kapliczkę*. Wnet, jak religijną myślą, czcze, płonne i obojętne życie, tak religijnym przybytkiem jałową pustynię ożywisz, i smętnym ją, ale miłym urokiem całą oblejesz. Wnet obok niéj stanie wiejski krzyżyk nad wiejską mogiłą, i osłoni ją brzozka zwisłemi ku ziemi gałązkami, z trudem w suchy piasek zasadzona, ale łzami żalu całéj może ubogiéj rodziny ożywiana. Wnet od kapliczki rozpierzchną się na wszystkie strony ścieżki wydeptane kaleką stopą żebraków, a wkrótce i wązka kołowinka zawróci się od gościńca;

ślad, po którym jak magnesem przyciągany będzie najprzód ludek prosty ku ubożuchnemu ołtarzowi, nim potém pańska złocona kareta, z pokorną modlitwą i bogatemi dary przedeń zajedzie... Och! bo i narodzonemu na świat Zbawicielowi, w przód pastuszkowie złożyli pokłony, a potém królowie złoto.

Bóg też często opromienia łaską swą takienizkie i skromne swe domki. Wkrótce rozsławiają się cudowne doznane tam ulgi w chorobach, uzdrowienia w kalectwach, folgi i pociechy w smutkach i z martwieniach; zatém postanawiają się dnie uroczyste, w których mnoga i z dalekich stron płynąca ludność napełnia i ożywia tę niedawną pustynię, a wjeżdżający teraz do niéj podróżny, rano czy wieczorem, srebrnym dźwiękiem sygnaturki powitany, powstrzyma konie, gdzie je wprzód naglił do biegu, i z miłą rozkoszą w duszy

poranną lub wieczorną odmówiwszy modlitewkę, z pokrzepioną nadzieją do swego celu podąży.

Pan Chojecki.

Taką jest okolica *Pronium;* rozlega się ona przy gościńcu, tak zwanym *czarnym*, do Wilna wiodącym. Las to był niegdyś, ale z czasem wycięty, nie odrósł na piasczystéj i nieurodzajnéj ziemi. Dziś, na wzgórzach, czarnym i suchym mchem powleczonych, gdzie niegdzie krzak jałowcu lub sosenka krzywa i kaleka, lub pień stary i spruchniały, dają się domyślać przeszłości, a smuciłyby i zachmurzały teraźniejszość; lecz na jednym z wyższych pagórków stoi *kapliczka.* Stare jéj i wątłe ściany, podmurowała i wsparła pobożnych sąsiadów ręka i nowym ją okryła dachem, pod którym wewnątrz, objawione w wizerunku Chrystusa, szczególniejsze

dobrodziejstwa i łaski, gromadzą prawie każdodziennie tłumy wiernych, a skromnemi ich ofiarami utrzymuje się nabożeństwo i ubogie stroją się ołtarze.

W jednym dniu takim, przejeżdżającego mnie tamtędy do Wilna, zatrzymał niespodziewany tuż obok drogi widok nagromadzonych przed kaplicą pojazdów i klęczącego w około ludu, nie mogącego zmieścić się we środku; ujrzałem więc nabożeństwo w tych samych ścianach, które nieraz i oddawna widywałem i pomijałem, jako stojące pustkami, na zabobonne chyba tylko obrzędy *Dziadów* służyć mogącemi.

Wcisnąłem się więc do kaplicy, msza właśnie wychodziła: przed kapłanem szli służyć do niéj, starzec trzęsący bez przerwy osiwiałą głową i mały chłopczyk, z twarzą piękną dziecinną.

Prawnuk z pradziadem, szepnął ktoś

blizko. A więc dwa końce wieku ludzkiego łączyły się u stopni ołtarza... Widok ten, jak uważać mogłem po rzucanych spójrzeniach, zajmował obecnych... może zagrzewał ich modły; może myślą z młodzieńczéj na zgrzybiałą przechodząc głowę, własną przeszłość i własne przebiegali nadzieje, jedną i drugą, tém czuléj i rzewniéj ofiarując Temu, który *przeszłość* człowieka litościwie sądzi, *przyszłość* cnotliwie żądaną błogosławi.

Mnie także widok ten wzruszył: niewiedziałem na którego z nich miejscu być bym wolał— zazdrościłem obudwom: *prawnukowi* dni dziecinnych. Oh! któżby do nich wrócić nie chciał! a gdy to niepodobna... *pradziadowi*, że prawnuka uczyć jeszcze może chwały boskiéj, i osobiście go, że tak powiem, za rękę *rekomendować* i polecić Bogu.

W czasie mszy, starzec po kilka razy

wstawał z klęczków, ucierał świece, porządkował składane na ołtarzach bochenki chleba, ustawiał bractwo, słowem gospodarzył w kościołku; a chłopczyk sam jeden rzeźwo głośno i rezolutnie odpowiadał księdzu i usługiwał do mszy. Gdy się ona ukończyła i kapłan przeżegnawszy lud odszedł do malutkiéj zakrystyjki, staruszek ukląkł na stopniach ołtarza, i drżącym ale silnym głosem »*Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny!* zaśpiewał,— wszyscy z podwójną zda się gorliwością za tą jego intonacyą całą suplikacyę odśpiewali, a starzec ukończywszy oną, pociągnął za sznurek, firanki się przed figurą Chrystusa zasunęły, a on świece pogasił.

Po nabożeństwie, wielu z dostojniéjszego zgromadzenia, kobiéty zwłaszcza, uprzejmie otoczyły starca; witały go, dziękowały za porządne utrzymanie ka-

plicy i składały różne ofiary i ozdoby na jego ręce: to firanki, to pięknie szyte poduszki, to kwiaty misternéj roboty, a staruszek przyjmując wszystko, kiwał głową bezustannie tak, że dolegliwość jego zdawała się być razem i podzięka i utwierdzeniem dających w dobrych ku chwale boskiéj intencyach. Odniósł on to wszystko do zakrystyi i pochował w szufladkach, a chleb ofiarny bochenkami między licznych żebraków rozdzielił.

Ja oczekiwałem aż się wszyscy rozeszli i natenczas ciekawą ze staruszkiem zabrałem znajomość.

—Jegomość dobrodziéj—rzekłem—jesteś tu widzę gospodarzem.

—Pan Jezus tu Mości dobrodzeju gospodarzem odpowiedział on—a Matka jego Najświętsza gospodynią; ja stary i nie-

godny ich sługa zamiatam tylko ich progi.

Pamiętałem ja, że niegdyś w *Proniunach*, nieodlegle od kościołka mieszkał pustelnik, lecz że oddawna już go nie było, wpadłem więc na domysł, że razem ze dźwignieniem i opatrzeniem kapliczki, znalazł się i pustelnik.

—Zapewne—rzekłem zatem—jesteś ojcze (bo mu się to nazwanie właściwie należało) pustelnikiem na miejscu dawniéj tu przebywającego?— ale się wnet postrzegłem, bo prawnuk biegający w około domysł mój niweczył. Jakoż rzekł on:

— Nie, Mości dobrodzieju; już i śladu pustelni tu niema, a na świecie mało ochoczych do pustelniczego życia; ja mam żonę starą, dzieci, wnuków i prawnuków; trochę więc byłoby i ludno i głodno w naszéj pustelni, gdyby z taką gromadką spuścić się na miłosierdzie ludzkie przyszło. Jestem Mości dobrodziejú szlachcic blizko tu mie-

szkający, na własnym kawałku ziemi, *Antoni Chojecki*, do usług pańskich, a postanowiłem być zakrystyanem tego domu Bożego, którego mój dziad rodzoniuteńki był fundatorem.

Dziad fundatorem a wnuk *zakrystyanem* (1) w tym samym kościołku—pomyśliłem, i zdziwiony zapytałem:—Przez jakie to zdarzenie ta zmiana w losie waszym zajść mogła?

—Oho Mości dobrodzieju! to nie w téj zakrystyjce rozpowiedzieć. Pan musisz być podróżnym i dalekim, gdy nie znasz starego trzęsigłowę *Chojeckiego* (2), który trzecie pokolenie sąsiadów swoich pohodował, i trzech pustelników przebył w *Proniunach*.

— Jakto? alboż tu ich trzech było?— zapytałem.

---

(1) Prawdziwe.

(2) Umarł dopiero w roku zaprzeszłym.

— Trzech Mości dobrodzieju i dziad, mój zafundowawszy tę kapliczkę, zbudował razem i domek dla jakiegokolwiek starca lub kaleki, któryby ją codziennie pilnował, ale nim się taki znalazł, tymczasem zdarzył się gość, który z inném powołaniem, a z lepszą nad kapliczką pilnością, zajął w tym domku gospodę. Był to piérwszy pustelnik, którego ja ledwo pamiętam, bom był dzieckiem, gdy on umarł i pochował go ojciec mój, podług jego woli, pod progiem kaplicy; bo przez pokorę świętą chciał on aby go i po śmierci deptano (1). Ale Mości dobrodzieju, kłaniam uniżenie; bo i panu może być pil-

(1) Ile razy zdarzy się komu u wejścia do kościoła wstąpić na kamień grobowy, może być pewnym, że taka właśnie pokora chrześcijańska umierającego wybrała mu to miejsce wiecznego spoczynku; w dawnych testamentach nieraz doczytałem się takiéj woli umierającego.

no, i ja moją robotę tu skończyłem... a barszcz albowiem...

Pilno mi było, to prawda; ale jeszcze pilniej się zachciało dłuższéj z roztropnym i rozmównym starcem gadaniny którą interessowną być przewidywałem.

— Wiesz co, kochany panie Chojecki?— rzekłem zatém dostając zegarka; — godzina dopiéro jedynasta, barszcz nie uciecze, a proszę jegomościa dobrodzieja na podróżną przekąskę,

— Z kimże mam honor? — zapytał stary prostując się poważnie, i wpatrując się we mnie pilnie.

Lecz gdym moje powiedział nazwisko, uścisnął mię, i rozliczać zaczął, jakby z drzewa genealogicznego, moich antenatów Oszmiańczuków, i w prostéj linii i w ubocznych, z taką wiadomością i prawdą, jakby sam do naszéj rodziny nale-

żał; znajomość więc nasza stała się w jednéj chwili lepszą i ściślejszą.

Zgodził się zatém na mą propozycyę staruszek, i wyszliśmy z kaplicy, którą zamykając — czytajże jegomość — rzekł mi, i wskazał na plitę kamienną pod progiem.

Wysylabizowałem zaledwo znaczne, niezręczną kiedyś ręką wykute litery:

» *Tu leży Daniel — prosi o Anielskie Pozdrowienie.*«

— Cóż to? nie ma nazwiska, ni daty śmierci — zapytałem zdziwiony.

— To nic — rzekł, Chojecki — to nic; jegomość zmów dla tego modlitewkę, o którą on prosi, a tam już aniołowie święci rozbiorą do którego *Daniela* to należy.

Data śmierci, Mości dobrodzieju na nic tam umarłemu niepotrzebna; wszak Pan Bóg wie, kiedy człowieka do chwały swojéj przyjmuje; prócz tego, nazwiska tu

kłaść nie można było, bo on go nie miał.

— A toż jak? — rzekłem i patrzałem w oczy starcowi.

— Cóż, to dziwne? a jednak prawdziwe, — mówił on — i zdziwisz się jegomość jeszcze bardziéj gdy powiem, że to był ze szlachcica *pan*, a z pana *pustelnik* i bez nazwiska.

— Więc jego historyę wiesz, panie Chojecki?

— A wiem piąte przez dziesiąte, bo mój ojciec po jego śmierci rozpowiadał o nim.

— Mógłbyś mi to opowiedzieć?

— Czemu nie! ale na to trzeba czasu; mógłbym nawet jegomości otworzyć cały kałamarzyk papierów i mantyków po nim pozostałych, kiedy ich szczury nie pogryzły; wala się to gdzieś u mnie w spichrzu, razem z mojemi fascykułami; musi tam być cała jego historya. Drugiego, Mości dobrodzieju pustelnika jakoby,

znałem dobrze, bo on tu był za moich młodych czasów; ale przemieszkiwał tylko lat trzy, wypełniając zadane mu *votum pokutne*, jak się o tém później od niego dowiedziałem; a był to także *pan* z panów, nazywał się *Załuski* (1), ale przez ten czas, który tu przepędził, był pustelnikiem doprawdy, pustelnikiem *albowiem!* Młody tu się zjawił, i dziwiłem się powołaniu jego w tym wieku, nie widząc przyczyny; ale jaki to był świętobliwy! jaki nabożny! jaki miłosierny! Wszystek grosz, który się w karbonce jego pustelniczéj znalazł z elemozyny, rozdawał ubogim: nawet chlebem składanym mu dzielił się z niemi tak, że często i on sami wierny stróż jego, a towarzysz wyżeł *Walet*, obadwa głodem marli; i już to był znak, że w pustelni nie było chleba, gdy dnia

(1) Prawdziwe.

którego przybył do nas *Walet*, i łasił się prosząc pożywienia, a zatém moja imość niosła bułeczkę, i kładła tam podedrzwiami na zedelku, gdzie mu zwykle chleb i niejakie wiktuały składano. Wiedział on o tych poselstwach do nas swojego sługi i wdzięcznym nam był za to. Może za te bułeczki, Mości dobrodzieju, i teraz nam się chleba nie urywa, choć chleboradów przybyło; a zresztą i on potém nie zapominał o nas; niech mu Bóg daje królestwo niebieskie, bo już dawno umarł... Był to Mości dobrodzieju człowiek mądry przytém; ale tego nikt dociec nie mógł, zważając na jego prostotę i pokorę; my tylko, których, częściéj z łaski swojéj odwiedzał, mogliśmy o tém zmiarkować. Często też znajdowałem go wieczorami czytającego przy lampce pobożne książki, których ze Słobockiego klasztoru dostawał, lub coś tam sobie pisza-

cego; zagrezmolone arkusze rzucał potém w piec. Ale kilkakrotnie żonie mojéj, krzątającéj się około wielkanocnego święconego i starającéj się papieru pod pierogi, dał kilka takich pomazanych arkuszy, a ona uchowała je jak relikwie na pamiątkę; jednakże kto wie czy te relikwije znalazły by się, boć to już bardzo dawno było, Mości dobrodzieju.

Z trzecim, panem *Jakóbem Jurszą*, żyliśmy *brat* za *brat*, więc jego żywot wszelakiego rodzaju i pustelniczy i światowy, bo jeden z drugim przemieszywał czasami, wiem lepiéj; a chociaż pobożność jego była wcale inną od tamtych, niemniéj jednak była szczerą i prawdziwą. Wiesz jegomość, jak chłop nieumiejący pacierza modlił się: »*to tobie Boże—to mnie Boże*«— mówił skacząc przez kłodę, a toć coś nakształt tego było i z panem *Jurszą*, po prostu ale gorliwie; był jednak piśmien-

ny i kantyczek z rąk nie wypuczał, znał wszystkie festa najdokładniéj i do nabożeństwa napędzał bez żartów; a chociaż skończył bogobojnie i po chrześcijańsku, jednak i po śmierci junaczył się po trosze.

Tymczasem stanęliśmy u mojego wozu, lecz ja z téj krótkiéj wzmianki o pustelnikach ułożyłem już sobie projekt: ciekawość mię wzięła do tych sszpargałów, jak je nazywał Chojecki; a nuż się z nich wysnuje historya tych tajemniczych ludzi!

Gdy więc podróżna jedna i druga czareczka gdańskiego kimmellu, który stanowił główną treść moich podróżnych zapasów, zrazem pieczeni zakąszona, zarumieniły lica staruszka — *wódeczka, albowiem!* — rzekł on; a ja korzystając z jego humoru dobrego,— wiesz co panie Chojecki dobrodzieju—rzekłem,—rad jestem bardzo ze znajomości z panem; znałeś mojego dziada i ojca, nie dziw więc, że wnuk

pragnie ściślejszéj z panem przyjaźni. Pozwól zatém, że się do państwa na obiad zaproszę; podróż moja nie tak pilna, abym kilku godzin nie mógł poświęcić tak miłemu, jakie z panem znajduję towarzystwu i jeżeli to nie zrobi obójgu Ichmościom subjekcyi...

Starzec się wyprostował, i poważną przybrawszy minę:—jeżeli—rzekł,—jegomość dobrodziéj chcesz mi ten honor uczynić, z całego serca rad będę. Dziad mój i ojciec jeszcze miałby czém przyjąć tak godnego gościa, i w malowanych ścianach; ja zaś przyjmę jegomości dobrodzieja w ubożuchnéj chacie i chudo-pacholskim chlebem; ależ przecie, Bogu dzięki, przy pracy głodu nie cierpim, i pan głodnym nie będziesz, kiedy ubogim kęsem nie wzgardzisz.

Uścisnąłem zacnego starca, i po jednéj

jeszcze czareczce, puściliśmy się do bliskiego tuż za borem zaścianku.

Na wrotach domostwa tego należałoby napisać to dawne szlacheckiego mienia godło: »*Ubogo*, ale *chędogo*,« które i zewnątrz i wewnątrz stosownem by tu było.

Mały strumień tuż pod wrotami przecinał drogę, i sączył się daléj po łące, na któréj kilka krówek pasło się swobodnie między kopkami świeżego sianka, wiejącego miłą i orzeźwiającą woń wiejską na nas przybywających. Sama zagroda mogłaby średnie zająć miejsce między dworkiem szlacheckim, a siedliskiem zamożnego chłopka; gospodarskie bowiem budowle, otaczające szczupły dziedzińczyk, nie różniły się od włościańskich; ale w domku mieszkalnym okienka większe, kominy wyprowadzone, ganeczek schludny z ławkami, i czystość wszędzie nadzwyczajna, wznosiły mieszkanie i mie-

szkańców jego nad pospolitość, i od razu mogły dać poznać, że los ściągnął tu kogoś z pałacu pod słomianą strzechę, ale uczucia szlachetnéj osobistéj godności i biedą zeń nie wycisnął. Wreszcie, na środku dziedzińca krzyż z figurą Zbawiciela objawiał dostatecznie w kim było zaufanie gospodarzy, i kto ich pracy i cnotliwemu ubóstwu sporzył.

Zdziwiona i spłoszona gromadka dzieci, wnucząt i prawnucząt pana Chojeckiego, a bawiąca się pod krzyżem, uciekła do sieni i ztamtąd wyglądała lękliwie, gdyśmy z bryki wysiadali; ale wnet wyszła na ganek *Imość*— staruszka, żona gospodarza, mało zapewne młodsza od męża, lecz nie trzęsąca głową, a licem, postawą, chędogiém ubraniem i nakoniec przystojnym i jakby dworskim dygiem, jeszcze bardziéj ze swém pomieszkaniem sprzeczna.

—Kasiu— rzekł mąż—przywożę tobie gościa, a raczéj gość mię przywozi; jest to pan Ch.....— Opowiedział potém poznanie się nasze, i wnet konie moje pasły się z krówkami na łące, a ja zostałem między tymi poczciwymi ludźmi, z sercem i umysłem swobodnym, jakiegom nigdy w świetném salonowém gronie nie miał.

—Czémże przyjmiemy tak szanownego pana?— zapytała Chojecka męża, tonem bardziéj troskliwość i grzeczność, niżeli kłopot oznaczającym.

—Dobrém sercem, moja duszo, dobrém sercem i naszym szlacheckim barszczem— odrzekł mąż, wprowadzając mię do czystéj i światłéj izby, sienią od gospodarskiéj piekarni oddzielonéj, i odwracając się jeszcze za odchodzącą żoną — moja Imość! zawołał, czekamyż barszczu *albo-*

wiem!...—a ja rozkazałem przynieść z bryki resztę kimmellu.

Wnet wbiegły dwie dziewczynki i nakrywały do stołu.

—Toż są wnuczki, czy prawnuczki pańskie?— zapytałem.

—Wnuczki, Mości dobrodzieju, wnuczki; prawnuka mam tylko jednego chłopaka, którego widziałeś jegomość. Bóg nam dał trzy córki, a potém syna; córeczki pochwytano rychło, jakby co dobrego; z łaski najstarszéj pradziadkiem zostałem. Syn zaś Mości dobrodzieju *albowiem!* służy wojskowo i po szlachecku, to jest mężnie i wiernie— czubił się regularnie Mości dobrodzieju. Pod Lipskiem, albowiem, pod Lipskiem był raniony, a teraz konsystencya jego w Warszawie— majorem już chwała Bogu, krzyż Legii Honorowéj na piersiach, i w kieszeni nie pusto, z któréj i nas rodziców często su-

kursuje. Niech go Bóg błogosławi!

Tu misa stanęła na stole.

Odzywam się do wszystkich poczciwych miejskich smakoszów: Przypomnijcie sobie barszcz gospodarski z wędlinką!.. którego żaden kuchmistrz ugotować nie potrafi, a z którym tylko u staroświeckiéj litewskiéj gosposi spotkać się jeszcze zdarza. Jaka woń pokuszająca rozchodzi się od misy i gwałtem do niéj ciągnie! Jak wybornym smakiem łechce podniebienie, a zdrową i posilną strawą nasyca! taki barszcz był w misie.

—Teraz po czareczce: może i Imość dobrodzika pozwoli? — rzekłem do wchodzącéj.

—Pokosztuj moje serce — rzekł Chojecki— bo wódeczka podróżna jegomościa *albowiem!*

Przyjęła więc odemnie i rzeczywiście pokosztowała tylko, a my z gospodarzem



sporzéj pokrzepiwszy podbudzony barszczem apetyt, zasiedliśmy we troje do stołu. Nakrycie cienkie i białe, naczynia wszystkie z doskonałéj angielskiéj cyny, a nawet dla mnie widać wydobyta, może jedyna dawnéj zamożności pamiątka, łyżka srebrna z wyciętym na niéj *Lubiczem* (1), znowu mię o szczęśliwszéj przeszłości gospodarzy wspominała; o bogatszéj;—chcę mówić, bo czyli była szczęśliwszą, gdy każda jéj chwila groziła i zbliżała ruinę, niżeli uboga lecz spokojna teraźniejszość? pytać nie śmiałem. Grzeczność także u stołu pani Chojeckiéj była dworską; zapraszanie do jedzenia nieuprzykrzoną przynuką, przepraszanie za skromność obiadu, który po barszczu na sielskiéj jajecznicy się skończył, z szczerością a nie przesadą i wszystko mnie przekonywało, że w obyczajach i mieniu są

(1) *Lubicz*— herb Chojeckich.

tu *ostatki*, jeżeli nie pańskich to szlacheckich *dostatków*.

Niecierpliwy wiadomości o owych papierach po dwóch pustelnikach pozostałych, jak równie opowiadania o trzecim panu *Jurszy*, zapytałem po obiedzie staruszki, czyli je ma gdziekolwiek zachowane?

—Nie mogę z pewnością powiedzieć panu,— odpowiedziała, czy są one jeszcze albo nie; tak dawno to było, a odtąd nieraz manatki nasze po lasach i taborach roznosiliśmy, zwłaszcza żyjąc przy trakcie, i nie wszystko się nazad odniosło;— poszukaj mężu w kałamarzyku, który w spichrzu się wala, kiedy tam nie ma to i nigdzie.

—A więc poszukajmy— rzekł Chojecki, prowadząc mię do małego swego świronka, i po krótkiéj chwili wynosząc ów

kałamarzyk, dawnych sprzętów rzadką dziś pamiątkę, i któremu podobne ze staroświeckiemi puzderkami, ze staremi kantorkami pruchnieją dziś na poddaszach, albo gdzie niegdzie służą jeszcze starym sknercom na schowankę zaklętych i zapleśniałych, jak oni sami, talarów.

—Jest kałamarzyk, ale zamknięty; dajże kluczyk moje serce— odezwał się Chojecki.

—A któż wie gdzie ten kluczyk?

—Więc trzeba odbić— rzekł on.

—Szkoda— rzekłem.

—Nie wielka—odpowiedział, i nie wielka praca, bo to ledwo się trzyma. Jakoż podłożywszy nóż odrzucił klapę i otworzył się kałamarzyk. Pełnym był papierów mniéj więcéj zbutwiałych, to starym obyczajem związanych w fascykuły, to w plikach składanych, to w osobnych arkuszach i szpargałach.

—Oj dawnoć, dawno, miałem w ręku te mantyki — mówił Chojecki;— rozpatruj że jegomość.

Wziąłem więc leżący na wierzchu sextern:

»*Panie Jezu, daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego,*« napisano było na pierwszéj karcie wielkim i dość kształtnym charakterem, z którego sam piszący zadowolony widać, podpisał mniejszemi literami »*jak sztych!*« daléj pod formatyką pana dyrektora szło niezgrabne pismo ucznia.

—To ręka mego Adasia—rzekł starzec, biorąc sextern;—jak pan major przyjedzie do mnie, pokażę mu to na próbę, a kiedy nie padnie do nóg rodzicom, którzy jego dziecinne pamiątki tak chowają i miłują, to albowiem!.. Ale niech go Bóg błogosławi! ot i mnie zachciało się, aby on aż osobiście nogi moje całował,

kiedy każdy list jego tém się kończy: »*nogi rodziców dobrodziejów całuję*« i te pocałunki dukatami jeszcze przyciska. Stary tak gawędząc, przewracał sextern; patrzał nań czule, zdawało mi się, że go do ust przycisnąć chce... oczy mu łzą zabiegały... O jakże on kochał swojego syna!...

—Ot człek starzeje i uczy się— prawda to, prawda, Mości dobrodzieju!—mówił on daléj, patrząc na sextern, gdym ja fascykuły przerzucał, — patrzaj jegomość: »*Panie Jezu daj zdrowie, rozum i ochotę do wszystkiego dobrego*« a czegóż więcéj potrzeba? Przez całe a długie życie moje naprzykrzam się Panu Bogu rozmaitemi prośbami; codzień co innego, stosownie do okoliczności a nie wiedziałem, że mam pod ręką modlitewkę, która w kilku słowach zawiera wszystko, o co Boga słusznie i warto prosić: »*zdrowie, ro-*

zum i ochota do dobrego.« Proszę uniżenie! a toć do supplikacyi dodaćby należało! Moje serce, porzuć Imość uczyć wnuczków naszych rozmaitych tam swoich antyfonek; niechaj po świętym pacierzu zmówią codzień tę modlitewkę *i basta!* byle Bóg téj ich prośby wysłuchał, to i na ziemi nie zginą i do nieba trafią. Czy nie pamiętasz Imość, jaki to *Charybdes* (2) uczył Adasia pisać, i taką mu dał formatykę na ciało i duszę?

—A kto ich tam spamięta,—przerwała pani Chojecka mężowi jego staruszko-

(2) *Charybdes* — Nie wiem dla czego, mój dziad (pan Wojski) równie jak pan Chojecki, domowych dyrektorów *Charybdesami* nazywali. Nie było na ówczas w szlacheckich domach *guwernantek;* każda takim sposobem nazywaną byłaby zapewne *Scyllą*. Dziś stosowniejszą byłaby ta *denominacya,* bo rodzice, których Bóg potomstwem obojéj płci obdarzył, mając w swym domu i *guwernerów* i *guwernantki*, edukacyę swych dzieci właśnie *intra Scyllam et Charybdim* przeprowadzać muszą.

watą gawędkę—mieliśmy ich kilku, nimeśmy Adasia do Borun do szkół oddali.

Tymczasem ja nie tracąc ani słowa z téj przeciągłéj jego pogadanki, rozróżniałem i odkładałem fascykuły i rzekłem:

—Tu jest wiele papierów familijnych pańskich.

—A tak,— rzekł on, rzucając na nie niedbałe spójrzenie— to dokumenta dawnéj naszéj fortuny; a kiedy nie ma fortuny, na cóż dokumenta? trzeba będzie je spalić.

— Bój się Boga, — zawołałem — może kiedyś panu majorowi lub dzieciom jego przydadzą się.

Starzec machnął ręką.

—Wielka liczba papierów — rzekłem daléj—jest jakiejś familii Wołkanowskich i Sołohubów.

—Odkładaj to jegomość na stronę, bo właśnie to dla pana.

Dobrałem się tak aż do dna kałama-

rzyka, i na dnie jeszcze kilka szpargałów zapisanych i pomazanych znalazłem.

— Oto pismo naszego pokutnika Załuskiego — zawołała pani Chojecka;— poznaję je od razu, choć już dawno nie widziałam.

— A więc mamy wszystko, czego szukaliśmy— rzekł Chojecki;— a ja patrząc na stos papierów przedemną leżących, nie wiedziałem jak sobie poradzić, gdy zgadując zakłopotanie moje, przerwał mi zacny gospodarz:

— Jeżeli — rzekł on — gościna u nas nie przykrzy się jegomości dobrodziejowi, a interes nie nagli, to prosimy otwartém sercem dziś u nas zostać. Barszcz nasz szlachecki, uważałem, że smakował jegomości, a na wieczerzę da nam moja imość kurczęta *albowiem;* potém na świeżém sianku w odrynie zalokujemy się na noc, i będę jegomości dobrodzie-

jowi opowiadać to to, to owo o pustelnikach; tymczasem do wieczora jegomość dobrodziéj przewertuj te fascykuły, jeżeli chcesz, a czego w nich nie doczytasz, to ja może dopowiem; ot i złożą się historye, których jegomość ciekawym być się zdajesz.

Pani Chojecka uprzejmemi słowy wsparła szczerą prośbę. Za grzech więc miałbym odmówić téj prostéj a serdecznéj gościnności, i odsunąć poczciwą dłoń szlachecką, którą, ku mnie starzec wyciągał; ścisnąłem ją z wdzięcznością, i to było moją odpowiedzią.

Cały zatém czas aż do wieczora zszedł mi na rozpatrywaniu papierów, których treścią był proces, mający znowu być treścią mojéj następnéj powieści. Ułatwiły mi tę pracę, tak zwane technicznym ówczesnym wyrazem: »*status caus*« to jest, spisane zwięźle i porządnie przejścia

sprawy téj, w różnych jéj epokach i stopniach po rozmaitych sądownictwach, oraz główniejsze wypadki życia prawujących się, z procesem związek mające; tęgie to widać prawnicze głowy układały.

Nakoniec wieczorna pod spichrzem w chłodzie rozmowa z panem Chojeckim, przedłużona aż do świtania w odrynie na świeżém sianku, uzupełniła zapas wiadomości moich, tak o pustelniku bez nazwiska, jako też o przyczynie *mistyczno romantycznéj* pokuty *Załuskiego*, i o *anegdotycznem* pustelnictwie pana *Jurszy*.

Wołkanowscy.

Szerokich włości dziedzic, znakomitego i starożytnego na Litwie rodu, był pan *Antoni Sołohub*, starosta *Jezierzyski* i *Krasneński;* miał on za sobą księżniczkę *Radziwiłłównę*, a związek ten blizki z tak potężnym książęcym domem, tém większą

jednał przemożność Sołohubowi, tém go w większą podnosił powagę.

Owocem tego małżeństwa była jedyna córka ich *Helena*, która z wdzięków i z wysokiego urodzenia i z bogactwa rodziców, do najświetniejszego zamążpójścia zdawała się być przeznaczoną, i takiego dla swéj ukochanéj jedynaczki Sołohubowie się spodziewali.

Główną rezydencyą starosty były dobra *Illia*, przez Radziwiłłównę w posagu mu wniesione, natenczas w Oszmiańskim, teraz w Wilejskim, powiecie leżące, w których tém chętniéj zamieszkał, że był zawołanym myśliwym; a obszerne lasy *Ilskie* przylegały tuż z jednéj strony z głuchemi kilkanastomilowemi ostępami starostwa *Markowskiego*— a z drugiéj z puszczą starostwa *Krasneńskiego*, i tam daléj nieprzerwanym prawie ciągiem pod i za *Mińsk*, aż do Radziwiłłowskich, dziś

jeszcze znakomitych, *Smolewickich* i daléj *Borysowskich* lasów — po których wszystkich swobodnie polował Sołohub.

Też same puszcze, jakież one były przed stu laty, gdy niszczący topor tak po nich nie gościł! Rozległe, nieprzebyte gęstwy, kraje niebotycznych maszt wyrosłych na Litewskiéj ziemi, a ginących gdzieś w głębiach oceanu na drugiéj półkuli świata... Puszcz takich już dziś nie ma; zatém oniemiały trąby i rogi myśliwskie, które wśród nich brzmiały niegdyś codzienie, bo myśliwstwo było natenczas zwykłą rycerską i panów i szlachty zabawą.

Pan Sołohub żył także po pańsku: balował, polował i sejmikował; a utrzymując godnie, podług tamtoczesnych obyczajów i zwyczajów dostojeństwo imienia swojego i przewagę w publicznych sprawach, nie myślił wcale o domowych,

a tém mniéj o córce, którą lubo kochał dusznie, lecz w owym wieku córka wzrastająca i pielęgnowana pod okiem matki nie nabawiała ojca nocy bezsennych, ani myśli niespokojnych o jéj mądréj edukacyi, lub o jéj postanowieniu. Témbardziéj panu Sołohubowi, który w żonie swojéj miał dla córki wzór doskonały wszelkich cnot niewieścich, i obraz prawdziwéj polskiéj wysokiego urodzenia *matrony*; a był pewnym, że gdy czas przyjdzie i Marya dojrzeje, po jedynaczkę i bogatą dziedziczkę, w dom jego otwarty, swatowstwa i swaty popłyną zewsząd.

Marya też dojrzewała — i piękne dziecko w piękną rozwinęło się dziewicę, rychléj, aniżeli troskliwa uwaga rodzicielska dostrzegać szybkich postępów téj odmiany mogła. Jest to w naturze rodzicielskiego do dzieci, a szczególniéj matek do córek przywiązania, że pieszczoty

z któremi tulą do łona główki miłéj swéj dziewczynki, równie są tkliwe, rzewne, miękkie i zdrobniałe, że tak powiem, chociaż dziewczynka ta dochodzi już czasu, gdy prócz rodzicielskich pieszczot, powiewny tem kwiatek stalszego potrzebować zaczyna wsparcia, i niespokojném uczuciem, jakby lekkim wiatrem, w tę i ową stronę kołysany, piękną swą wychylając główkę, szukać go i wyglądać się zdaje.

Raz pan Sołohub, w odległéj od domu myśliwskiéj, bo aż wśród Borysowskich lasów wyprawie, stanął obozem w szlacheckiéj okolicy, w téj puszczy osiadłéj, i główną tam obrawszy kwaterę, ztamtąd zapuszczał się w knieje, i tam nazad codziennie wracał na noclegi, co tém szczęśliwéj dlań się zdarzyło, że szlachta

dostarczała wszelkich dla licznego myśliwstwa potrzeb, hojnie przezeń opłacanych, a pomnażała mu liczbę strzelców. Jeden z nich szczególniéj, stary i siwy jak gołąb, ale jeszcze czerstwy, rzeźwy i ochoczy, od razu zaczął réj wodzić całemu myśliwstwu; sam z natury myśliwy, znał on najdokładniéj tę, jeszcze i dziś ogromną puszczę, wśród któréj długi czas przeżył i przepolował; wiedział wszystkie jéj knieje i głuche ostępy, i wedle upodobania i woli *Sołohuba*, na każdego zwierza prowadził.

Nieoszacowany Wołkanowski! (tak się bowiem starzec ten nazywał),—wykrzykiwał starosta—i kończył zawsze namawianiem go do służby sobie za łowczego, od czego on wiekiem się wymawiał.

Ale staruszek miał adjutanta; był nim syn jego, Piotrek, lat piętnaście mieć mogący, chłopak przystojnego lica, bystrych i pojętnych oczu, krzepkiéj i widać było

zahartowanéj budowy ciała, bo nie odstępując nigdy tatulka i pracowite jego, a niekiedy i niebezpieczne podzielając wyprawy, wzmocnił siły nad lata i był prawdziwym wychowańcem natury, która powierzającym się jedynie jéj pieczy, daje, co najlepszego równie ludziom jak zwierzętom dać może — zdrowie.

Na pozór w pół dziki obszarpaniec, podrapany na twarzy, rękach i odzieży — bo bez pamięci darł się przez gęstwiny i krzaki za zwierzyną, którą bił bez żadnéj uwagi, nawet na mecie i strzale samego starosty, porywając się zapamiętale do sztęfla na pudłujących, sam nigdy nie pudłując, a zatém nie dając prawa do odwetu. Słowem, na pozór sowizdrzał nieuhamowany, a jednak gdy szło: gdzie? jak? i na jakiego zwierza zapolować? jak zaprowadzić strzel-

ców? jak ich rozstawić zkąd puścić gończe lub ogary?— rada natenczas Piotrka była tak rozważnie, z taką znajomością myśliwskiego rzemiosła i miejsca wymiarkowaną, twarz nawet jego, postać i mowa takiéj nabierały roztropności, że stary ojciec, posprzeczawszy się nieco, wrzekomo dla utrzymania swéj powagi, prowadził jednak obławy po zdaniu syna, i nigdy ani sam się nie zawiódł, ani nadziei Sołohuba nie zmylił.

Pewnego dnia, na rannym myśliwskim odpoczynku, rzekł starosta: — Wiesz co, mój kochany Wołkanowski, gdy sam nie chcesz u mnie zająć funkcyi łowczego, to daj mi tego szubrawca Piotrka.

— Jak to? na łowczego! — zapytał stary zdziwioném okiem patrząc w twarz starosty.

—Tak, tak...— odpowiedział jąkając się, zmieszany nieco tym wzrokiem.—Poj-

muję zdziwienie twe, mój panie Samuelu; Piotrek jeszcze za młody, a zatém i żywy nadto, ale to się uchodzi, a był w dobréj twojéj szkole...

—A wiesz, panie starosto dobrodzieju, czego się on w téj szkole uczy?— rzekł znowu stary, nie zmieniając postaci ni wzroku.

—Nie rozumiem cię,— odpowiedział Sołohub— właśnie zdało mi się, że go na myśliwego z professyi układasz, aby z tego potém chléb jadł.

—Oj, ze wszystkiém co innego, panie dobrodzieju! ze wszystkiém co innego, tylko chcąc to wytłómaczyć panu, nie wiem od czego zacząć?... Czyliżeś pan nigdy nie słyszał na Litwie o Wołkanowskich i ich bratobójczym procesie?

Sołohub wzniósł czoło w górę, przyzywając dawne wspomnienia:— tak, rzekł

potém, tak, słyszałem coś, słyszałem... jestżeś mości panie z téj saméj familii?

—Jam wnuk zabitego— odpowiedział stary.

—Wnuk zabitego? dla Boga! kiedyż to się stało?— zawołał Sołohub.

—*Anno 1639*, jutro właśnie 21 7bra rok setny się zacznie od dnia wykonania téj zbrodni; i dla tego nam jutro w myślistwie p a s z, bo zabrawszy z sobą Piotrka, ostatnią złotówkę poniosę na mszę żałobną za duszę męczennika.

—Wieleż sam masz lat?—pytał znowu starosta.

—Siedmdziesiąt cztery, mości dobrodzieju.

—A syn tak młody?

—Młody, tak młody, bo gdy z pierwszego małżeństwa Pan Bóg pociechy mnie nie dał, a potém i przyjaciela, z którym się niemało latek przeżyło, zabrał do swo-

jéj chwały, nie poczuwając się jeszcze grzybem, choć już półszósta z górą krzyżyka liczyłem sobie, powdowiawszy lat kilka, rezolwowałem się znowu na kobierzec. A nuż? myślałem sobie,—da mi Bóg potomka, który krwią pradziada swego okupioną fortunę wywindykuje!... I zda się wysłuchał Bóg prośb moich; urodził mi się ten chłopak... któż wie co go czeka? ale w zamysłach i nadziejach moich na dojeżdżacza sposobić go nie myślę. I dla tego tak sobie w głowie układałem: na szkoły substancyi brak, lecz przypomniawszy, żem pod Jezuicką ferułą, nie siedząc *intra asinorum*, nie tylkom sam kiedyś się uczył, ale i drugim repetowałem *pensa*, postanowiłem sam być preceptorem mojego Piotrka. I obacz pan dobrodziéj, czy na próżno pracowałem? Bóg mu dał pamięć i spryt nadzwyczajny; to nic że sowizdrzał, ale kiedy siądzie nad

książką, to ledwo połowę jemu wytłómaczę, resztę sam domyśli się i pojmie. Młoda to krew, mości dobrodzieju, prawda— często dla poroszy rzuci książkę pod stół i tydzień w lesie wysiedzi; ale natenczas jestem i ja z nim razem. A tam inna znowu nauka. Przy rozpalonym pniaku starym opowiedziałem mu i powtórzyłem nie raz, jak lekcyę jaką, całą naszę nieszczęśliwą historyę, nauczyłem go nawet długiego procesu naszego, i sposobu jakim go odnowić możnaby było, bo mnie na to sposobu nie stało i ręce opadły, gdy macając niemi po kieszeniach, ani szeląga znaleźć nie mogłem; dawności jednak ziemskiéj nie zasypiam, i coraz to manifeścik do akt wrzucę. A nakoniec i myśliwstwo, mości dobrodzieju, nie idzie na darmo; niech młody, myślę sobie, z ostróżności i instynktu źwierza uczy się natury ludzkiéj; jam się jéj uczył z praktyki, ma-

jąc do czynienia z rozmaitymi ludźmi. Oj, daliż mnie oni pensę, dali!... a więc synku, mówię jemu, patrzaj i uważaj: kiedy będziesz na świecie, to jak w kniei gęsto podszytéj:—ty tropisz i ciebie tropią. Ostróżnie nieboże, ostróżnie! bo wpadniesz w samołówki, w siecie, w wilcze doły i od razu zginiesz. Patrzaj jak zwierz roztropnie sobie radzi, jak choć go głód do przynęty ciągnie, instynkt go ostrzega, że to zdrada; jak lis od wiatru zachodzi, gdy strzelca czuje; jak kochany kum wilczysko dziesięć razy obejdzie jamę, choć go gąska wabi; a jak przeciwnie, ginie zawsze biedny zajączek, że nie umie oprzéć się swojemu sercu, i że dalekie pod gonem psów obłożywszy pola, wraca niebaczny do rodzinnéj kniei, gdzie znający jego poczciwą naturę czeka nań strzelec...

—Nie spodziewałem się—przerwał Sołohub, pokręcając głową—takiéj filozofii

w myśliwstwie; chłopiec twój musi mieć rozum nad lata, przy takim nauczycielu.

—Oj, gdyby to jemu regularna nauka, mości dobrodzieju!— mówił znowu Wołkanowski;— ale przecież i przy téj jaką ma, nie zginie na świecie, gdy na nią pamiętać będzie. Bo oprócz téj myśliwskiéj morałki, podług któréj między ludźmi kierować się powinien, umié nadto Boga chwalić, a to grunt— umié czytać regularnie; pisze tak, że i podpisek jaki niepowstydziłby się; a nakoniec wie, że jest szlachcic *ab antiquo*, herbu Radwan, a zatém, że powinien umieć czy pod wicią, czy pod chorągwią, jak na szlachcica przystoi stawać mężnie i bić się serdecznie, do czego także ma ułożoną rękę, a nawet obie. Ot proszę jaśnie wielmożnego pana, niechby którykolwiek z dworzan pańskich stanął z nim. Niech chłopiec wy-

da experyment przed wspaniałą pańską personą!

Sołohub rad z nadarzającéj się rozrywki, bo i polowanie w swéj rozmaitości ma jednak jednostajność, która jeżeli nie nudzi, to utrudza nakoniec;— wyśmienicie— rzekł— bardzo dobrze, jeżeli tak chcesz.

Héj, Tatura!— zawołał.

Wnet wysunął się z tłumu myśliwych, wśród których właśnie Piotrek gorącą jakąś myśliwską wiódł sprzeczkę, Goliat, można powiedzieć, zwłaszcza w porównaniu z Piotrkiem, słuszny urodą, stosowną tuszą, lat ze czterdzieści mieć mogący, z jedwabną torbą przez ramię, z kordelasem wiszącym od szerokiego, ładunkami naszytego pasa, z gwintówką za plecami, a kapeluszem z palonéj skóry na głowie.

—Co J W. pan rozkażesz?— zapytał.

—Cóż mości panie?—rzekł starosta do Wołkanowskiego, wskazując tę figurę.

Stary zmierzywszy od stóp do głowy stojącego przed nim dworaka, po krótkiéj rozwadze, kiwnął głową:— Wolaż Pana Boga, zawołał; przypomniawszy historyę Dawida, akceptuję mości dobrodzieju!

—Panie Tatura—rzekł starosta—Wołkanowski powiada, że jego Piotrek każdemu z moich dworzan dotrzyma kroku w palcaty; ja wybrałem waści, spróbój się z nim.

—A cóż to JW. panie— odezwał się tubalnie Tatura— czy mam chłopcu kijem mleko pod nosem obetrzeć? wybierz JW. pan którego z młódszych; mnie taki i wstyd będzie bić się z dzieckiem; chybaby już z panem ojcem.

—Prawda— odpowiedział Sołohub— waść i pyszny i poważny; ale cóż, kie-

dy tu idzie o utrzymanie honoru dworu mojego, a waść się chwalisz, żeś gracz i do korda i do kija; dotąd nie zdarzyła się okazya abyś pokazał mi co umiész, więc teraz daj młodemu nauczkę.

Wołkanowski tymczasem zawołał syna:—Słuchaj Piotrku,—rzekł mu, poszukaj w lesie smagłych dębinek, i stań w kroku z tym jegomościem, który powiada, że tobie mleko z pod nosa kijem obetrze.

—Co! ten pudlarz?—zawołał rumieniąc się z gniewu chłopiec.—Słuchaj hoholu, stań na ostre, to nim ty mnie mleko obetrzesz, ja ci tę sierść pod nosem ogolę.

—No, no, chłopcze, nie gniewaj się—rzekł starosta, uprzedzając wybuch Tatury, który już najeżył wąsy, chcąc jakby przekonać o trudności zgolenia ich;—nie gniewaj się; ja to chcę obaczyć, czy

tak pięknie bijesz się w palcaty, jak się chwali, że cię wyuczył twój ojciec.

– A zatém mam się bić dla zabawy pańskiéj?— mówił zdziwiony młodzieniec;— to co innego. On powinien i przez kij skakać kiedy pan każe, bo on jurgieltowy; ale panie ojcze, podług tego co mi o szlachectwie mówiłeś ja bić się nie będę...

—Boś tchórz!— zawołał Tatura.

Jakby go ranił boleśnie, tak podskoczył na te słowa Piotrek, a nie odpowiadając już ani rozumując, a krzycząc tylko w biegu: poczekaj!— poleciał do lasu.

——Twój syn, panie Wołkanowski, harda sztuczka—rzekł starosta—nauczyłeś go pychy, to źle.

—Nie, jaśnie wielmożny panie: pycha

to fe! to grzech śmiertelny, to pierwszy gradus do piekła, a jeszcze nam chudym pachołkom pięknieby ona przystała! Nie uczyłem ja go więc pychy, ale nauczyłem respektować w sobie *honestatem* swego szlacheckiego klejnotu. Przyjdzie może i jemu trzymać się gdzieś pańskiéj klamki; uręczam jw-go pana, że w takim razie będzie służył wiernie i poczciwie, że śmiało nadstawi łba za honor swego pryncypała, ale i własnego nie da nikomu na pastwę.

Tymczasem toczyły się dworskie przedrwinki z Tatury, wypraszającego się u starosty od tego pojedynku; czuł on bowiem, że ze zwycięztwa nad dzieckiem nie będzie wielkiéj chluby; a nuż w przypadku!!! nie będzie miał gdzie oczu podziać.

—Uwolniłbym cię tém łatwiéj—rzekł starosta—że i Piotrek bić się nie życzył,

ale gdyś go tchórzem nazwał, to już nie ma rady; on cię na sucho nie wypuści; patrz, patrz, jaki snop kijów ciągnie z lasu.

Jakoż Piotr kilkanaście dębinek młodych, prostych i równo uciętych przyniósł, a rzucając je przed Taturę na ziemię, rzekł:—no, wybieraj sobie do ręki!

—A wybiorę rózgę na błazna,—mówił podejmując kij grubszy Tatura.

—A ja stępel na pudlarza — odrzekł Piotrek, biorąc także dębinkę; a rozśmieli się z tych pogróżek wszyscy, i cała myśliwska gromada otoczyła kołem pole popisu.

Za Piotrkiem stanęła szlachta, towarzysze i sąsiedzi Wołkanowskiego, jakby w sekundy i dla dodania rezonu swemu faworytowi i wychowańcowi.

Straszne to figury! łby golone lub łyse; policzki rumiane i pękate; wąsy szorstko nastrzępione, lub suto zwisłe, oczy żywe

i wejrzenie surowe—na nich kurty zamaszyste, borsucze torby, juchtowe szerokie pasy ze sterczącemi w nich rogami z prochem, flinty w ręku... Straszne figury! prawda—i gdybyś w lesie na samotnéj drodze spotkał którego niespodzianie: Bandyta! pomyślałbyś strwożony. A jednak pilniejsze nań zwróciwszy oko, od razu upatrzyłbyś w obliczu tém coś takiego, coby cię wnet uspokoiło, coby cię owszem sympatycznie doń skłoniło: jakiś wyraz spokojnego sumienia, dobréj myśli, szczerości i rubasznéj swobody. Właśnie jak wewnątrz tak i na twarzach: pozór burzliwy, grunt poczciwy i bezpieczny... Iluż z dzisiejszych malarzy usiłuje odtwarzać te nasze staroświeckie twarze i postacie! ale jakże mało takich, którzyby to sprzeciwieństwo pojmowali, a jeszcze mniéj którzyby je uwydatnić potrafili!

Kilkanaście więc takich figur stanęło

za Piotrkiem.— Tymczasem Tatura zdjął z siebie myśliwski moderunek, gwintówkę oddał strzelcowi, podjął łeb i spójrzał w górę, potém zaszedł od słońca, stanął w kroku i ukłonił się staroście. Stary frant, chciał tą rewerencyą jakoby dać poznać, że dla tego taką pozycyę obiera, aby tyłem do swego pryncypała nie obrócić się; a w rzeczy szło mu o to, aby Piotra naprzeciw słońca postawić, którego jasne południowe promienie ćmiłyby mu oczy.

—Ostrzegam pana Tatura— rzekł stary Wołkanowski, —że mój Piotrek na obie ręce bije się.

—Dość mu będzie mojéj jednéj— odpowiedział dworak.

Tymczasem Piotr spójrzał także w górę i uśmiechnął się; zrozumiał manewr przeciwnika, a obróciwszy się do swéj braci

szlachty — dajcież — rzekł — łapy na szczęście.

—No, no—rzekli oni biorąc go i wstrząsając za rękę— no, no, panie Pietrze, po naszemu! po naszemu.

—A to wszystko widzę zuchy — odezwał się starosta do stojącego obok siebie starego Wołkanowskiego.

—A zuchy, zuchy mości dobrodzieju i gracze do kija, a *data occasione* i na ostre; bo u nas co niedziela tyle w okolicy, na ulicach i dziedzińcach nałamiem kijów, że żonki przez cały tydzień mają na czém kaszę gotować.

Stanęli więc naprzeciw siebie rycerze—Piotrek, któremu w téj chwili, wieku, urody i dojrzałości przybywać zdawało się, lewą ręką zasłoniwszy się daszkiem nad oczami od słońca, prawą raźnie się złożył z Taturą.

—Stójcie— zawołał starosta—tak być

nie może; odmieńcie pozycyę; Piotrkowi słońce dokucza w oczy.

—Nic to panie, nic—odpowiedział Piotrek, gdy na to zawołanie starosty Tatura się zatrzymał;— każdy sobie poradzi; daléj do roboty.

Raz — dwa — trzy. —Kije się skrzyżowały, bo to każda taka bójka tym obrzędem się zaczynała.

—*Hajże! znajże! dotrzymajże!*—krzyknęła niespodzianie, a razem jak indyki, szlachta za Piotrem stojąca.

Tatura zmieszał się, spuścił z oka Piotra, a ten śmignął chyłkiem mu pod rękę, i z tyłu po grzbiecie boleśnie przeprowadziwszy dębinkę:—Sam do słońca panie majstrze!— krzyknął.

Śmiech powszechny rozległ się.

— Ha zdrajco!.. chłystku!.. pijaku!..— wrzeszczał Tatura.— Ze złości stracił on

głowę, nazywając pijakiem chłopca, który za życia jeszcze i razu się nie upił.

— Zdrajca, czy nie zdrajca — mówił starosta, śmiejąc się także serdecznie— dość że masz za swoje: *kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada;* chciałeś ośmieć chłopca i tym sposobem go splażyć. Otoż zdrada za zdradę, masz wet zawet i popraw się, bo będę cię miał za trzy litery.

Walka więc na chwilę przerwana, poszła daléj z impetem. Tatura kapelusz swój skórzany nasunął na czoło od słońca i zapalczywie nacierać począł; lecz on nie bić się, ale bić chciał: więc kij jego w jednostajnéj zawsze dyrekcyi z góry na dół spadał, do czego wysoka statura jego wielce mu dopomagała, i odskakiwał w górę, odbijany pałką przeciwnika, broniącego łba swojego. Ale gdy jednostajny taki attak i obrona przedłużały się

bez skutku, zniecierpliwili się spektatorowie.

— Cóż? czy długo Tatura będziesz drwa rąbał?— zawołał starosta—szalony mi pojedynek; jeden z góry na dół kij spuszcza, a drugi nad głową kij trzyma.

— Héj panie Pietrze! — odezwała się także szlachta, zabiegłszy mu z tyłu.— Hej po naszemu! *Łupu cupu! Cupu łupu!*

Na to wezwanie, Tatura nieumiejący widać zręcznych manewrów, a w siłę swą tylko zaufany, wykręcił młynka nad głową, tak, że aż kij zafurczał w powietrzu, lecz w tejże saméj chwili Piotrek, korzystając z odkrycia się jego, podbił mu z dołu kapelusz tak, że odleciał mu z głowy na kilka kroków:— a teraz na gołe łby—krzyknął.

Młynek wietrzny zawiązał w powietrzu, jakby wiatru nie stało, a śmiech i brawa powtórzyły się znowu w około.

— Dość, dość — rzekł, starosta— poznaliśmy gracza i partacza.

— A niechże mnie sto tysięcy diabłów porwie!—wrzasnął Tatura,—jak to dość? ja tego smarkacza na miazgę zbiję— i ze wściekłością rzucił się na Piotra. Ledwo ten miał czas odskoczyć parę susów i stanąć w pozycyi obronnéj, bo Tatura chciał go schwycić oburącz i cisnąć na ziemię, a potém kijem okładać, czegoby łatwo z potężną swą siłą dokazał; lecz gdy znalazł kij gotowy naprzeciw siebie, musiał znowu kontynować pojedynek, do którego zemsta go już i wstyd zapalały; zaczęła się więć rzeźwa i szczera siekanina. Kij Tatury bez pamięci i układu wprawdzie, ale nadzwyczaj silnie i gęsto machany, tém samém, że bez układu, niebezpiecznym był dla Piotra, przyzwyczajonego do porządniejszych i umiejętniejszych, a mniéj zawziętych bójek; bronił się wprawdzie i od-

bijał zręcznie i dzielnie, ale wzajemnie attakować nie mógł, chociaż folgując prawéj ręce, w lewą nieraz przerzucał dębinkę. Szlachta krzykiem dodawała rezonu, i raptem wytknęła się z pod pachy jednego znich ogromna łysa głowa, z czerwonym nosem i szeroką gębą, a wielkiemi wołowemi oczami, jakby łeb upiora z pod pachy wyglądający, i ryknęła okrutnie: »*Hura! rura! Pan Tatura!*« i straszydło nikło. Szlachta tubalnym chórem huknęła: *Rura! rura! pan Tatura* i wrzeszczała na całe gardło, a Tatura zgrzytał zębami i nacierał jeszcze sróżéj... wtém smagła dębinka Piotra uderzona potężnie grubszą pałką adwersarza, pęka w połowie... Starosta i wszyscy — stój — krzyknęli — dość! ale Tatura rad z okazyi — masz! — rzekł z przyciskiem i ciężki raz spuścił na ramie Piotrka — ten upadł... ale w tém samém oka mgnieniu zachwiał się i rymnął jak dłu-

gi Tatura, bo Piotrek upadając, chwycił go za nogi i pociągnął za sobą, a zerwawszy się rzeźwo, siedział wnet na brzuchu ogłuszonego Tatury i gniótł go z całéj swéj siły. Wszyscy bili w dłonie na tryumf i starosta razem... a na dobitkę ukazała się znowu z pod pachy straszna głowa upiora i beknęła kozim głosem:

»*I na ogromnym smoku jeździć będziesz.*«

— A to jakiś koncepcista — rzekł śmiejący się starosta.

Tatura wszakże nie dał się długo ciemiężyć, strząsł z siebie swawolnego chłopaka, powstał i zaklinając się szalenie, biegł zanim... lecz zastąpiła mu drogę szlachta, a starosta jednym słowem wstrzymał zawziętego *Goliata*. Pohamować jednak nie mógł ani jego krnąbrych odgrażanek, ani szlachty od drażniących go okrzyków: *hura! rura! pan Tatura!* i podobnyh temu konceptów mniéj więcéj

dowcipnych i gorzkich, któremi dopiekał mu nieustanie ów jakiś upiór utrapiony. Zresztą był pewnym, że Tatura, skonfundowany i zwyciężony od jednego, nie porwie się na kilkunastu, dozwolił zatem szumieć humorowi szlacheckiemu, podnieconemu wprzód jeszcze kilkakrotném *pogrzebowém;* lecz zainteresowany tém bardziéj zręcznością i roztropnością młodzieńca, a w ojcu poznając człowieka nie tak pospolitego, jak go był z pierwszego wejrzenia osądził: — Panie Wołkanowski—rzekł — przyznaję żeś i głowę i rękę syna sposobił na to, aby kiedyś z tych lasów na świat wyszedłszy, umiał ręką bronić głowy, a głową kierować rękę. Dobrze to jest i po szlachecku; lecz radbym jeszcze wiedzieć tę historyę waszego brato-bójczego, jak mi powiedziałeś processu; jeżeli więc nie masz nic przeciw temu, to mi ją opowiedz.

— Nie mam nic przeciw temu, ale nie mam i czasu, bo to nie dwa, ani trzy słowa, a pan dobrodziéj jutro pono masz nas opuścić.

— Nie, mój kochany Wołkanowski, Piotrek twój powiedział mi, że wie ostęp, w którym, znajdziemy rysiów.

—Ho! wymówił się błazen—rzekł kręcąc głową stary— toż widać pokochał pana, kiedy nawet rysiów wydał.

—Nie straci na tém— rzekł Sołohub... lecz postrzegłszy że Wołkanowski na te słowa znowu zdziwioném okiem pogląda:— ale nim co będzie— dodał— tymczasem zróbmy tak: Idźmy wraz do domu, dziś mi opowiesz swoje dzieje, jutro waćpan z synem na exekwie pojedziesz, a my odpoczniemy sobie, bo i ludzie i psy codzienną pracą zmordowane; a pojutrze za panem Piotrem na rysie! Héj, pojezdnego!

Sześć trąbek zabrzmiało wnet rozgłośném echem, tak miłém myśliwemu uchu, i cała gromada wesoło i gwarno pociągnęła do okolicy, w któréj się wkrótce wygodnie roztasowała.

Lat sto nazad.

Kiedy po rannych fatygach wypoczął już sobie starosta, a krótki dzień wrześniowy gdy już w szaréj tonął godzinie, w schludnéj izbie, którą on sobie za kwaterę wybrał, zajaśniało kilka świeczników, i rozkazał Sołohub prosić do siebie Wołkanowskiego.

Nie długo dając na się oczekiwać, wszedł stary, uginając się pod ciężarem pękatego worka, i kilkadziesiąt plik papierów wytrząsł zeń pod nogi staroście.

—Co to jest, Mości panie?— zawołał on zdziwiony.

—To mój ciężar, który dźwigam od

młodości i dźwigałbym aż dotąd, gdyby bieda i ubóstwo gorszym mię jeszcze nie nacisnęło, tak, że już tamtemu nie podołam, a prosto mówiąc, to cały nasz proceder w dokumentach, które jaśnie wielmożnemu panu czytać będę.

— A bój się Boga, panie bracie, nie skończym i za tydzień! zresztą, anim ja wasz sędzia anim adwokat. Opowiedz mi całe to zdarzenie *summatim;* wszakże wiedzieć musisz wszelkie szczegóły i okoliczności; a nuż w czémkolwiek będę mógł być wam użytecznym?

—Ale bo widzisz, panie starosto dobrodzieju,— mówił Wołkanowski, podejmując niektóre fascykuły z ziemi i kładąc je na stole; — muszę niektóre przynajmniéj okazać JW. panu, na utwierdzenie prawdy tego, co opowiadać będę.

Oto naprzykład dowód szlacheckiéj rodowitości naszéj; *Laudum* województwa

Sandomirskiego: »My rady, dygnitarze, urzędnicy i wszystkie rycerstwo województwa Sandomirskiego; którzyśmy do Opatowa na sejmik elekcyi deputackiéj, w dzień dzisiejszy, w poniedziałek po narodzeniu Najświętszéj Panny Maryi, to jest dziesiątego dnia września, roku Pańskiego 1635, zgromadzili (1).

—Po co panie bracie — przerwał starosta — ślepisz przy świecach stare swe oczy? mów swojemi słowami.

—Oho, panie dobrodzieju, ja to na pamięć umiem, bo to *basis et fundamentum* naszego tu zażycia się; bez tego Litwini przepędziliby mnie gdzie pieprz rośnie! tak jak dziada mego przepędzić chcieli, póki im tego autentyku nie przywiózł. Jest to więc *testimonium* całego koła rycerskiego województwa Sandomirskiego,

(1) Z oryginału.

przed którém dziad mój Stanisław, z małych i wielkich *Wołkanów* (1) *Wołkanowski*, nobilitacyę swoją i z miecza i z kądzieli, i przez dziady i przez baby, tak stoi w tém piśmie panie dobrodzieju, publicznie dedukował i dowiódł, że był odwiecznym obywatelem tego województwa, i powiatu Chęcińskiego.— Przyparz się JW. pan i przeczytaj, jakie to przezacne imiona akt ten podpisały (2) i stwierdziły.

Sołohub, przypatrując się tym przedstoletnim natenczas, a dziś przed dwustoletnim z górą podpisom:— ale cóż powodo-

---

(1) Jeżeliby książka ta dostała się w Sandomierskie, to prosiłbym czytelnika o wiadomość, czy dotąd w powiecie Chęcińskim istnieją *Wołkany?*

(2) Gdy wpadnie do rąk naszych papier jaki z gromadnemi podpisami przodków naszych, myśl przywykła do zagłębiania się w przeszłość, wnet ożywia całe to grono, gości w niém, słyszy ich mowy, obcuje z niemi i przywyka do towarzystwa, w którém się zagrobem kiedyś pomieścić ma. Pod warunkiem takiéj tylko,

wało— zapytał— dziada twego do szukania i wyjednania sobie tego *testimonium?*

Otoż na to pańskie zapytanie, potrzeba już regularnie zacząć opowiadać naszą historyę.

Wołkanowscy od antenatów żyli w Sandomierskim w dobrach swoich, małych i wielkich Wołkanach—ale z czasem roz-

---

że tak powiem *hallucynacyi*, autor odtwarzać i opisywać może osoby, obyczaje i obrazy przeszłości: chwytane pojedynczo wzory nigdy zajmującéj i prawdziwéj nie złożą całości.—Takiego stanu doświadczyłem i ja patrząc na to poważne sejmikowe koło, w Kollegiacie Opatowskiej (tak wyraża laudum) zebrane, z Niesieckim w ręku wskrzesiłem prawie wszystkich mężów tam sejmujących i podpisanych na takowém laudum, Janowi Wołkanowskiemu daném; każdego po godności i honorze, *de nomine et cognomine* nazwać mogłem i każdemu submittować się. Owoż niektóre z nich:

Stanisław Pękosławski, Marszałek koła rycerskiego, starosta sendomirski: mąż rycerski i waleczny. Gdy się król Stefan na uskromienie Gdańszczanów z wojskiem wybierał, przełożył go nad rotą pieszą konną; a widząc w nim nielękliwe serce, latarnię szańcami opasaną straży jego powierzył etc.

rodzeni... tu stary jąkał się, i zdawał się szukać stosownego wyrazu— i co gorsza...

—Cóż?— rzekł starosta.

—Niezgodni... no, niezgodni panie dobrodzieju.

(Niesiecki Tom. 7, fol. 265). Godnym więc był Stanisław Pękosławski zaszczytu przewodniczenia kołu rycerskiemu.

Ale przeciskam się przez tłumy do pana *Mikołaja Kochanowskiego*, stolnika sendomirskiego; tak się podpisał i tak go Niesiecki mieni. (Tom 5-ty, fol. 140) Brat to więc Jana, już natenczas nieżyjącego; przy nim stoi dwóch krewnych zapewne, o których Niesiecki nie wspomina, Hrehory i Adam Kochanowscy. Sympatyczne to imię, a gdziekolwiek z niém spotkać się zdarzy, serce żywiéj bić zaczyna.

Andrzej Morsztyn z Raciborza, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mianuje (Tom 6, fol. 469); najprzód stolnik sendomirski, poseł na sejm brzeski 1653, deputowany do Konstytucyi, potém Referendarz koronny, starosta kowalski, zawichowski i wartski; naznaczony do traktowania o pokój z W. Ks. Moskiewskim, wziął nakoniec w roku 1668 podskarbstwo W. K. i starostwo tuchalskie, z którym tytułem jeździł w poselstwie do Francyi, do Rzeszy Niemieckiéj, do Rzymu. Fundował OO. Bonifratrów w Warszawie etc. Mąż to znakomity w dziejach naszych.

Zbigniew z Oleśnice Oleśnicki, starosta opoczyński, tak się podpisał, i tak go Niesiecki mieni, (Tom 7, fol. 82; syn

— Cóż w tém osobliwego, żeś wymówić nie chciał? *Rara concordia fratrum:* to w przysłowie nawet weszło.

—Oh bo panie dobrodzieju, ta niezgoda krwią bodaj była zmazana... Nie wiem jak to było—bo i ojciec mój nie chciał mi nigdy tego dokładnie opowie-

---

Mikołaja i Zofii Lubomirskiéj, kasztelan wileński; fundował kościół w Tarnowie.

Jan z Oleśnicy Oleśnicki, W. lubelski; tak się podpisał brat poprzedziającego. Niesiecki ojca ich Mikołaja mianuje wojewodą lubelskim. Litera więc W. znaczyć może wojewodzic.

A. (Abraham) *Gołuchowski*, starosta stężycki i wileński; tak się w skróceniu podpisał, i tak go Niesiecki (Tom 4, fol. 176) mieni); w peregrynacyi do cudzych krajów, języków niemieckiego, francuzkiego i włoskiego się nauczył, w Lorecie herezyi się wyprzysiągł; podczas *interregnum* rotmistrzował województwu Sendomirskiemu, chorągiew okrytą swoim sumptem wystawiwszy na obronę ojczyzny; posłował często na różne sejmy, jako 1631, zkąd był deputowany do kwarty Rawskiéj, i 1633 i 1641, do traktatów o pokój ze Szwedami etc.; umarł 1647.

Wojciech z Brzezia Brzeski, starosta uijski, (Niesiecki Tom 2. fol. 337).

Jan i Zygmunt Wyszkowscy, (Niesiecki Tom 9, fol. 463)

dzieć; tylko wznosił oczy do nieba i błagał przebaczenia boskiego dla całéj naszéj rodziny — coś to bodaj na pradzia-

---

Adrzej Moskorzewski z Moskorzewa, Niesiecki Tom 6. 483); komisarz do granic do Węgier 1637.

Seweryn Lipowski z Lipowa, (Niesiecki Tom 6, fol. 107); żył 1636, a zatém tenże sam rok sejmiku w Opatowie; jest jego nagrobek w kościele OO. Bernardynów w Sendomierzu i żony jego Budzińskiéj, z herbami Ciołek i Janina, położony roku 1646.

Mikołaj Dębiński z Dębna, (Niesiecki Tom 3, fol. 320), syn Gabryela i księżnéj Zbarazkiéj a wnuk Jędrzeja, który żył lat120 i żyłby dłużéj, ale nadarzone powietrze zabrało go do grobu.

Piotr Opocki, Niesiecki (Tom 7, fol. 122); w województwie Sendomirskiém, z wielkiéj Opoki Opocki; najprzód podczasy lubelski, poseł na sejm 1661, potém podwojewodzic sendomierski, fundował w Sendomierzu OO. Reformatów.

Daniel M. (Michał) *Swirski*, wojski lwowski, tak się podpisał, (Niesiecki Tom 8 fol. 585), syn Stanisława stolnika lwowskiego.

I wielu innych. Praca takiego odszukiwania i zaznajamiania się razem, miłą jest i nader zajmującą. Autentyk tego *laudum* Wołkanowskich odsyłam do Warszawy, hrabiemu Aleksandrowi Przezdzieckiemu, a nuż tam się znajdzie jaki Sandomierzanin, który autograf podpisu swojego przodka ujrzy między sejmującymi w Opatowie 1636 roku.

dach naszych ciąży... niedaj Boże aby się to na prawnukach skrupiło!...

No, więc tak; rozrodzeni i niezgodni, rozsypali się po różnych stronach: a jeden z nich, Stanisław Janowicz Wołkanowski oparł się aż tu w województwie Mińskiém i stał się dziedzicem *Sieliszcza.*

Gdzieś tam o mil kilka od Illii jest jakieś *Sieliszcze*—rzekł starosta.

—Też same to, też same, panie dobrodzieju, i gdyby sprawiedliwość święta była na świecie, byłbym o mil kilka sąsiadem pańskim.

Ten pan Stanisław Wołkanowski był to człek wojskowy: za królów Zygmunta III-go i jego syna Władysława IV-go, przypowiadano go rotmistrzem to pieszym to kozackim; i zawsze z pocztem sowitym stawał na wyprawach (1). Lecz z téj przy-

(1) List przypowiedni Zygmunta III. r. MDCX sierpnia XXIV na sto kozaków. Autentyk.

czyny, nie mogąc dopilnować ani fortuny, ani gospodarstwa, udał się do gniazda imienia swego w Sandomirskie, i tam namówił dziada mego, a krewnego swego, zawołanego gospodarza, aby sprzedawszy swój folwark przeniósł się do Litwy, a po staremu do Sieliszcza, gdzie mu do wiernych rąk chciał spuścić całą swą substancyę, a nadto dobrą dzierżawą ukontentować.

Tak się i stało: dziad mój, spieniężywszy wszystko co miał, za część kapitaliku wziął w zastawę folwark od Sieliszcza, a resztę oddał na prowizyę tak życzliwemu krewniakowi, i zajął się wprowadzeniem do jego gospodarki ładu, którego dotąd ani za grosz nie było.

Z początku szło wszystko dobrze i coraz

List otwarty na 200 piechoty Władysława IV r. MDXXXIV stycznia XX. Autentyk.

ku lepszemu, bo pan rotmistrz w szczerych intencyach sprowadziwszy mojego dziada, zawierzył mu zupełnie; ale jak tylko on wyruszył na wyprawę, małżonka jego, bardzo fertyczna imość, sama wnet rządzić wszystkiém postanowiła, i z pomocą dwóch synalów, już dobrych wyrostków, wypędziła mojego dziada z Sieliszcza. Jeszcze to mniejsza było: osiadł on bowiem w swojéj zastawie i nie dbał o panią rotmistrzowę; gadał jéj prawdę bez ogródki, że Sieliszcze pod jéj rządem pójdzie świdrem, a mąż, powróciwszy do domu, nie będzie miał za co podziękować Imości dobrodzice, któréj bezładem i rozrzutnością fortunka piękna ginęła marnie— więc i o swój kapitalik kołatać począł, co tém bardziéj rozgniewało babę, tak, że usadziła się na jego zgubę. Jakoż, gdy mąż wrócił do domu, tylę mu wexy i nienawiści nakładła do serca na mojego dziada, że już

sposobu pojednania się nie było, a rotmistrz wypędzić go z zastawy bez zwrótu summy zadeklarował. Mój dziad zaś, pragnąc co najrychléj wyrwać się z téj otchłani i wrócić w Sandomierskie, pozwał rotmistrza o zwrót wszystkich swoich pieniędzy.

— Ktoś tam powiedział, panie dobrodzieju— mówił daléj Wołkanowski,— że dwóch jakichciś Mości panów, prawując się z sobą, na jednym wózku do sądu jechali— to nie prawda Mości dobrodzieju, to dali-Bóg nie prawda. Albo powiadają: »przyjaźń przyjaźnią, interes interesem.» Jnteres i przyjaźń, to jak ogień i woda: kiedy jedno z drugiém zbliżysz, to albo ogień tak wodę podpali, że wnet zawrze, albo woda zagasi ogień; ale gdyby ogień

w wodzie palił się, to tego jak świat światem nie było i nie będzie, tak, jak nie było i nie będzie, aby razem i kochać się i kłócić się.

—No, ale cóż daléj?—przerwał starosta.

—Daléj, panie dobrodzieju, zaczęła się wojna, do któréj się wziął rotmistrz najprzód, zadając dziadowi memu *imparitatem*, wypierając się wszelkiego z nim pokrewieństwa, owszem dowodząc mu samozwaństwa. że się podszył pod jego nazwisko, a był *de radice* plebejusz. Uczynił to w nadziei, że wiekiem podeszły dziad mój nie zdąży w dalekie koronne strony po dowody swéj rodowitości, któréj gdy nie dowiedzie, pozbędzie się wszelkich praw i prerogatyw szlacheckich i szczęśliwym będzie, gdy go choć z duszą z Litwy wypuszczą.

Ale się kaducznie omylił, bo wziąwszy

Pana Boga na pomoc, dziadek mój ruszył bez zwłoki do swego gniazda w Sandomierskie, i ztamtąd przywiózł ten oto dokument, nieoszacowanéj waluty, który JW. pan dobrodziéj w ręku trzymasz, a oprzysiągłszy go jeszcze na trybunale w Mińsku, nie tylko się nim jak tarczą od persekucyi zasłonił, ale jeszcze dopominał się o nawiązki, i aby według Statutu potwarca pod ławą jako pies, potwarz odszczekał.

Nie chciało się panu rotmistrzowi tego *hau! hau!* z pod ławy; bo prawdę mówiąc, ten honor pani rotmistrzowéj właściwiéj by należał, jako skrytéj do wszystkiego złego tentatorce. A tu nie było rady, trzeba było i pieniądze i dobrą sławę wrócić nienawistnemu adwersarzowi, więc go inaczéj pozbyć nie mogąc, zabić postanowili.

Niżeli jednak te niegodziwe zamysły

doszły do skutku, rotmistrz umarł, i dobrze zrobił, bo nie poniósł na sobie przed sąd Boski kryminału, do jakiego wiodła go zawzięta baba, a pewniéj diabeł przez nią, bo wiadomo, że gdzie on sam nie może, tam babę podsadzi. Możeby zresztą rotmistrz i nie dopuścił się takiéj zbrodni, na którą Mości dohrodzieju *horret animus*, zwłaszcza człowieka rycerskiego, jakim on był; ale wdówka nie skrupulatka, i z godnym synalem swoim Franciszkiem Wołkanowskim, ułożyła plan, który dziada mego pewnie do nieba, jak męczennika, a ich oboje do piekła zawiódł.

Przechwałki częste, jakie zalawszy sobie w pałkę i buszując po sąsiedztwie, ten Franciszek rozpuszczał, doszły nakoniec do ucha dziada mojego; więc on warując bezpieczeństwo życia i zdrowia swego, list zaręczny na 10,000 kóp groszy, przeciw tym odgróżkom wyniósł, ale im

bardziéj prawną obrzucał ich siecią, tém większą w ich tylko pobudzał zawziętość, i nakoniec, krótko mówiąc, napadł Franciszek z dobraną bandą łotrów pijanych na dom jego, i bezbronnego okrutnie zabił... a nie dając nawet czasu, aby poczciwie i po chrześcijańsku pogrześć go, trupa na wóz włożyć kazał, i przy tym samym wozie obumarłą prawie wdowę z dziećmi wygnał za wrota (1).

— Cóż to za zbrodnia!— zawołał zdziwiony i porywając się z miejsca starosta— w tatarskim, barbarzyńskim narodzie nic podobnego nie słyszano! — Cóż daléj, cóż daléj, uszłoż to jemu na sucho? Nie byłoż natenczas prawa? nie było trybunału na ukaranie zabójcy? nie byłoż

(1) Cała ta historya Wołkanowskich jest prawdziwą.

litościwych ludzi, którzyby nieszczęśliwą wdowę wsparli?.. byłże i jest Bóg na niebie!..

— Jest, panie dobrodzieju, jest! i doznała babka nasza Jego opieki. On poczciwych ludzi natchnął miłosierdziem, oni przygarnęli biedną sierotę, akklamowali zabójcę tak, że nigdzie pokazać się nie mógł, i dali sposób dochodzenia na nim sprawiedliwości i kary.

—Otóż tu,— mówił daléj starzec biorąc w rękę papiery—okażę JW. panu od początku do końca de *data et actu*, cały proceder, w którym stanęły naprzeciw sobie dwie wdowy: jedna po zabitym mężu, matka osieroconych dziatek, wołająca sprawiedliwości; druga, matka zabójcy, chcąca ratować siebie i syna. Jedna z niewinnością i łzami, druga z zakamieniałém sercem i piekielną chytrością; słowem, walka to anioła z szatanem. Wy-

grana pewnie w sądzie Boskim, ale w ludzkim... obaczy jegomość dobrodziéj.

Więc najprzód pozew...

— Nie, mój Mości panie — rzekł starosta — jużem cię prosił, abyś wywodów prawnych zaniechał. Opowiadaj jeśliś łaskaw same ostateczne ewenta, których bardzo ciekawy jestem; wszakże słowom twym wierzę i z nich dostatecznie się przekonywam, że i przed nami nie było lepiéj niż teraz, że zawsze na dwoje między ludźmi: źli i dobrzy, prześladowani i prześladowcy.

— Ależ, bo to bez dowodów trudno uwierzyć takim *exorbitancyom*, jakie opowiadać mam. Po przewiedzionych zatém inkwizycyach *in loco delicti*, a w których zbrodnia odkryła się najoczywiściéj, rzecz się wytoczyła przed trybunał w Mińsku, na który gdy grubą żałobą okryta weszła babka moja, prowadząc synka i

córeczkę za ręce, a majestatem sądu strwożona i z przytomności zbita, sama nie wiedząc co czyni, padła na kolana i żałośnie płakać zaczęła, całe prześwietne koło deputatów powstało z miejsca, otoczyło ją i pocieszało niebogę. Po takim wstępie poznał obrońca pani rotmistrzowéj, że mu będzie trudna rada, że gdy zaprzeczyć oczywistéj zbrodni nie może, to i bronić jéj trudno: więc gdy obmowy rzucone przezeń prawie wszystkim deputatom nic nie pomogły, a trybunał brał się do *scrutinium*, on w insze uderzył. Złożył przed sądem listy przypowiednie królów, i w nich zalety męztwu i posługom oddanym krajowi przez Stanisława Wołkanowskiego, ojca zabójcy. (1) »Sądzić, rzekł on, syna na gardło, podług żądania nielitościwéj wdowy, jest to posłać go z oznajmie-

(1) Listy takowe mam przed sobą.

niem do ojca, jak nagrodzone są jego ciężkie fatygi i jego krew dla ojczyzny toczona.« Takim argumentem z ojcowskich zasług ujął i skruszył sędziów tak, że oni chcąc pogodzić surowość nad synem, ze względami na pamięć ojca, któréj hańbą okrywać nie śmieli, tém bardziéj, że winowajca tułał się już nie wiadomo gdzie, a zatém że go miecz katowski dosięgnąć nie mógł, na wieczną go banicyę razem z matką wskazali, a za czworaką główszczyznę, i za listem owym zaręcznym, który dziad mój wyniósł, warując bezpieczeństwo swego żywota, wszystkiego ze wszystkiém, piętnaście tysięcy kóp groszy, na wszelkiéj substancyi banity, dla wdowy i dzieci zabitego przysądzili (1). Babka więc moja, opublikowawszy wedle prawa banicyę, jako okup krwi męża, zajęła Sieliszcze.

(1) Dekret 1639.

— *Tandem bona causa triumfat*,—zawołał starosta, odetchnąwszy głęboko, jakby mu ciężar spadł z piersi.— No, to i koniec procederu.

— Oho! ze złymi ludźmi, mój dobrodzieju, chyba na sądnym dniu końca procederu i tryumfu nad nimi dojdziesz; ale w prawach i statutach ludzkich zawsze się znajdzie jakaś luka, przez którą wykręt, jak złodziéj do zamkniętéj komory, wciśnie się i wszystko do góry nogami przewróci. Ledwo moja babka przesiedziała spokojnie dwa lata, gdy niejaki pan Siekierski ogłosił się właścicielem Sieliszcza, i wyjechał z prawem nań przedażném od nieboszczyka rotmistrza jemu, rokiem jakoby przed śmiercią wydanym: i ledwo moja babka zaczęła naprzeciw takowym podkopom i niegodziwym falsyfikacyom składać rady i porady, nie wiedząc wcale co się to święci? i jakim

kaducznym fortelem zajść ją miano, gdy ten pan Siekierski, zaprodukowawszy tylko publicznie swe prawo, cedował je wnet XX. Karmelitom Głębockim; ot już i trudniejsza byłaby sprawa z bogatym klasztorem, niż z jednym jakimś tam *Ciecierukiem.*— Po zajęciu Sieliszcza przez babkę moją, o pani rotmistrzowéj ani słychać nie było: rozumiano powszechnie, że jako banitka, zakopała się w jakimś klasztorze, i syn jéj także że gdzieś kapturem głowę nakrył, upamiętał się i za swój grzech ciężki pokutuje; bo żaden naówczas banita, a nawet i teraz Mości dobrodzieju, nie ulega tak dalece wyrokowi wygnania, żeby aż kraj opuszczał, i jeżeli cicho siedział, nikt go nie zaczepiał ani prześladował. — Ale i Karmelici nie chcieli widać wdawać się publicznie w tak haniebną robotę, chociaż ręce ku temu przyłożyli, i chociaż wieść była, że

Franciszek banita u nich się przechowywał i ich habitem okryty chodził; założyli więc oni tylko ze swego imienia i stanu, jakby drugą rappę, którą nam potem przebywać trzeba było. Zatém przedają oni Sieliszcze jakiemuś Kuncewiczowi, tęgiemu widać prawnikowi, a złączonemu szeroką parentelą z bardzo możnemi imionami na Litwie i na Rusi. Takie przedaże mogłyby i przez dziesięć rąk przechodzić; i cóżby ztąd dobrego wyniknąć mogło dla rotmistrzowéj, gdyby nawet który z nabywców wyforował z Sieliszcza moją babkę z dorastającym już jéj synem, a moim ojcem, Adamem Wołkanowskim; ale był to widać plan od początku już ułożony, a do tego zmierzający, aby *banitka* wleźć mogła nazad do fortuny niegdyś swojéj, lecz aby w procesie ztąd koniecznie wyniknąć mającym, nazwiska jéj, ani jéj osoby nie było.

— A tegoż jakim sposobem dokazać mogła?— zapytał starosta.

—Ot bardzo łatwo, chociaż zrazu nikt się nie domyśli! Żeni się z nią *Kuncewicz*, i jako nabywca *Sieliszcza* od Karmelitów, zajeżdża *violenter* ten majątek, i moją babkę z synem wypędza. Znowu więc biedna wychodzi ubogo za też same wrota, przez które przed kilką laty wyszła za trupem męża swego...

Stary zamilkł, był mocno wzruszonym, a starosta oparłszy głowę na ręku, patrzał we zwilżoną jego źrenicę.

— Cóż się potém stało?— zapytał znowu starosta.

— Ha, nie dozwalasz pan dobrodziéj produkować sobie nastałych potém z kolei judykatów, przez które babka moja

przechodzić musiała, szukając sprawiedliwości, i najdowała ją prawie zawsze; ale cóż z tego? kiedy sprawiedliwość swoje, a złość ludzka swoje. Zamiast jednego procederu o wygnanie z *Sieliszcza* i *wiolencyą* z *Kuncewiczem*, trzy razem wynikły sprawy; bo on pozwany, przypozwał Karmelitów, a Karmelici *Ciecierskiego;* któż ich wszystkich mógł zebrać razem? Ciecieruk do takiéj budy gdzieś skrył się, że go ani słychać nie było. Karmelici bez niego, jako swego prawodawcy, protestowali aktorat i odrzekli się wszystkiego; a Kuncewicz podług przysłowia: *beatus qui tenet*, napiął i poruszył wszystkie sprężyny swego pieniactwa, i licznych swych adherentów familijnych, aby otrzymując dekreta naprzeciw dekretom, godzić na zwłokę, któréj babka moja, bez sposobu i bez żadnych tu na Litwie związków, gdyż była

Sandomierzanką, *de domo Grabowska*, dotrzymać nie mogła.

A wszakże Bóg jéj nie opuścił; udała się ona do swojéj i mężowskiéj familii, właśnie tamże w Sandomirskie. Pamiętali tam jeszcze dobrze, gdy mąż jéj po swój wywód na sejmik do Opatowa przyjeżdżał; żyli jeszcze owi dygnitarze i urzędnicy, którzy mu to zacne testimonium podpisali. Im więc wszystkim gdy opowiedziała śmierć męża swojego, swój stan nieszczęśliwy, i swój proceder, nie tylko hojny jéj złożyli supplement, tak, że było o czém i za czém borukać się z panem Kuncewiczem, ale jeszcze mądre koronne głowy dodały jéj rad, za któremi idąc, gdy wróciła tutaj, z innéj a niespodziewanéj beczki zaczęła.

Zostawiwszy bowiem na boku i Ciecieruka i Karmelitów a nawet i Kuncewicza, stanęła w tymże samym Mińskim

trybunale, który pierwszy dekret w téj sprawie ferował i upomniała się o głowę *banitki*, która złamawszy *auctoritatem juris*, okazała się oczewiście w kraju i żyła w zajechanéj gwałtownie fortunie — Sprawa gardłowa, panie dobrodzieju! nie żarty!

Trybunał, przekonany dowodnie, że pani Kuncewiczowa jest to taż sama rotmistrzowa Wołkanowska, wspólniczka z synem swoim Franciszkiem zabójstwa dziada mojego, i razem z synem wskazana na wieczną banicyę, nakazał *kaptiwacyę* (1) jéj osoby; a co już nieodmienie szło za tém, że gdyby ująć się dała, głową musiałaby nałożyć. Wyrok ten wykonano ściśle; urzędnik ziemski, *cum brachio militare* (2) udał się do Sieliszcza, a pan Kuncewicz sam mu otworzył bramę; kwe-

(1) *Kaptiwacya.*— Pojmanie.
(2) Z pomocą wojskową.

rendowano więc po wszystkich kątach i nie wynajdziono *banitki.*

Tak na gorącym razie uległszy wrzekomo prawu i wyparłszy się wiadomości nawet o swéj żonie, a nie należąc sam do kryminalnego processu, osiedział się jeszcze w Sieliszczu. Jednakże ściśléj strzegł swego domu, obił ostrokołem dwór cały, zaryglował bramę i dobrze wprzód rozpytywał kto jedzie, nim ją otworzył; a lubo ogłosił był, że żona jego przed rewizyą, tajemnie w nocy nie wiadomo gdzie ujechała, i że te ostrożności czynił, lękając się zajazdu babki mojéj, uzyskującéj coraz nowe na nim konwikcye — domyślano się jednak, że w obszernym swym pałacu ukrywał gdzieś banitkę, bo doń nie wszystkim nawet służebnikom swoim wchodzić dozwalał.

Nie długo to jednak trwało, bo bez kluczów, a swoją kosą jak wytrychem śmierć

odparła rygle i weszła tam do nich ta instygatorka, Mości dobrodzieju, przed którą nikt na świecie nie obwaruje się. Tajemnica zatém odkryła się, bo czy to z wielkiéj aprensyi, czy z ciężkiej żelozyi i passyi, dość, że zaklęta tam gdzieś baba, zaniemógłszy z rana, wieczorem już konała, i przelękniony mąż nie mógł jéj ukryć, bo straszny ryk konającéj rozchodził się nietylko po budynku całym, ale i po całym dworze, a wszyscy ze strachem uciekali i zatykali sobie uszy. Nie było czasu przybyć ani doktorowi, ani kapłanowi: *qualis vita et mors ita* (1), a więc po takiém ciężkiém konaniu wyjechała pani rotmistrzowa w trumnie, przez też same znowu fatalne wrota, przez które trupa zabitego przed laty dziada mego wyprawiła.

(1) Jakie życie, taka śmierć.

Wkrótce potém dziwne rzeczy opowiadano, co się tam działo! Kuncewicz wyniósł się z budynku na folwark, nie mogąc dotrzymać placu ustawnym co noc strachom i szatańskim korowodom, na których żoneczka jego réj jakoby wiodła; widywano też niekiedy jakiegoś tam mnicha, zjawiacego się ciemnemi wieczorami we dworze, wsuwającego się do komnaty Kuncewicza, na jakieś tajemne konferencye, o których Kuncewicz nikomu nie gadał, błąkającego się po opustoszałym pałacu i niknącego niewidomie, tak jak przybywał. Wszyscy zgadywali, że to był ów Wołkanowski, pokutujący za zabójstwo mojego dziada; zgodzić się tylko i dojść nie mogli, czy on żywy czy umarły chodzi, a nikt doń przystąpić ani zbliżyć się nie śmiał.

W takiém nieustanném otumanieniu żyjąc Kuncewicz, a odwiedzany przez tych

nieproszonych gości, wpadł w głęboką melancholiję, lękał się ludzi, lękał się własnego cienia, zaniedbał gospodarkę i procedera. Łatwiéj więc iść poczęła i nasza z nim rozprawa, i przyszłaby pewnie do końca, gdyby także i Kuncewicza na sąd Boski nie zaapelowano wkrótce; poszedł on w tropy swojéj żony, tylko że w lepsze uprowidował się testimonia niżeli ona, bo po chrześcijańsku wyspowiadawszy, i opatrzony świętym wijatykiem, spokojnie umarł.

—No,— rzekł znowu Sołohub— to i skończona rzecz; wjechaliście zatém do Sieliszcza, bo nie było już ktoby wam tego bronił.

—Oj był, był taki, i nie jeden jeszcze panie dobrodzieju. *Sokolińscy*, *Jeleńscy* i *Korsakowie*, sukcessorowie *Kuncewicza*, zajęli wraz po jego skonaniu fortunę i stanęli na przeciw nam, właśnie jakby w o-

wych fatalnych wrotach, przez które już tyle żywych i umarłych wyjechało.

—Znowu więc process — rzekł zniecierpliwiony, a chcący skrócić jednostajność opowiadania Sołohub.

—Oh! nie zgadniesz pan dobrodziéj co znowu.

— Cóż takiego?

—Cud! umarły czy prawdziwy, czy domniemany, zmartwychwstaje, i na przeciw matki własnéj i na przeciw sobie samemu świadczy; *Mirabilia*, Mości dobrodzieju, *Mirabilia!*

Zainteressowany więc na nowo starosta, — no — rzekł — to coś osobliwszego, słucham.

Krzysztof Kiszka
Wojewoda Witebski (1).

— Zapomniałem JW. panu powiedzieć—mówił daléj Wołkanowski, że bab-

(1) O nim Niesiecki— T. 1, fol. 103.

ka moja, gdy jeździła do familii w Sandomirskie, zostawiła tam syna swego, a ojca mego, *Adama*, już dobrym wyrostkiem. Przyjęty on tam jako sierota, promowany został w palestrę; podaplikowawszy się dobrze, a bardziéj przetarłszy się między ludźmi i doszedłszy lat dojrzałych, za pomocą to krewnych, to przyjacioł jeszcze ojcowskich, ożenił się, i matce swojéj a mojéj babce i synowę i mnie wnuka, i pieniążków posagowych podwiózł, a co najbardziéj, że ją skołataną wiekiem i kłopotami w téj nieszczęśliwéj a tak długiéj procedurze zastępując, sam oną popierać zaczął.

Przybył on tu właśnie zaraz po śmierci Kuncewicza i po zajęciu Sieliszcza przez jego sukcessorów. Dekretów utwierdzających prawa babki mojéj i jéj syna nie brakło:—jest tu, mówił wskazując na papiery — i ziemskich, i trybunalskich, i

asessorskich i zadwornych kilkanaście; zwłaszcza że jakem to powiedział JW. panu, Kuncewicz przed śmiercią upadł na siłach i wcale słabo się bronił, albo też nie stawał u sądów; szło więc tylko o egzekucyę tych dekretów. Za życia Kuncewicza babka moja nie miała już na to ani grosza, a po jego śmierci, gdy sukurs nadszedł, było już bardzo trudno walczyć z temi przeważnemi domami, tak dalece, że żadnego nawet urzędnika ziemskiego do zatradowania majątku bronionego przez nich, namówić nie można było.

Więc mój ojciec, znający już świat ten szeroki i wszelkie na nim drogi, nie długo namyślając się, rezolutnie ruszył do króla regnanta, natenczas Jana Kazimierza, a stanąwszy przed jego majestatem, wszystko mu *ab origine* wypowiedział i autentycznemi sprawami dowiódł.

Podobała się królowi śmiałość i roz-

tropność młodego człowieka, a nie spodobała się krzywda, i taka zwłoka świętéj sprawiedliwości: zatém od boku swego pańskiego wyprawił dworzanina z własnym mandatem, aby dekreta, zwłaszcza trybunalskie, do skutku przywiódł i ojca mego do Sieliszcza wprowadził.

— Maszże ten mandat w papierach twoich?— przerwał Sołohub.

—A jakże, oto jest,—rzekł Wołkanowski nie długo szukając— znam po wierzchu wszystkie moje papiery— i podał jeden z nich staroście.

Sołohub wziął do rąk pismo własną ręką króla podpisane i wielką pieczęcią utwierdzone; patrzał na nie, i wsparty czołem na ręku, zadumał się— *Incipit calamitatem Regni* (1)— wymówił potém jak-

(1) Na monetach Jana Kazimierza, wybitą jest cyfra jego, składająca się z trzech liter J. C. R., znaczy *Joannes Casimirus Rex.* Lecz nieszczęśliwe panowanie tego króla,

by sam do siebie, i długo jeszcze dumał... Wołkanowski nie przerywał mu, owszem, wlepionym na Sołohuba wzrokiem zdawał się pojmować i czuć jego myśli,— któż zgadnie? czy w przeszłość cofnione i błądzące po ruinach ziemi téj, któremi się za czasów Jana Kazimierza pokryła, czy wybiegły w przyszłość, i zgadują losy które on *incipit*..

Po téj przerwie, prowadził daléj stary swe opowiadanie.

— Lecz nim się to wszystko stało, mówił— nim ojciec mój ten mandat w Warszawie wykołatał, i dworzanina królewskiego się doczekał, upłynęło kilka miesięcy; a tymczasem zjawia się w Mińsku

---

dało powód do innego zastosowania tych liter początkowych, to jest *Incipit Calamitatem Regni* — Rozpoczął nieszczęścia królestwa. Każdy znajomy dziejów naszych uzna trafność takowego tłómaczenia, choć winę nieszczęść na Polskę natenczas spadłych, nie samemu tylko królowi przypisze.

najniespodziewaniéj, zapomniany już i jakby z tamtego świata, zabójca dziada mego, Franciszek Wołkanowski; składa i publikuje *sublewacyę* od kryminału, jakoby jeszcze przez Władysława króla, poprzednika Kazimierzowego mu daną, i składa razem *rewokacyę* Kuncewicza, to jest przedśmiertne a własnoręczne pismo jego, w którém wyraził, że idąc na sąd Boski, i chcąc przez restytucyą cudzego dobra ulżyć swemu sumieniu, wyznaje, że nigdy Stanisław Janowicz Wołkanowski rotmistrz nie przedawał Sieliszcza Ciecierskiemu; że prawo przedażne po jego śmierci podrobioném było; że księża Karmelici, nie wiedząc o niczém, przyjęli i opłacili cessyę Ciecierskiemu; lecz wkrótce domyślając się w tém jakiéjś złéj roboty, nastręczającemu się Kuncewiczowi, bez targów i zarobków tę fortunę oddali; że całą tę robotę on sam z wdową Woł-

kanowską ułożyli i dokonali; że nakoniec błaga Majestat Boski, aby w swém nieograniczoném miłosierdziu duszy jego był miłościwym, i nie złączył go w piekle z potępienicą żoną jego, która go za życia do wszystkiego złego wiodła, i po śmierci jeszcze w postaci okropnéj larwy straszyła.

— *Horrendum!* — zawołał Sołohub — *horrendum!* syn na matkę takie składał świadectwo!

— A tak, składał; widać że Kuncewicz, molestowany srodze przed śmiercią przez banitę i własne sumienie, gdy postanowił odkryć prawdę, to już ją całkowitą i bez ogródki wypisał, a Wołkanowski, gdy innego *testimonium* odeń wyjednać, lub wymusić nie mógł, wolał przyjąć i takie, choć z obwinieniem własnéj matki, bo mu więcéj o fortunę niżeli o matkę chodziło.

Wtenczas odgadniono, kto był ów kapturnik, który snuł się niekiedy po Sielickim dworze i Kuncewicza na jakieś tajemne brał konfessaty. Ogłosiwszy tedy razem i *sublewacyę*, *i rewokacyę*, rozumiejąc że jedna chroni jego osobę, a druga fortunę mu oddaje, nie czyniąc, ani czekając żadnych prawności, wpadł on do Sieliszcza i z pomocą chłopstwa, które dawnego panicza swego, choć teraz podżyłego już i wymizerowanego poznało, wypędziwszy wszystkich oficyalistów Korsakowskich i Sokolińskich, zajął dwór cały i w nim się rozgościł.

Był natenczas wojewodą Witebskim Krzysztof Kiszka, lecz mieszkał w województwie tutejszém Mińskiém, w dobrach swoich Dekszniánach. (1)

— Stój waszmość— przerwał Sołohub.

---

(1) Dobra te należą dziś do Wołodkowiczów.

Tu podjął w górę i tarł czoło, gromadząc widać myśli swe i przypomnienia.—Tak— rzekł potém—tak; Krzysztof Kiszka, syn Stanisława wojewody Mścisławskiego, głucho-niemego od urodzenia, a zakamienia-łego Aryanina (1). Nad nim to Bóg wielkie cuda uczynił, bo najprzód z Sapieżanki liczném go i mówném obdarzył potomstwem.

—Jak to panie dobrodzieju? chybaż i on sam przemówił na kobiercu — rzekł zdziwiony Wołkanowski.— Jakże wziąźć ślub nic nie gadając?

—No, ja nie teolog, więc tłómaczyć tego waści nie będę; ale Kościół ma na to swoje reguły. A jeden z jego synów, także Stanisław, nie idąc w ślady ojcowskie, za szczególniejszą łaską Boską do stanu

---

(1) Niesiecki Tom 5, fol. 102.

duchownego wstąpił; a że był człek wielkiéj nauki, bo i w cudzoziemskich szkołach przepolerowany, więc wysokich w duchowieństwie dostąpiwszy godności, nakoniec Biskupem Żmudzkim został, i ojca swego już starego do odrzeczenia się aryanizmu, a powrócenia na łono katolickiego Kościoła nawrócił; jakoż ten niemowa wyspowiadawszy się, (1) rozgrzeszonym i do owczarni prawdziwéj Chrystusowéj przyjętym został.

Na synach jednak tego niemego Stanisława, wojewody Mścisławskiego, skończył się sławny i świetny na Litwie ród Kiszków; bo Mikołaj, drugi z wieku syn jego, wojewoda Derptski, potém kasztelan Trocki, i nakoniec podskarbi W. Li-

(1) Niesiecki powiada, że się wyspowiadał Biskupowi Wojnie przez tłómacza. Widać więc, że sztuka rozmowy z głucho-niememi już natenczas znaną była.

tewski, rycerz znakomity i pogromca Szwedów, z dwojga małżeństwa, wprzód Radziwiłłownéj, a potém Leśniowolskiéj nie miał żadnego potomstwa.

Krzysztof, trzeci brat tamtych, ten właśnie o którym waszmość wspominasz, wojewoda Witebski, miał trzy córki, także z Radziwiłłównéj.

Czwarty nakoniec, Janusz, hetman W. Litewski, wódz znakomity, pod Chodkiewiczem sztuki rycerskiéj się uczył, i pod Kircholmem już się mężnie krajowi zasłużył, a potém w rozmaitych potrzebach dzielnie go bronił; miał za sobą księżnę Drucką Sokolińską, z niéj atoli nie zostawiwszy potomka, ostatni domu i imienia Kiszków, zszedł z tego świata w Krzywiczach *anno milesimo...* Znowu Sołohub wzniósł czoło w górę, szukając daty—*milesimo... sexagentesimo... quindecimo...* preter propter *tertio.* — Może Bóg dopuścił

sterilitatem i przerwał ród domu tego starożytnego za to, że pierwsi Kiszkowie aryanizm do Litwy wnieśli.

Wołkanowski słuchał z uwagą, pokręcając głową, téj heraldycznej erudycyi Sołohuba:—ale zkąd to—rzekł potém—taka JW. pana wiadomość o Kiszkach?

—Boć to Mości panie—odpowiedział uśmiechając się Sołohub—nie wasze szlacheckie czarne żmudzkie kiszki, ale kiszki białe, ab origine *białe.* Trzeba ci bowiem wiedzieć, że pierwszy ich przodek zwał się Zgierski, szlachcic herbu *Dąbrowa;* ten gdy na dworze Jana Białego, hetmana Litewskiego, przebywał, zdarzyło się raz, że dano na stół na zakrytym półmisku kiszki, które hetman rad jadał, lecz zawsze je kuropatwami pieczonemi nazywał, w czém go i wszyscy dworscy naśladowali. Widząc zakrytą potrawę zapytał hetman Zgierskiego, co dano?— ten za-

pomniawszy nowéj nomenklatury, odpowiedział z prędkości: kiszka.— Ty sam kiszka!—rzekł hetman, i odtąd dworując sobie nazywał zawsze Zgierskiego Kiszką.

Przyjmował spokojnie jako od pana te do siebie przycinki Zgierski, aż gdy i inni dworscy, potakując panu, tytuł ten poczęli mu z urąganiem dawać i uszczypliwie mu dokuczali, zniecierpliwiony i obrażony, nieraz im kordem odpowiadał, co widząc i słysząc hetman, przywołał go do siebie i rzekł:—»Żart ten mój, który cię takiego menkamentu nabawia, fortunnym ci będzie: mam córkę jedynaczkę, gładka jest i dobra dziewka, a wszystkiego co mam dziedziczka (był zaś to pan wielkiéj substancyi i mnogie miał na Litwie imiona); tę ci za żonę ofiaruję, pod warunkiem jednak, żebyś i to imie Kiszka, tak na siebie, jako i na potomstwo które ci Bóg da przyjął.«— Hetman albowiem

widział w Zgierskim męża przysposobionego z natury do dzieł wielkich i pięknemi przymiotami ozdobionego. Od tego zatém czasu imie Kiszków zajaśniało w ojczyznie, i *tam in toga, quam in sago* (1) się rozsławiło.

— A toć JW. panie, za taką gratyfikacyę niechby mój Piotrek i kiełbasą został.

— A czemuż nie? któż wie co go czeka?... mówił starosta—i nie poniżyłby się on wcale, gdyby się kiełbasą przezwał: dawna to szlachta w Polsce, herbu *Nałęcz*; siedzieli oni niegdyś Mości panie i w senatorskich krzesłach i w biskupich infułach (2); nie wiem i wątpię czy są teraz?

— A więc, gdy jak powiadasz JW. pan, kiszek i kiełbas nie stało, chwałaż Bogu,

---

(1) Tak w radzie, jako i w orężu.

(2) Niesiecki. Tom 4, fol. 228.

że jeszcze została nam wereszczaka, bo sam znam w Nowogrodzkiém wielu panów i znakomitych tego nazwiska; muszą oni być w kolligacyi z tamtymi.

Starosta się uśmiechnął, ale rzekł poważnie:— O takiéj kolligacyi Wereszczaków nie wiem: ale wiem, że to dawne i szlacheckie imie, jest w kolligacyi z najdawniejszemi i najgodniejszemi domami w Litwie, a między innemi i z moim.

— Nie wiedziałem tego; daruj JW. pan,— rzekł kłaniając się nizko Wołkanowski — ale uniżenie powtarzam zapytanie, zkąd JW. pan wiesz to wszystko?

— Jak przyjedziesz waść do mnie do *Illii* na polowanie, a przyjechać musisz koniecznie—rzekł Sołohub,—to za pokutę, że się nie znasz na heraldyce, a co każdy szlachcic mniéj więcéj znać powinien, aby wiedział z kim się bratać a z kim roz-

bratać— nie poprowadzę cię na obławy, ale włożę ci na nos okulary.

— A to na co, JW. panie? chwała Bogu nie potrzebuję ich jeszcze.

— No, nad staremi księgami siedzieć bez okularów jakoś nie wypada; więc zasadzę cię nad takiemi foliałami, z których nauczysz się tak jak ja, ciekawych prozapij i herbów różnych naszych familij, a może i własnéj. — Ale wróćmy do twojéj historyi. — Cóż tedy zrobił pan wojewoda Witebski?

— Otóż, widzisz JW. pan,—mówił daléj Wołkanowski—był on wojewodą Witebskim, ale mieszkał w Dekszniánach, w tutejszém województwie Mińskiém.

— Wiem— już to mówiłeś.

—I był podobno powinowatym jakimś Sokolińskich...

— Tylko co mówiłem, przerwał Sołohub— że brat najmłodszy Krzysztofa, Ja-

nusz Kiszka, hetman W. L. miał za sobą Sokolińskę; więc powinowactwo było bliskiém, bo mu Sokolińska była bratową.

—Widzisz tedy JW. pan, że nie kłamię.

—Widzę—odpowiedział starosta,—ale razem widzę, żeś się nie zdał mi na ucznia heraldyki, bo nie pamiętasz i tego, com tylko co powiedział.

— Stara głowa, panie dobrodzieju! stara głowa! i tylko swoją biedą nabita; co za dziw, że na pamięci faluje.

—Pokrewieństwo to jednak nie tyle zapewne wpłynęło na postępek wojewody, ile *rumor* publiczny, który po powrócie i objęciu Sieliszcza przez Edwarda Wołkanowskiego, szerzyć się zaczął między szlachtą i panami nawet, że zabójca i banita siedzi bezpieczny i spokojny, a nikt mu i słowa powiedzieć nie śmie.— Czy to już u nas prawa nie stało?— mówiono— czy to już wolno będzie zabijać

bezkarnie? i potém tam jakąś sublewacyą, czy list żelazny spraktykowawszy u króla, nieświadomego rzeczy, posponować dekreta trybunalskie, a sądem i ludzkim i Boskim pogardzać? Gdzież ta sublewacya? niech ją przynajmniéj banita w autentyku publicznie okaże!

Pomnażał jeszcze i justyfikował te powszechne odgłosy sam Edward Wołkanowski, bo gdy one do uszu jego dochodziły, odgrażał się hardo na wszystkich, a srogie przechwałki i na ojca mego, którego się z Warszawy spodziewano i na Sokolińskich i Korsaków, i nakoniec naprzeciw wszystkim, którzyby go z Sieliszcza rugować chcieli, miotał. Obwarował się on tam i uzbroił, jak przed tém Kuncewicz, i jeszcze lepiéj; a zebrawszy bandę dawnych swych towarzyszy i młodszych hajdamaków, których nigdy u nas nie brakło i nie braknie, bu-

szował z nimi, nocy i dnie na pijaństwie i rozgardyaszach trawiąc.

Bóg go wyraźnie odstąpił, a szatan wiódł do zguby duszy i ciała.

Jednego dnia przed południem, gdy rozpasana tłuszcza w najlepsze bajramowała, niespodzianie i nagle zbrojny, liczny i konny hufiec otoczył dwór wokoło, a na czele był wojewoda Krzysztof Kiszka.

Bramy były zatarasowane, dwór zaś cały gęstym ostrokołem obity; żadnego zatém sposobu wejścia do środka. Więc z rozkazu wojewody, przystąpił choć ze strachem do bramy woźny przy nim będący i zakołatawszy mocno, wielkim głosem zawołał:

—Otwórz! w imieniu króla!

Ale na widok takiego osaczenia,

zapamiętałość objęła zalaną trunkiem głowę banity i jego kompanistów; porwali wszyscy rusznice, i z hałasem podpadłszy z drugiéj strony pod bramę, krzyknęli:

—Kto tam? kto? nie leź, bo zginiesz!

Woźny jeszcze dotrzymując placu, odpowiadał po kilkakrotnie:— W imieniu Króla i prawa otwórz! Jam tu jest woźny Jego Królewskiéj Mości! a za mną pan wojewoda witebski.

—A choćby i dziesięciu wojewodów! precz! bo damy ognia!—odpowiedziano.— Jakoż kilkanaście rusznic wytknęło się przez szczeliny pomiędzy ostrokołem.

Natenczas podjechał sam wojewoda i zawołał:

Otwórz Wołkanowski! jesteś pod *banicyą*; dasz gardło, jeśli nie usprawiedliwisz twego powrótu do kraju; okaż mi co masz na twoję obronę, bo deklaruję ci, że nie ustąpię ztąd, aż się o tém przeko-

nam. Otwórz więc i nie zmuszaj mię, abym cię siłą, jak złoczyńcę, pojmał.

— Nie doczekasz! — krzyknął Wołkanowski, i razem — pal!

Kilkanaście strzałów huknęło z za ostrokołu; koń pod wojewodą raniony wspiął się, a woźny upadł i jęknął srodze, bo mu kula nogę zgruchotała.

Natenczas krzyknął wojewoda na swoich: — Z koni! wyrąbać ostrokół i dać ognia do środka!

U siodeł rajtarów wojewodzińskich były toporki; kilkunastu więc ludzi żwawo zaczęli rąbać pale, a kilkunastu innych, także przez szczeliny w ostrokole, puścili kule na dziedziniec.

Przestraszona tym strzałem zgraja, razem ze swym wodzem umknęła od bramy i leciała do przeciwnéj, a otworzywszy ją na ścieżaj, i nie zważając że dwór gęsto żołnierzem otoczony, dała znowu o-

gnia i na oślep rzuciła się w nogi. Strzały te nikogo, chwała Bogu, nie obraziły, sprawiły jednak zamieszanie, z którego korzystając wielu z nich, do bliskiego na ich szczęście lasu uciekło; hersztowi jednak nie udało się: nogi mu się splątały, upadł i żywcem z kilku innymi ujęty został.

Tymczasem rozwalono ostrokół, a zatém wojewoda wszedł na dziedziniec, i stawiono przed nim Wołkanowskiego.— Spójrzał nań wojewoda i przeraził się niepomału; był to bowiem widok człowieka jakby opętanego krociem diabłów, których za każdém słowem albo wzywał, albo z zapienionych ust, dąsając się straszliwie, jakby z siebie wyrzucał...

Twarz jego czerwona, jak rozpalona skowroda, oczy krwią zabiegłe, włosy rozczochrane i ubiór dziwny, ze świeckich i zakonnych jakichciś szmatów złożony, okrywał tę dziką figurę.— Imaginuj sobie

pan dobrodziéj, po czarnym żupanie, jakby po sutannie, paskiem karmelitańskim był on przepasany i na nim szablę zawiesił, a kaptur mniszy, za plecami wiszący, dyamentową szpinką przepiął na piersiach, na których od szyi spadający różaniec plątał się ze sznurem pochwy od kordelesa, żelazo bowiem wyrwano mu z rąk, gdy się niém przy pojmaniu bronić chciał. Widać, że obława napadła go w chwili pijaństwa i szału jakiegoś, gdy przed swymi towarzyszami stroił maszkary i najgrawał się z habitu i kaptura, który go bodaj w nieszczęściu krył i salwował.— Tak pół mnich, pół rozbojnik, miotał się on wściekle, rzucając ciężkie inwektywy na stojącego przed nim wojewodę.

— Tyś zabił Wołkanowskiego? — zapytał nakoniec wojewoda.

— No, ja! — odpowiedział zuchwale.— Bóg go w téj chwili splątał; bo tym je-

dnym wyrazem dał on sam przeciw sobie świadectwo: *propria oris confessio.* — Ja! — powtarzał — i cóż mi zrobisz, Mości panie wojewodo witebski, gospodarujący po tatarsku, po województwie Mińskiém! Na! masz! czytaj — i wyjąwszy z za żupana papier, rzucił w oczy wojewodzie; — była to *sublewacya*, którą zawsze za nadrą nosił.

— W imieniu Króla — mówił on daléj — wołałeś Mości wojewodo, otwórz! teraz ja w imieniu króla wołam na cię: ustąp!

Wojewoda przeczytał uważnie rzucony sobie papier, obracał go razy kilka, wreszcie chowając za nadrę: — Wziąść go, — rzekł do swoich — a jeśli będzie się bronił związać.

— Jak śmiesz? — wrzasnął Wołkanowski — w moim własnym domu!.. jam szlachcic!

— Dom nie twój, tyś nie szlachcic; tyś zabójca, sameś to wyznał, tyś banita!

— Masz w ręku list królewski, czytałeś? *Sublewacya* od kryminału!

— Od kryminału rozmyślnie popełnionego i od dekretu trybunalskiego, Bóg chyba na sądzie strasznym da ci *sublewacyą*.— A nowy ten kryminał — dodał wojewoda, wskazując na jęczącego woźnego, którego na prędce opatrywano—dowodem, żeś nie wart żadnéj kommizeracyi, żeś buntownik przeciw prawu i królowi za przywilejem którego woźny jest urzędnikiem publicznym, i w imieniu którego funkcyą swą spełnia.— Dasz więc głowę i gotuj się na śmierć!

— Nie doczekasz!— wrzasnął Wołkanowski.— Jakiém prawem ty, wojewoda witebski, chcesz tu w województwie Mińskiém ferować swoje dekreta?

— Prawem senatora, strzegącego bez-

pieczeństwa publicznego,— odpowiedział Kiszka— prawem, z którego Bogu i narodowi dam rachunek!— Wziąść go! panie poruczniku— dodał, obracając się do oficera swoich dragonów; — każ zaprządz wóz dla delfikwenta; otoczyć go strażą z nabitą bronią, a jeżeliby chciał umknąć pal w łeb! Dać wóz także i dla biednego woźnego; a tę szuję— rzekł, wskazując na przelękłych i za kark trzymanych chłystków, towarzyszów Wołkanowskiego— rozbroić i kańczukami przepędzić.

Wnet dragoni otoczyli winowajcę, trzymając w ręku gotowe do strzału muszkiety. Poglądał on na nich ponuro, i przerażony tém przygotowaniem, umilkł, może z rozmysłu i w nadziei, że milczeniem i uległością uspokoi wojewodę, albo uśpi baczność straży i upatrzy chwilę do ucieczki.

Tymczasem założono dwa wozy, zwołano furmanów, i na jednym umieszczono

ranionego woźnego, a na drugim Wołkanowskiego; nie związano go jednak, bo się nie bronił. Wojewoda przesiadł się na konia wziętego z pod żołnierza, i ruszyła cała komenda na powrót do Dekszнian, przez tęż samą fatalną bramę, przez którą przejeżdżał przed laty zabity dziad mój, wychodziła za nim z dziećmi drobnemi, zalana łzami wdowa jego, wyjeżdzała potém na śmiertelnym wozie podniecicielka do zabójstwa; z kolei przebył ją, idąc do mogiły, krętacz, korzystający ze zbrodni; a nakoniec wyjechał i zabójca!

Było to 24 września 1649 roku; dzień jesienny krótki; nim więc mil kilka od Sieliszcza do Dekszнian przebyto, mrok zapadł, ale wnet wszedł księżyc i jasno świecił.

Wołkanowski tymczasem upatrywał tylko czasu i miejsca sposobnego, by zemknąć; noc światła nie była mu po myśli, ale żołnierze widząc go zupełnie spokojnym, nie mieli się na ostróżności, i muszkiety swe nawet na krukach pozawieszali. Porucznik prowadzący komendę jechał naprzód przy wojewodzie, a wachmistrz wlókł się z tyłu; przebywano właśnie dębniak, niską gęstwą u spodu zarosły...

W mgnieniu oka Wołkanowski daje susa z wozu, i nim chwycono się do broni, już on był w gęstwinie... Sypnęły się wprawdzie za nim strzały, ale darmo; na huk przyleciał wojewoda — umknął!— krzyknięto— umknął!..

— Także to go pilnowaliście?— zawołał on srogo—z koni wszyscy i łapać! Gardłami odpowiecie! Żywego lub trupa dostawić!

Sypnęła się więc cała komenda w dębinę. Knieja to była niewielka i tuż pod Dekszniańami, wszystkie więc w niéj przesmyki i ścieżki tak żołnierzom wiadome były, że i w ciemniejszéj nocy każdyby ją śmiało mógł przewędrować; Wołkanowski zaś, nieświadomy miejsca, czaił się jak lis i pełzł między gęstwiną... Wkrótce więc któryś z dragonów napadł nań, i chwytając go za kark, krzyknął:—jest! jest! sam tu do mnie! jest zdrajca!

Rzucili się więc wszyscy hurmem i wywleczono Wołkanowskiego przed wojewodę.

— Ha złoczyńco!—krzyknął ten—sam sobie przyśpieszyłeś karę. Polecaj się Bogu! przywiązać go do drzewa!..

— Co ty myślisz, wojewodo?—zawołał z przerażeniem Wołkanowski.

Droga w tém miejscu była rozstajną i

rozdzielała się na dwie, okrążając dąb starożytny.— Przywiązać go do tego dębu, powtórzył wojewoda do osłupiałych żołnierzy.

— Co ty myślisz?— powtórzył drżący Wołkanowski, dąsając się z dragonami, i targając z całych sił rzemienne pasy, z własnych jego koni zdjęte, któremi go w niedostatku powrozów przykrępowano do drzewa; krew mu gębą i nosem się rzuciła; krwawy człowiek! — krew go dusiła!..

— Wachmistrz! — rzekł znowu wojewoda— wybierz sześciu z nabitą bronią i naprzód!

Widząc Wołkanowski występujących żołnierzy, zwątpił, a nuż nie nadszedł dlań kres fatalny! bo dotąd mniemać mógł, że go wojewoda straszy tylko.

— Wojewodo!— krzyknął—wojewodo! Bój się Boga! Na sąd straszny cię pozywam.

— Stanę! — odpowiedział wojewoda głosem stałym i grzmiącym; stanę i zdam sprawę z ukarania złoczyńcy, nieuległego prawom ni Boskim, ni ludzkim!.

Zawiąż mu oczy, wachmistrz!

Wachmistrz zerwał sobie chustkę z szyi, lecz podszedłszy do Wołkanowskiego, podjął mu kaptur z plec i na oczy nasunął;— stał więc mnich u dębu...

Sołohub, słuchając tego opowiadania, wzrok niespokojnie wlepił w starca.

— Dozwólcie mi wyspowiadać się!— krzyczał znowu Wołkanowski.

— Służba bliżéj!—szepnął wojewoda— żołnierze postąpili naprzód, i o kilka tylko kroków stanęli od delikwenta...

— Spowiedzi! spowiedzi!— wołał on bez ustanku, to głośniéj, to przytłumionym i chrapliwym rykiem: Na sąd...

— Panie poruczniku,— rzekł zimno

wojewoda— w imieniu prawa i bezpieczeństwa publicznego rozkazuję *rozstrzelać!*— i wskazał ręką na gotowych żołnierzy.

Porucznik obrócił się do leżącego tuż na wozie woźnego:— Słyszałeś ten rozkaz pana wojewody?— zapytał.

— Słyszałem — odpowiedział woźny— ale on potrzebuje spowiedzi.

—A więc nie na mnie śmierć jego—rzekł porucznik, stając obok żołnierzy i dobywając pałasza, spójrzał jeszcze raz na wojewodę. Ten stał niewzruszony na koniu i ręką powtórzył znak fatalny...

— Na sąd straszny... *Rrrum!*

— *Deus adjutor meus!*— krzyknął Sołohub—poszedł...— dokończył opowiadający, i zabójca zapłacił zabójstwo. Księżyc w pełni oświecał tę ceremoniję.

Sołohub zerwał się z ławy: — ceremonija! piękna ceremonija! — zawołał on — nieprawnie i nie po chrześcijańsku postąpił Kiszka; ciężki mu zapewne był sąd Boski, na który go ostatniemi swemi słowy zapozwał Wołkanowski.

— Prawdę mówiąc, Mości dobrodzieju, że nie dał mu się z Bogiem pojednać, to źle; ale i on nie dał czasu memu dziadowi do spowiedzi, gdy go okrutnie zabił; a nawet on dla tego tylko zapewne prosił spowiedzi, że w prolongacie czasu widział jakąkolwiek nadzieję salwy. Kiszka zaś, panie dobrodzieju, postąpił sprawiedliwie i prawnie; to widoczna prawda, bo i wywiódł się potém przed stanami Rzeczypospolitéj, gdy krewni roztrzelanego na sąd go sejmowy pozwali (1); złożył bowiem de-

(1) Pozew ten mam przed sobą — całe to opowiadanie w głównéj treści jest prawdziwe.

kret trybunalski, przekonywający o zbrodni banity, i dowiódł, że sublewacya królewska *subrebtive* (1) i z prywaty wzięta była; nowy zaś kryminał z woźnym...

—Bądź co bądź—przerwał starosta—jest to *sic volo — sic jubeo* (2), a to nie uchodzi w kraju chrześcijańskim.— Ale zkąd waść wiesz tak wszystko, że słowo w słowo jakbyś tam był obecnym świadkiem opowiadasz?

—Oh! bo panie dobrodzieju szeroko natenczas i potém jeszcze długo rozpowiadano tę całą sprawę po województwie naszém Mińskiém, a nawet jak echem rozeszło się to i po całéj Litwie, tém bardziéj u nas, Wołkanowskich. Pamiętam JW. panie, gdy co wieczór prawie, przy zimowym kominie, matka i rodzic mój jak bajkę jaką każdemu,

(1) Podstępnie.

(2) Tak chcę— tak rozkazuję.

kto chciał słuchać, prawili tę legendę, któréj ja, zwyczajnie jak dziecko, z rozdziawioną gębą słuchałem. Mojemu zaś ojcu, który wkrótce jakoś z Warszawy powrócił, opowiadał tenże sam wachmistrz, co przywiązywał banitę do dębu i kaptur mu na oczy nasunął, i tenże sam woźny Kaczorowski, który z nogą skaleczoną leżał natenczas na wozie, a potém chromając, włóczył się z pozwami; pamiętam go dobrze i nazwisko jego, bo często w naszych procederach ojciec go mój używał.

— Więcże ten raz — rzekł starosta — już pewnie zajęliście Sieliszcze.

— Bodaj takie zdrowie naszym nieprzyjaciołom! Znowu Sokolińscy i Korsakowie, jako sukcesorowie Kuncewicza, zamknęli bramy Sieliskie, przed nosem nawet dworzanina królewskiego, z którym rodzic mój przybył z Warszawy, a który nie

mając jak wojewoda Kiszka swego wojska, i samém tylko słowem a listem królewskim niemogąc ich otworzyć, powrócił z tém, z czém przyjechał.

— A cóż się stało z ową deklaracyą, przez Kuncewicza przy skonaniu uczynioną, że Sieliszcze nigdy przez rotmistrza Wołkanowskiego Ciecierskiemu przedaném nie było?

— Stało się, panie dobrodzieju, *procedendum*. (1) Saméj autentycznéj deklaracyi, znalezionéj zapewne między papierami banity, widać łeb skręcono, a został tylko ślad onéj w publikacyi, wraz z *sublewacyą* królewską przezeń czynionéj. Śladu tego chwycił się wprawdzie mój ojciec, ale Sokolińscy zaprzeczyli wszystkiemu, i trzymali fortunę, a on z o-

(1) Dalszy proces.

statniego wyzuwając się grosza, do ludzi o sprawiedliwość, do Boga o pomstę wołał.

Nakoniec — mówił daléj stary — pierwsze pokolenie i zabitych i zabijających, i wygnanych i wyganiających, jakbyś zmiótł ze świata; bo i babka moja, ostatnia z tego orszaku, wkrótce potém umarła! Nowi zatém ludzie ich zastąpili, i znowu jakby na grobie tamtych, tenże sam korowód i taniec zaczęli.

To aż strach pomyśléć, panie dobrodzieju: ludzie umierają i zmieniają się na świecie, a zło z jednych na drugich przechodzi fatalną sukcessyą, i trwa jakby kielich ustawnie dolewany — *od wasana do wasana.*

—Prawdę mówisz, panie Wołkanowski, prawdę mówisz,—rzekł Sołohub smutnie potrząsając głową;— w naszéj miłéj ojczyznie zbrodni takich, jak te, któreś mi opowiedział, mało i rzadko się przy-

darzyło, bo w gruncie wszyscy kochamy i boimy się Boga; ale złego powszedniego bardzo wiele i wykorzenić go trudno. Oj! przyjdzie, przyjdzie kiedyś pokuta!... Więc Sokolińscy, powiadasz?...

— Nie oddali ojcu mojemu fortuny— kontynuował Wołkanowski—i proces na nowo się rozpoczął. Ta druga torba, panie dobrodzieju, większa jeszcze od pierwszéj, to druga część téj sprawy, po śmierci wszystkich pierwszych aktorów, przeciągającéj się przez cały wiek mojego ojca, aż do większéj połowy mego własnego: bo od lat jakich trzydziestu, wyszeptawszy się ze wszystkiego i osiadłszy tu na kondycyi szlacheckiéj, posagowéj mojéj żony dobrodziki, nie prawuję się już wcale, bo nie mam za co, a tylko nie zasypiając dawności ziemskiéj, manifeścikami od czasu do czasu strzelam. At, aby się kurzyło, i aby Piotrek miał kiedyś za czém

zapukać do drzwi sądowych, szczęśliwiéj da Bóg może od dziada i ojca swego.

Z tego tedy woru produkuję najprzód JW. panu pozew...

—Dość— przerwał starosta—dość Mości panie; czegoż się nowego dowiémy z tych twoich papierów? Jedno i jedno— prawne wykręty: *salta juris*, niezbożne wyroki sądowe, intrygą wyjednane...

—Nie, panie dobrodzieju, nie; w całéj téj torbie papierów, jest kilkanaście dekretów, a może kilka tylko takich, których święta sprawiedliwość nie dyktowała; boś słusznie pan powiedział, że u nas wszyscy Boga się boją, a zatém i sędziowie na sąd Boski pamiętają. Ale cóż po sprawiedliwości, gdy ona bez rąk? Ja z dekretem — on z muszkietem — powiada przysłowie. Nie raz nam przysądzono Sieliszcze; ale nie było dla nas drugiego Kiszki, któryby uzurpatorów ztamtąd wyru-

gował, a nas wprowadził; tymczasem nowe coraz wymyślano dylacye...

— To tedy mniemasz, mój kochany Wołkanowski — przerwał znowu Sołohub, — że twój Piotrek dojdzie sprawy, któréj wy przez tyle czasów i starań dojść nie mogliście?

— Wszystko w ręku Boskiém, Mości dobrodzieju, o jego sprawiedliwości wątpić nie godzi się, bo on ma *brachium militare* (1), któremu żaden potentat ziemski nie oprze się.

— Dobrze to — odpowiedział starosta, — że ufasz w Bogu i jego opiece los syna twego polecasz. Ale też powiadają: »*Staraj się i sam nieboże — a Pan Bóg ci dopomoże*« więc jeżeli Piotra twego trzymać tu będziesz za piecem, i tylko z flintą w ręku w lasy wypuszczać, to on na las pa-

(1) Ramie żołnierskie — pomoc wojskowa.

trzając i wyrośnie, a twe nauki i nadzieje na nic pójdą. Pchnij go raczéj między ludzi; dziarski i rezolutny chłopak, łatwo na świecie się wytrze i nabędzie poloru; stanie się zeń mąż, który jeżeli dawnéj fortuny nie odzyszcze, może lepszą sobie zrobić potrafi. Szlachcic, więc wszystko przed nim, a nuż jeżeli wola Boska i ożeni się pięknie, i nie kondycyę szlachecką, jak ty po twojéj żonie dobrodzice, ale i fortunę dobrą weźmie w posagu.

—Oj trudno to JW. panie, trudno; drugi raz nie przydarzy się historya hetmana Białego, i kiszek czarnych na stołach pańskich już nie dają— dodał uśmiechając się Wołkanowski.

Starosta także uśmiechnął się na te słowa, i zastanowił się, jakby one jakąś nagłą myśl w nim obudziły; lecz wkrótce uśmiechnąwszy się znowu, kto wie, czy

z konceptu Wołkanowskiego, czy z własnéj myśli, kiwnął głową i rzekł:

— O, Mości panie, nie sięgając tak wysoko, niech Piotrek jedzie ze mną, nie będzie mu ni głodno ni chłodno; a z czasem upatrzymy mu przyzwoity szlak życia i mienia.

— Oh! JW. panie, najuniżeniéj dziękuję,— rzekł stary ściskając kolana starosty— nie raz ja sam myślałem, że go tu nie trzymać na to, aby swą młodość zmarnował. Chciałem nawet wieźć go w Sandomirskie, poszukać tam krewnych, ale moja żona dobrodzika, bacząc na tak dalekie oddalenie, nie zgodziła się; gdy zaś JW. pan w respekt go swój pański przyjąć raczysz, to z ochotą oddaję.

— Ależ twoja żona dobrodzika, i sam Piotrek czy się zgodzą?

— Ani wątpić o tém JW. panie. Piotrek, jak uważam po zabiegach jego na

polowaniu, aby panu dobrodziejowi dogodzić, i po odkryciu kniei na rysie, przylgnął już całém sercem do JW. pana; a moja żona dobrodzika byłaby głupią, gdyby ślęczyła za synem, o mil kilkanaście lub dwadzieścia, pod opieką i manudukcyą takiego wielkiego pana będącym, którego kroki, Bóg jakby umyślnie dla naszego dobra skierował w te strony.

Jakoż wnet Wołkanowski udał się na domowe *consilium*, skutkiem którego od nazajutrz Piotrek w poczet dworzan starosty przyjęty został.

Państwo Sołohubowie.

Pierwszym festem jesiennym, który w kościołach naszych uroczyście się obchodzi, jest dzień Narodzenia Panny Maryi, na dzień ósmy września przypadający. Pierwiastki plonów swéj wiosennéj i letniéj pracy, a razem kwiaty zdobiące

jego grzędy, przynosi rolnik na ofiarę i błogosławieństwo Boskie. Garście zażęte wszelkiego zboża, warzywa rozmaite z zieloném i szerokiém liściem, złote słoneczniki i nagietki axamitne, pąsowe kity szczyru, skromne wasilki i wonne cząbry, wszystkie razem z kłosami żyta, jęczmienia i owsa, w snopy związane, czekają w rękach kobiét, aż kapłan z kropidłem ukaże się na stopniach ołtarza. Natenczas, jakby cudowną mocą jego słowa, kościół w mgnieniu oka w kwiecisty zamienia się ogród; wzniesione w górę snopki, w różnowzore i gęste układają się partery, skropione wnet święconemi kroplami wody, na podobieństwo rosy niebieskiéj, co je na polach rzeźwiła...

W dniu tym, wielki coroczny jarmark, a prościéj mówiąc kiermasz, był w miasteczku Jlli, a wielkie nabożeństwo w tamecznym kościele. Miasteczko i kościół

o kilkaset tylko kroków od dworu pana Sołohuba oddaloném było, lecz i tych kilkuset kroków nigdy pani Sołohubowa nie przebywała pieszo. W każdą niedzielę i dnie świąteczne, poszóstny cug tarantów, którego rozgłośne rżenie echa roznosiły, wlókł powoli i poważnie przez szeroką lipową ulicę ogromną karocę, złocistemi herbownemi tarczami Radziwiłłów i Sołohubów ozdobną, przed kościół; w niéj obok pani siedział zwykle Ks. kapelan, a naprzeciw córka, bo kapłan przed dzieckiem własném brał natenczas miejsce; przy córce, jéj ochmistrzyni, lub respektowa, starsza wiekiem i godnością.

Gdy się starosta znajdował w domu, a pora była po temu, natenczas konno, licznym pocztem dworzan otoczony, poprzedzał on lub zamykał ekwipaż żony; i gdy w karecie odmawiał się różaniec za promotorstwem księdza kapelana, w ko-

ściele mający być dokończony; to w kawalkacie starosty, za promotorstwem pana, wesołość, śmiechy, żarty i anegdoty brzmiały hucznie; lecz urywały się przed kościołem, i wesołość dworska na twarzach i w ustach, w różańcowéj skromności tonęła.

Ależ gdy nie było w domu starosty, co dla polowania, lub dla interesów publicznych nie rzadko się zdarzało, pozostali dworzanie, jakby za pokutę swawolnemu ich humorowi, musieli nietylko w poblizkiéj do kościoła drodze, ale i w dalszych przejażdżkach, otaczać z bliska karetę i często nietylko mówić głośno, ale i śpiewać godzinki, wtórując różnemi głosami, cieńkim dyszkantom, wywodzącym pobożną nótę w karecie. (1)

---

(2) Jest anegdota, że gdy jadąca gdzieś księżna hetmanowa Radziwiłłowa, według tego zwyczaju, śpiewała z dwor-

Ten raz nie było także w domu starosty, a starościna, coraz częściéj dolegliwościami wieku nawiedzana, z wielkim żalem swoim, że podczas tak wielkiego festu nie mogła być na publiczném nabożeństwie, cierpiąc na różę w nogach, słuchała mszy św. w pałacowéj kaplicy, do której ją w wygodném krześle zaniesiono. Po mszy, Ks. Daniel, jezuita, kapelan dworu, poszedł pieszo do kościoła pomagać miejscowemu plebanowi w uroczystém nabożeństwie, a szczególniéj w konfessyonale, do którego mnóstwo cisnęło się penitentów; w karecie więc, jak zwykle do kościoła idącéj, siedziała tylko starościanka, w assystencyi staréj i zasłużonéj och-

---

skimi pojazd jéj otaczającymi godzinki, i podług słów i reguł téj modlitwy, zaśpiewała sama jedna Antyfonę: *Jam to sprawiła na niębie, aby wschodziła światłość nigdy nie ustająca*— dworscy odpowiedzieli chórem: *Pokornie dziękujemy waszéj książęcéj mości.*

mistrzyni swéj, wdowy, pani Porębskiéj, oraz kilku młodszych szlachetnych dziewic, pod jéj zwierzchnictwem będących.

Przypomnimy teraz sobie, to młodziutkie dziewcze, któreśmy w pierwszych zarysach domu Sołohuba przyrównali do kwiatka lekkim wietrzykiem kołysanego, i zdającego się wyglądać czy szukać objawiającym się w jéj sercu uczuciom, przedmiotu czy celu. Marya bowiem miała natenczas lat czternaście; siedm jeszcze od tego czasu upłynęło, i oto widzimy piękną, jak piękniejszéj znaleźćby trudno, dziewicę, rozwitą i pełną wdzięków, z oczami łzą nabiegłemi, które w bujnych kroplach spadając, rosiły białą jéj jak śnieg sukienkę, w jaką ubrana zdawała się być aniołem niosącym do Boga rzewną modlitwę za cudze jakieś grzechy...

— Po co ten płacz Marylko?— rzekła

do niéj Porębska, wychowująca ją od dzieciństwa, a zatém przywiązana do niéj najczuléj i poufała. — Czy to pierwszy raz spowiadać się? czy to jesteś broń Boże w jakim śmiertelnym grzechu?

Kareta tymczasem wlokła się jak zwykle poważnie i powoli; taranty rżały rozgłośnie. Około niéj, kilku dworzan konno, niecierpliwych swych rumaków do stępowego kroku hamowało, a między nimi młodzieniec męzkiéj prawdziwie postawy, szlachetnego czoła i lica, w skromném, ale składnie mu do wieku i pięknéj postaci przystającém ubraniu, jechał najbliżéj karety, i przenikliwe swe czarne oko często w niéj zatapiał; lecz gdy wzrok ten spotkał się kilkakrotnie z okiem Porębskiéj, ta, opuszczone dotąd okno od karety w górę podjęła.

Zgadnie czytelnik, że tym młodzieńcem był znajomy nam Piotrek, a teraz Piotr

Wołkanowski, ulubiony dworski starosty i starościnéj, wykształcony, przepolerowany w szkole wyższego towarzystwa na dworze Sołohuba, którego zwyczaje i obyczaje w dobrym tylko przykładzie przejął, wrodzoną a może i rozwiniętą naukami ojca, (jakeśmy to widzieli) rozwagą, rozpoznając i odrzucając od siebie to wszystko, coby w tém zastósowaniu śmieszność nań, lub nienawiść czyjąkolwiek ściągnąć mogło. Więc poufalszym wstępem do panów swych zaszczycony, często nawet zastępujący nieobecnego starostę w domu i za domem w interesach, nie obudzał jednak zazdrości kolegów swoich dworskich, bo ich swą serdecznością i codziennemi przysługami ujmując, kochanym był od wszystkich i konsyderowanym, jako mający kiedyś za protekcyą pańską, wyjść ze stanu prostego dworaka na szlak publiczny, i na nim sta-

jąc się mężem dzielnym i doskonałym, sprawdzić przepowiednię samegoż starosty, dźwignąć z upadku szlacheckie swe imie, i może odebrać Sieliszcze: a nawet nazywano go żartem *Piotrem na Sieliszczu.* Jedna tylko Porębska od niejakiego czasu koso nań poglądać zaczęła i zawsze była trzecią gdy się mu zdarzyło zbliżać do starościanki.

Pewnego poranku, starosta po długiéj konferencyi odbytéj z Porębską, przywołał do siebie Piotra, i najniespodziewaniéj zapowiedział mu, że zaraz po powrócie z podróży w którą się właśnie wybierał, i która dwóch tygodni trwać nie miała, wyśle go do Warszawy, gdzie już i zostać powinien; bo listy jakie mu da i rekomendacye, ułatwią mu wstęp do kilku dygnitarskich domów, które go w każdym zamiarze możną protekcyą wesprą. Nim zaś coś się nadarzy,—mówił starosta,

opatrzę cię zapasem, boś mi wiernie, zacnie a uczciwie służył.

—Będę tu twoim plenipotentem w negocyacyach już rozpoczętych z dzisiejszymi panami Sieliszcza; i mam nadzieję, że się to na pomyślnéj dla ciebie kombinacyi ukończy z czasem; bo process byłby trudnym, kosztownym i długim, jak już to nie raz z sobą przegadaliśmy. Tymczasem zaś nim wrócę, odwiedź swych starych rodziców i weź ich błogosławieństwo, bo to najlepszy *wiatyk* puszczającemu się na świat synowi... To mówiąc, Sołohub przenikliwie spójrzał w oczy młodzieńcowi.

Ten osłupiał— i łzą nagłą zabiegły mu źrenice... Lecz po krótkiéj chwili przychodząc do siebie, upadł do kolan starosty i— Ach! panie— zawołał,— jam myślał, że ci całe życie będę służyć! cóżem przewinił?

—Przewinił? nic dotąd,—odpowiedział Sołohub—ale mój Piotrze, często stajemy się winnymi mimowolnie... jesteś młody...—daléj starosta dusząc jakby w sobie resztę swych myśli, dodał stanowczym tonem:—To inaczéj być nie może; przyrzekłem twojemu ojcu, że cię na człowieka wyprowadzę. Zdolności też twoje i rozsądek nad wiek, z wielkiém mojém ukontentowaniem, sekundowały zamiarom moim; lecz jak w waszéj okolicy, przy swoich zdolnościach, zostałbyś jednak tylko Piotrem, synem twojego ojca, tak znowu i tu, chciaż wprawdzie jesteś Mości panem Piotrem Wołkanowskim, ale zawsze tylko sługą pana Sołohuba; a być powinieneś, bo masz po temu głowę, sługą Rzeczypospolitéj, i zamiast Mości, jaśnie wielmożnym panem, bo u nas panie Piotrze, jak po drabinie Abrahama, szlachta z dołu w górę i z góry na dół szczeblu-

je, a nikt nikomu ani zawadza ani ubliża. Dla tego i twoje drogi są niewiadome, ale zgadywać można, że przy pomocy Boskiéj i pracy, nie zostaniesz się od innych, a wielu poprzedzisz. Tu zaś daléj zostać nie możesz... a jeżeli odrzucisz moje propozycye i wzgardzisz moją ofiarą, boléć mię to zapewne będzie, ale rozstaniemy się z sobą, bez wszelkich dalszych między nami stosunków. Zasługi swoje w takim razie odbierzesz.

Starosta, nie przedłużając daléj téj konferencyi, wyszedł, zostawując stojącego w milczeniu i zadumanego Wołkanowskiego; po krótkiéj chwili odszedł on do oficyny, do swojéj kwatery, zamknął się i długo pisał. Nazajutrz Sołohub w swoją podróż, a za drugą bramę Piotr wrzekomo do swych rodziców odjechał. Lecz krótko trwała nieobecność i podróż jego, uprzedził on powrotem swym starostę i

w tym właśnie czasie nieobecności Sołohuba w Jlli, odbywała się powyżéj opisana scena, do któréj wracamy.

Zapłakana Marya nie dawała się ukoić słowami wiernéj swéj piastunki; owszem, im bardziéj się zbliżano do kościoła, tém łzy gęstsze z oczu, tém głębsze westchnienia z jéj piersi się wydobywały.

— Stój!— zawołała ona w pół drogi— wróćmy do matki! wróćmy!

— A toż dla czego?— odpowiedziała Porębska,— wszakże matka pobłogosławiła cię do spowiedzi.

— Pobłogosławiła mię?— zapytała Marya, jakby o tém nie wiedząc.

— Czyż zapomniałaś co było przed półgodziną? naturalnie, że jak zawsze przed

spowiedzią uklękłaś przed nią z deprekacyą, a ona cię przeżegnała; cóż pomyśli gdy wrócim?— mówiła Porębska; jakbyś nie chciała za jéj zdrowie pomodlić się; co pomyśli ksiądz Daniel, który nas w konfessyonale pewnie czeka? Ej Maryniu, upamiętaj się; już od niemałego czasu trwożysz mamę, mnie i pana starostę nawet swoim codziennym smutkiem i częstym płaczem bez przyczyny. Nie raz mię Imość zaklinała, abym starała się dojść co jéj najmilszą jedynaczkę utrapia? Ja może i domyślam się... ale wyspowiadaj się Maryniu... wezwij Pana Boga na pomoc, i nie psuj zdrowia ani sobie ani rodzicom.

Rozrzewnienie Maryi na te słowa bardziéj jeszcze się wzmogło, a tymczasem z trudnością między nagromadzonemi wozami na kiermasz przeciskając się, kareta stanęła przed kościołem.

Wysiadającéj starościance podał rękę

Wołkanowski, bo officium jego dworskie i fawor pański, ten mu obowiązek przeznaczały. Nie było starościnéj, któréjby on tę usługę dopełnił, więc córce pomógł do wyjścia z pojazdu, a pomoc ta ceremonialna zwykle, teraz rzeczywiście potrzebną była, bo dziewica chwiała się jak trzcina od wiatru; lecz ktoby ich w téj chwili obaczył razem, nie mógłby oprzéć się myśli, że to para dla siebie stworzona.

Porębska skrzywiła się, i sama biorąc pod rękę Maryę, rzekła do Piotra:—Idź wasan naprzód i zrób dla nas drogę w kościele do konfessyonału, w którym obaczysz księdza Daniela, bo nie przeciśniemy się przez tłumy. Poniewolnie zatém, jak mu z twarzy widać było, opuścił on rękę starościanki i poszedł spełnić ten rozkaz; ciżba się rozeszła na strony, widząc kto postępuje za dworskim; tak doszli do konfessyonału, w którym siedział

ksiądz Daniel, zwykły spowiednik całéj pańskiéj rodziny i całego dworu!

Wnet długi szereg czekających spowiedzi, cofnął się od ucha kapłana i pierwsza Marya przystąpiła do pokutniczéj kratki; za nią stanęła Porębska i przybyłe razem dwie panienki, tę pobożną odbywające dewocyę. Na drugą stronę konfessyonału zaszedł Piotr, i jemu także pospólstwo ustąpiło pierwszeństwa. Ostatnia spowiadająca się jakaś dziewica włościańska, odjęła się właśnie od kratki i klęcząc pokornie, ze skruchą biła się w piersi... ale twarz jéj była pogodną, oczy na bliski uboczny ołtarz wzniesione, prostą a szczerą pobożnością się rzewniły. W takiém położeniu i w takiém wzniesieniu duszy, klassy społeczeństwa równają się; prostak i mędrzec, pan i poddany w jeden punkt wznoszą natenczas

westchnienie i myśli swoje, a tym punktem jest Bóg.

Drżąca Marya patrząc przez krótką chwilę na dziewicę, zdała się nabierać śmiałości i ducha, a może nadziei, że spowiedź również i ją uspokoi.

Bóg tylko zna tajemnice spowiedzi i jest jedynym powiernikiem swego natenczas namiestnika. Spowiedź Maryi była długą; Porębska dziwiła się tém bardziéj, że spowiednik po kilkakrotnie odejmował ucho od kratek, ocierał czoło z potu, zdawał się być niespokojnym i znowu się do spowiadającéj nachylał.

Nakoniec Marya, płacząc rzewnie i łkając ukończyła spowiedź... biła się ona w piersi jako i poprzedniczka jéj, wiejska dziewica; lecz gdzież owa pogoda

oblicza, która na tamtéj jaśniała? gdzież pokój serca, skutek zwykły wyjednanego pokorą przebaczenia?

Spowiednik, rozgrzeszywszy ją, powstał i ręką niepewną ujął znowu drzwiczki od konfessyonału... Chciałby wyniść... miałżeby usłyszéć tajemnicę, która go niespokojnością napełniała? a którą pieczęć spowiedzi w ustach mu więziła... Spójrzał on na drugą stronę konfessyonału i spostrzegł przygotowanego i klęczącego Wołkanowskiego; znowu chwilę zastanowił się i usiadł nagle, jakby nową myślą natchnięty. Piotr więc spowiadać się zaczął, a tymczasem Marya odeszła, i w ławce kollatorskiéj, blisko wielkiego ołtarza będącéj, uklękła i modliła się.

Piotr także spowiadał się długo, obudzając podobnąż niespokojność w spowiedniku... — Któryś z królów francuzkich zapytał raz jednego ze swych wysokich

duchownych: »Biskupie, gdyby ci kto na spowiedzi wyznał, że mnie ma zabić, czybyś mi tego nie wydał?«

— »Nie wydałbym królu — odpowiedział biskup — leczbym stanął między zabójcą i tobą.«

Odpowiedź piękna, odpowiedź szczytna! objawiająca, że prawdziwy kapłan Chrystusa gotów być powinien ofiarą krwi własnéj stwierdzić w potrzebie świętość przykazania religii; a taka ofiara okupi mu niezawodnie i rozwikła drogę w najtrudniejszych przeciwnościach jego powołania.

Nie było zapewne w tych obu spowiedziach tak ciężkich okoliczności dla Ks. Daniela, jako stawiana kwestya królewska biskupowi, ani tak ciężkich i śmiertelnych grzechów, dla którychby absolucyi odmawiać musiał; wszakże być tam musiała tajemnica, któréj poniewolnym

zostawszy powiernikiem, został razem i niechętnym stróżem.

Po skończonéj zatém spowiedzi Piotra, znowu Ks. Daniel powstał jak do wyjścia z konfessyonału, znowu się wahał... gdy Porębska odezwała się pokornie:— upraszam i nas jeszcze wyspowiadać, bo przyjechałyśmy ze starościanką, i razem do Komunii świętéj po summie przystąpić chcemy.

Ks. Daniel powtórzył z namysłem i z cicha:— po summie— i jakby tym wyrazem zdeterminowany, usiadł znowu.

Piotr tymczasem ukląkł przy kratkach, przedzielających zwyczajnie prezbiterium od reszty kościoła; przy tychże kratkach klęczała ścisłym szeregiem szlachta z poblizkich okolic, rozmaitych postaci i rozmaitego wieku, wrzekomo po spowiedzi oczekująca także Kommunii. Wzrok ich jednak najczęściéj zwracał się to na Woł-

kanowskiego, wśród nich klęczącego, to na stojącego u drzwi zakrystyi jakiegoś mościpana, poważniejszego kroju i wyrazistszego oblicza, a rzucającego bystrém okiem na ruch kościelny; wspinał się on razy kilka na palcach aby cóś dojrzeć między tłumem, którym kościół był natłoczony, nakoniec skinął głową na Piotra i wszedł do zakrystyi.

— Mości dobrodzieju — rzekł on tam do plebana, gotujacego się na summę mającą zakończyć nabożeństwo — panna starościanka czeka na Kommuniję, a i z pospólstwa wielu już odbyło spowiedź; moja zaś szlachta bracia całą kratę zajęła.

— I owszem — odpowiedział pleban — ja też naczekiwałem, aby więcéj się zebrało przystępujących do Ś-go Sakramentu, a kiedy jeszcze i panna starościanka czeka, to tém bardziéj — to mówiąc, ubrał się w komżę i stułę, a poprzedzony

przez chłopca ze świecą wyszedł z zakrystyi.

Jak tylko dzwonek obwieścił rozdawanie Kommunii, a kapłan ze świętą Hostyą w ręku obrócił się do ludu, i podnosząc głos rzekł — *Oto baranek Boży, który gładzi grzechy świata*!— wnet szlachta otworzyła kratki, i napełniła *prezbiteryum*, a lud prosty ze wszech stron kościoła do kratek cisnąć się począł. Tylko Porębska tuż po spowiedzi i ze swemi panienkami, nie cisnęła się wcale, owszem rzekła do nich:—my zaczekamy, bo i modlitewek przed Kommunią jeszcze nie odmówiłyśmy, a po mszy przystąpimy; zapewne i Marya tak uczyni; siedzi ona widziałam w pańskiéj ławce, a jak msza wielka zacznie się, to i my tam do niéj pójdziemy. — Marya tymczasem wyszła ze swéj ławki, i uklękła na stopniach ołtarza; obok niéj ukląkł Wołkanowski, i oboje

przyjęli Kommuiję... Kapłan spójrzał po zgromadzonéj szlachcie, i nie postrzegając aby którykolwiek przystępował do ołtarza, miał ze świętą Hostyą w ręku zejść do kratek, gdy Piotr rzekł z cicha ale dobitnie.— Teraz droga Maryo! teraz albo nigdy!... i powstał z klęczków, a podejmując i ją razem— rzekł: Zatrzymaj się księże:— i daléj trzymając Maryę za rękę, mówił wyraźnie i śmiało:

»Ja Piotr, biorę ciebie, Maryo, za żonę, »i ślubuję ci wiarę, miłość i uczciwość małżeńską, a że cię nie opuszczę aż do śmierci, »tak mi Panie Boże dopomoż!« Ksiądz cofnął się i chciał odejść, lecz kilku ze szlachty ujęli go za komżę, i z uszanowaniem ale stanowczo przytrzymali; a tymczasem Marya słabo, lecz wyraźnie mówiła:

»Ja Marya, biorę ciebie Piotrze za mę»ża... i że cię nie opuszczę aż do śmierci, »tak mi Panie Boże dopomoż!«

Wołkanowski natenczas obracając się do szlachty ścisle otaczającéj ołtarz— rzekł uroczyście: »Was tu wszystkich »obecnych biorę za świadków tego ślubu, »przed kapłanem i Przenajświętszym Sa»kramentem zawartego.«

To powiedziawszy, uprowadził żonę do zakrystyi a za nim poszła i cała gromada; w zakrystyi były drzwi do wyjścia (1). Ksiądz zmieszany nie wiedział co daléj czynić; ale ten sam mościpan którego»śmy u drzwi zakrystyjnych widzieli, wtajemniczony widać we wszelkie plany Piotra, a bodaj i układający je, został u stopni ołtarza, i uchylając pokornie głowę, rzekł najspokojniéj — Ot imajnacya! co to do tego należy: Jegomość dobrodziéj dawaj Kommuniję, bo lud czeka na Święty Sakrament.

---

(1) Cała ta scena jest prawdziwa.

Ksiądz w zmąconéj swéj głowie nie mogąc na prędce napaść na lepszą radę, poszedł za podawaną i zbliżył się do kratek, przed, któremi w rzeczy saméj nie wiedząc o niczém, klęczało pospólstwo, a tak obrzęd zdawał się nieprzerwanym; doradca zaś wyszedł także do zakrystyi, raczéj przez zakrystyę, i dopędzał nowe małżeństwo, otoczone tłumem szlachty i przyspieszonym krokiem idące w uboczną ulicę, gdzie bryka czterema końmi zaprzężona czekała gotowa na ich przyjęcie.

Wybiegł razem z kościoła i lokaj, który stał przy ławce za Maryą, widział on wszystko co się stało i szedł w tęż samą stronę.

— Dokąd Waść?—zapytał nadchodzący za nim Kulesza, zatrzymując go (to było nazwisko szlachcica).

— Tam gdzie i waspan— odpowiedział on, wyrywając się.

— Ot imainacya! Co to do tego należy? wracaj waść do kościoła.

Ale lokaj łatwo się pozbył Kuleszy i daléj pobiegł.

Już byli wszyscy przy powozie.

U płotu stało kilka koni przywiązanych i osiodłanych; pistolety w olstrach wiszące na pokrowcach i tłumoki za siodłami, dawały poznać, że jezdcy do dłuższéj przygotowali się podróży; jakoż ośmiu młodéj szlachty wnet ich dosiedli.

Piotr obrócił się, upatrując między otaczającymi Kuleszy, ale razem nadbiegły sługa upadł przed Maryą na kolana.— Dokąd, panienko nasza! dokąd?— zawołał on: A na miłość Boga! a coż się stanie z panami?...— więcéj już od płaczu mówić nie mógł.

— O Boże!—krzyknęła Marya—o Boże! już po czasie Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojéj drogiéj... po-

wiedz rodzicóm... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą... ach! gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

.Piotr ujął wpółomdlałą Maryę i wniósł do pojazdu, bo sama na to sił nie miała; podał potém rękę Kuleszy i wstrząsając ją: — Panie Janie rzekł — póki życia nie zapomnę.

— Ot imainacya — co to do tego należy? — odpowiedział on — masz ośmiu wyśmienitych i uzbrojonych chłopaków, którzy was przeprowadzą i dadzą radę pogoni, jeżeliby się za wami puściła; o sześć mil masz konie drugie. A teraz *Deus benedicat!* — i czwórka ruszyła kłusem.

— No panie Janie — odezwał się do Kuleszy jeden ze szlachty wracających kupą do miasteczka, — gracko wszystko

uplanowałeś i wykonałeś; ale w tym sęk, czy taki ślub ważny?

— Ot imainacya! co to do tego należy?— odpowiedział Kulesza — chodźcie na tróyniaczek.

Tymczasem już i w kościele najprzód szmer głuchy, a wkrótce i głośna rozmowa rozeszła się o tém co się stało. Porębska, przerażona i niewierząca jeszcze téj fatalnéj niespodziance, przecisnęła się do ołtarza, właśnie gdy pleban, niedokończywszy nawet rozdawania Kommunii, opamiętał się i śpiesznie w zakrystyi zdejmując komżę, sam nie wiedział czy wychodzić ze mszą, czy biedz do dworu z oznajmieniem, że dał czy jakby dał ślub starościance. Wpadła tam Porębska i wnet tuż za nią jéj panny i kilku dworzan przybyłych, jakeśmy to widzieli, w assysten-

cyi przy karecie do kościoła; z drugiéj strony wszedł zapłakany stary Marcin.

— Chwilę milczeli wszyscy jak w osłupieniu... nakoniec Porębska zawołała: — Gdzie Marya?

— Pojechała z Wołkanowskim, — odpowiedział Marcin — sam widziałem jak siedli do bryki.

— Ach! ja nieszczęśliwa! — krzyknęła Porębska i klasnęła w dłonie, a zachodząc się od płaczu, ledwo mogła wymówić do dworzan: — Gońcie, waćpanowie! dopędzajcie co najprędzéj!

— I my tak myślim — rzekł znajomy nam Tatura, ujmując klamkę odedrzwi.

— Dopędzajcie waćpaństwo — odezwał się Marcin — ale ostróżnie, bo ośmiu młodych szlachciców konno okok bryki pojechało: a każdy z fuzyą za plecami, z pistoletami przy kulbakach i pałaszem przy boku.

Tatura odjął rękę od klamki.

— A cóż nam robić? — zawołała Porębska.

— Wracać bez dalszéj zwłoki do dworu — odezwał się ksiądz Daniel, stojący dotąd w milczeniu za drugiemi.

— Ach księże Danielu ratuj nas—rzekła znowu Porębska, postrzegając go i zawsze płacząc i załamując ręce— ratuj nas dla Boga. Ach ten zdrajca! ten uwodziciel! jak go żywa ziemia nie pożarła! czemu on w kołysce nie zginął!!!

— Pani Porębska — rzekł ksiądz Daniel— po spowiedzi przeklęstwo!

— Ja Kommunii jeszcze nie brałam, a z łaski jego na nowo grzeszę.

— Już dziś i nie weźmiesz Kommunii, po tém coś wyrzekła. Siadajmy do pojazdu i spieszmy, aby ktokolwiek téj nieszczęśliwéj nowiny nieuważnie nie przyniosł starościnie.

Księże proboszczu — mówił on daléj— we mszy świętéj przy Ofiarowaniu, westchnij gorliwie na tę intencyę i wezwij miłosierdzia Boskiego— a sam pokrzepiony zaufaniem w Bogu, pośpieszył wlewać to zaufanie w duszę nieszczęśliwéj matki.

Koniec części pierwszej.

PUSTELNIK W PRONIUNACH.

Część Druga.

ROK SMUTKU.

Gdzież trafi ta książka moja? Serce własne mówi mnie, że czy się dostanie w ręce rodziców, pielęgnujących troskliwie i pieszczących swe dziatki; czy w ręce dzieci, przywiązanych tkliwie do dawców swojego życia, niemiłe w nich najprzód poprzednim rozdziałem obudzi wrażenia; lecz złagodzi wnet i ukoi to dotkliwe ukłócie, miłość ich wzajemna, ztąd właśnie czulsza i żywsza. Nie jedna matka, tu-

ląc do piersi głowę swojéj jedynaczki, rzeknie jéj z tkliwą łzą w oku— Ty odemnie nie ucieczesz!— a rozczulone dziécie odpowie jéj, nigdy—i doda z głębi serca:— Nigdy cię nie porzucę! zawsze ciebie jedynie kochać będę.— Ale dziewica nie wié jeszcze co się z jéj sercem stanie?.. Pierwsza więc część takiéj przysięgi, zarzekająca się ucieczki, w rzadkich nader, chwała Bogu, zdarzeniach złamaną bywa; bo rzadko namiętność tak dalece oślepi niewinne serce dziewicy, aby zgniotła i zgasiła w niém, od razu święte uczucie przywiązania do rodziców, z życiem weń wlane, i rzadko też namiętność tak dalece oślepi młodzieńca, aby na przekor prawom Boskim i ludzkim, odważył się oderwać gwałtem zieleniejącą piękną gałązkę od drzewa, które się nią chlubić i z niéj odrodzić miało, zostawując na tém drzewie ranę srogą, jątrzą-

cą się codzień boleśnie, i jak rak przegryzającą je do rdzeni. Rzadko to więc się zdarza, i bodajby nigdy się nie zdarzało. Lecz słowom tym—ja cię nigdy nie opuszczę—ja ciebie jedynie kochać będę—matka nie wierzy; a nie tylko nie wierzy, ale nie życzy nawet aby się ziściły. Szczególne natury ludzkiéj zjawisko! szczególna ofiara! chcieć i nie chcieć razem; kochać i nie chcieć wyłącznie być kochaną! Abnegacya najwyższa własnego szczęścia, do któréj miłość tylko i jedynie miłość rodzicielska jest zdolną!!! A miłość ta jednak jest zazdrośną jak i wszelka inna. Bo komuż nie zdarzyło się być świadkiem, gdy młoda para w pierwszych różowych dniach małżeństwa wzajemnie się pieszczotami osypuje, jak przerywa je córce tkliwy, łagodny, miły nawet, mimowolny nakoniec, ale nie mniéj szczery wyrzut zazdrośnéj matki: — Ty mnie już nie ko-

chasz! ty jego więcéj kochasz nademnie.— Wtenczas małżonka i córka, znowu nie wié i pojąć nie może co się z jéj sercem stało, i w rozdwojeniu uczuć swoich rzuca się w objęcia matki, ze wzrokiem ku mężowi pałającym, rzuca się w pieszczoty męża, ze wzrokiem błagalnym ku matce.

Syn się żeni, zwiększa skarb miłości domowéj. Córka wychodzi za mąż, zmniejsza go: ujmuje zeń i wynosi z domu rodzinnego część najdroższą, zostawując po sobie próżnię napełniającą się tęsknotą, lubo tęsknotą rzewną i miłą, jak oddalone echo po słodko-brzmiącéj lutni.

Wyobraźmyż ten skarb rozbitym, zrabowanym, zniszczonym... A jakież bogactwo materyalne porównać się może z tym skarbem duszy, w którym się jednoczy cała treść życia danego i odebranego, wszystkie najświętsze uczucia i obowiązki ludzkości! Wyobraźmyż ten skarb

rozbitym i zniszczonym— powtarzam dla tego, że właśnie samym czytelnikom moim zastawić muszę po większéj części, wyobrażenie boleści Sołohubowéj, gdy z ust księdza Daniela dowiedziała się, co się stało z jéj Maryą.

Pobożny i mądry kapłan, znający serce ludzkie, wiedział dobrze, że w srogich ciosach jakiemi człek uderzany bywa, jedyny ratunek w pomocy Boskiéj, najgłębszą i najgorliwszą modlitwą wyzywanéj, że sama ta modlitwa jest już lekarstwem i ulgą.— Błogosławione lekarstwo! dla czegoż z powszechnego wychodzi użycia? i wybrane tylko serca słodzą niém cierpienia swoje, pojąc się kroplami tego łagodzącego balsamu, spływającego jakby z góry Oliwnéj, na któréj Chrystus błagał Ojca, by odeń kielich goryczy oddalił.

Ale są dusze, tak głęboko upadające pod nieszczęściem, że w pierwszych chwi-

lach nie zdołają same swą wolą i myślą wznieść się do Boga, ani skwapliwéj ręce ku ich pomocy dać się podźwignąć; te albo toną w rozpaczy, albo kamienieją w osłupieniu, i obłąkaną przerażają obojętnością.

W taki stan właśnie wpadła ta nieszczęśliwa matka, usłyszawszy słowa księdza Daniela, których najprzód pojąć nie mogła, a potém jakby nierozumiejąc słuchała; wszyscy otaczający ją płakali, jéj źrenice były suche; lecz nagła tylko i nadzwyczajna bladość twarzy, wzrok błędny, na drzwiach niekiedy zatrzymujący się, jakby w oczekiwaniu wejścia ukochanego dziecka, i duszące westchnienia ostrzegały wszystkich o jéj niebezpieczeństwie. Chwila to była stanowcza o jéj życiu, którą tylko cud łaski i miłosierdzia Boskiego mógł przesilić. Błagał o to miłosierdzie ksiądz Daniel, bo niemogąc gorą-

cém i kilkakrotném wezwaniem wyprowadzić starościnéj do przyległéj pokojowi jéj kaplicy, sam jeden tam się udał i przed ołtarzem Matki Bolesnéj padłszy krzyżem, nad matką także bolejącą błagał zmiłowania.

Scena ta niema a okrutna, trwała przez czas niejaki; gdy w milczeniu płaczący dotąd razem z innemi Marcin,—za cóżby nie uwierzyć że wpływem modłów kapłana natchniony,—przystąpił bliżéj do pani i rzekł:—Ja tam byłem, kiedy panienka odjeżdzała; a wiész Jaśnie Wielmożna pani, co ona kazała Jaśnie Wielmożnéj pani powiedzieć?

Starościna jakby piérwszy raz zrozumiała mowę ludzką, podniosła nań oczy.

—Ot zachodząc się ona od płaczu— mówił daléj Marcin — powiedziała: Poczciwy Marcinie! poczciwy Marcinie! powiedz mamie... powiedz matce mojéj dro-

giéj... powiedz rodzicóm moim... że ich kocham nad życie... powiedz że wrócę... gdy pozwolą. Ach gdy nie pozwolą... gdy nie pozwolą... umrę!...

To ostatnie słowo, jakby ostrzem sztyletu przeszyło strętwiałą, ale też ją wstrzęsło gwałtownie i tém samém życie w niéj wzbudziło.

—Ona umrze!—zawołała—ona umrze!

—Nie, nie, nie umrze!— rzekł Marcin z pośpiechem, przeląkłszy się sam tego wyrazu—daj tylko Jaśnie Wielmożna pani pozwolenie, to ja sam polecę i panienka wróci, bo ona mówiła—powiedz rodzicom że ich kocham nad życie.

—Ona kocha! ona nas kocha!— zawołała znowu starościna; bo te dwa wyrazy: *umrze* i *kocha*, wsiąkły w mgnieniu oka w krew jéj, i krążąc z krwią razem po całém jéj jestestwie, co chwila wpadały w jéj serce.

Dosłyszał słów tych Sołohubowéj ksiądz Daniel wychodzący w ten moment z kaplicy, i po ich wrażeniu poznał całą ich wartość i potęgę. Poznał, że odtąd one być muszą i będą ogniwami łączącemi matkę z córką; a jeżeliby i w sercu ojca się odezwały, religijnemi a gorącemi napomnieniami wsparte, na przekór światowym względom, wyjednaćby mogły przebaczenie i błogosławieństwo rodzicielskie, a co zatémby poszło i błogosławieństwo związku przez Kościół, i ku cofnięciu, i ku uznaniu trudnego.

—Ach ojcze!—rzekła do wchodzącego starościna—ach ojcze! cóż się stało? kara Boska nad nami!—i to mowiąc płakała już rzewnie. Ona powiedziała jemu że nas kocha, mówiła wskazując na Marcina, że nas kocha nad życie...

—I powiedziała to z głębi duszy—rzekł ksiądz Daniel, a po krótkim namy-

śle dodał: Słowem kapłańskiém ręczę ci za to, nieszczęśliwa matko.

— Ona mówiła, że umrze.

— Kiedy Jaśnie Wielmożni państwo nie dozwolicie wrócić—dokończył Marcin.

— Oh! a mąż mój!

— Bóg rządzi sercami ludzkiemi; błagaj Go więc o pomoc i litość, a skłaniaj własne ku dziecku twojemu, i skłaniaj męża, by twéj boleści, życiu jedynaczki waszéj i swemu zdrowiu, a szczęściu wszystkich folgował.

—Cóż mam teraz robić, księże Danielu? radź, bo ja nieszczęśliwa nic nie mogę, nic nie pojmuję, nic nie zrobię. Choćby przynajmniéj miéć od niéj wiadomość, dokąd pojechali? O Boże! cóż nas czeka? Czy taki ślub ważny?

Ksiądz Daniel poznał po tych słowach, że się już cisną do głowy starościnéj dręczące myśli powszechnego rozgłosu, wsty-

du i upokorzenia przed ludźmi z tego małżeństwa nierównego, i kto wie jeszcze czy małżeństwa? zawiedzionych nadziei, i tym podobne, nieuniknione w takiéj złéj toni. Aby więc je wszystkie razem utopić, że tak powiem, w źródle najpewniejszych nadziei i pociechy, rzekł:—Uspokój się JW. pani, uczynim wszystko, czego dzisiejszy stan rzeczy wymagać będzie, a tymczasem idźmy do kaplicy, idźcie i wy wszyscy za panią; zmówmy litaniją do Najświętszéj Boga-Rodzicy, któréj obraz macie w ołtarzu, a gorąco! a gorliwie! Służyć ręką, to nic; służyć sercem, to grunt. Okażcież teraz wszyscy w nieszczęściu dobrodziejów waszych, że im tak służycie. Marcinie, prowadź panią do kaplicy.

Noszona dotąd na krześle, wstała starościna sama—tak to jest prawdą, że nieszczęście dodaje sił do zniesienia go i wytrwania. Wsparła się ona na ręku Marci-

na, chętniéj odeń niżeli od kogo innego przyjmując tę pomoc, bo wlekąc się, jeszcze raz go zapytała: »To ona mówiła że nas kocha?«—i znowu Marcin te miłe dla niéj powtórzył słowa, nie rozumiejąc jak wielkiego one były znaczenia i skutku, a co przewidział Ks. Daniel, gdy mu panią prowadzić kazał.

Gdy tam weszli, starościna, niefolgując słabości swéj i chorobie, uklękła na swym klęczniku, a Ks. Daniel odsunął bogatą firankę zasłaniającą obraz. Marya Boleśna okazała święte oblicze swoje: miecz przeszywał jéj piersi, a boleść i miłość tak żywo i tkliwie jednoczyły się w jéj oczach, że się zdawać mogło, jakby na tę chwilę rzewniła się ona współczuciem i miłosierdziem dla nieszczęśliwéj matki. Wrażenie głębokie przejęło na ten widok nietylko Ks. Daniela, ale i wszystkich.

—*Módl się za nami! módl się za nami!*—

odpowiadano mu z westchnieniem, gdy on litaniję odmawiać począł; a gdy przyszło ofiarowanie, modlitewka którą nieraz może nie jeden z moich czytelników, uciśniony troskami życia, w duchu lub cichemi słowy odmawiał: »Pod Twoję »obronę uciekamy się Święta Boża Rodzi»cielko! naszemi prośbami nie racz gardzić »w potrzebach naszych... w smutkach na»szych—dodawał kapłan, któremu łzy bie»gły po licach—»ale od wszelakich złych »przygód racz nas zawsze wybawić i ra»tować. Pani nasza! Orędowniczko nasza!... Pocieszycielko nasza...« Natenczas łkanie wszystkich ledwo dozwalało powtarzać te słowa, a starościna, zakrywszy twarz rękoma i oparłszy głowę na poręczy klęcznika, duszą je powtarzała.

Nakoniec powstał Ks. Daniel i jakby natchniony, rzekł:— Matko! boleścią połączyłaś się z matką która syna na krzy-

żu opłakiwała; ufaj! ona cię wspierać będzie.

— Pójdźmy — to mówiąc podał rękę starościnie, która jeszcze raz spójrzała na obraz i wyszła pokrzepiona na duchu, modlitwą i nadzieją, z tego wspólnictwa boleści wypływającą.

ABRAHAM ILSKI.

Poleciwszy kobiétom otaczającym starościnę czuwanie nad nią, wyszedł Ks. Daniel z pałacu i udał się śpiesznie do mieszkania dworskich, to jest do oficyny, na tymże samym pałacowym dziedzińcu stojącéj. Rozruch w całym dworze był największy. Pan Tatura, otoczony kilkunastu osobami, i wyższy głową od wszystkich, perorował coś żwawo i zamaszysto. Po całym dziedzińcu bieganina była wielka; z miasteczka i do miasteczka rozmi-

jali się gońce w lipowéj ulicy; kilku tatarów mieszkających w Illi, a przeznaczonych na posyłki, stało gotowych przy osiodłanych koniach; słowem, widoczném było, że wszyscy chcieli coś działać i radzić, ale właściwie rady sobie dać nie umieli, jednocząc tylko swe zdania na przekleństwach i złorzeczeniach Wołkanowskiemu.

Gdy się ukazał Ks. Daniel, wszyscy się doń rzucili.— A co słychać, Reverendissime? A jak się ma starościna? A co oni mówili? jak uciekali? Pan Tatura powiada, że starosta wyrzecze się córki, a pan Pauksza mówi, że to nie może być. Pan Tatura chce posyłać do pana i już Tatarów sprowadził, a pan Mężyk mówi, że trzeba czekać co rozkaże pani. A w miasteczku co się dzieje, gdybyś Jegomość wiedział? choć ty na gwałt dzwoń! Szlachta pije na *zufał*, a wszystkim réj wodzi

ten przeklęty krętacz Kulesza.— Ks. Daniel, nie odpowiadając na te wszystkie hałasy i pytania, wziął Taturę za rękę i wprowadził go do jego własnéj izby w oficynie.

—No, panie marszałku—(bo ten obowiązek pełnił na dworze starosty)— dobrześ skonkludował: trzeba pisać i posyłać do pana.

—I ja tak mówiłem—odpowiedział Tatura— a te błazny mnie zakrzyczeli— i Mężyk ze swojém zdaniem wyjechał. Koniuszy! mądra głowa! — trzeba — prawi— czekać co pani każe?—chciałem już iść po Jegomościa dobrodzieja do pałacu.

— Pani nic nie każe, bo w żałości i smutku nie jest w stanie rozkazywania czegokolwiek.

—I ja tak mówiłem—rzekł znowu Tatura—posłańce gotowi, wysyłajmy na różne strony. Starosta pojechał wprawdzie do

Grodna, ale ztamtąd miał się zwrócić na Słonim i Nieświéż; więc Bóg wie gdzie go szukać? poślemy więc do wszystkich tych miejsc. Tylko w tém sęk *Reverendissime*, że trzeba pisać do pana; a już wiesz Jegomość dobrodziéj, że ja w skrypturze niemocny, a tém bardziéj w takich cyrkumstancyach.

— No, ja napiszę — rzekł ksiądz Daniel — ale prócz tych posłańców, rozporządź zaraz i posyłaj Mężyka rozstawionemi końmi po doktora do Wilna, bo któż wié? może pani potrzebować go będzie. W takiém wielkiém zmartwieniu doktor nieodstępnym być powinien, na dwornego felczera spuszczać się nie można. — I usiadł zatém do pisania listów, a marszałek poszedł rozrządzić wnet wysłanie po doktora.

W godzinę jedno i drugie było spełnione. Mężyk jechał śpiesznie bryką po

drodze do Wilna, a tatarzy kłusowali do Grodna, Słonima i Nieświeża, każdy w swoją stronę; Tatura zaś, wiedziony ciekawością, na ten raz nienaganną, poszedł do miasteczka podsłuchiwać pijaną szlachtę, a nuż się czego nie dowié, coby się tego fatalnego zdarzenia tyczéć mogło? Zatém ksiądz Daniel został sam jeden, i wsparłszy głowę na ręku, siedział przy stole, na którym listy swe pisał, zadumany głęboko... gdy we drzwiach nowa okazała się figura— żyd.

Był to pan Abraham Ilski, tak nazwany od miasteczka, w którém od dziadów i pradziadów mieszkał, które trzymał arędą i w którém obszerny prowadząc handel leśny, utrzymywał znaczny ruch kupiecki, dając zarobek i sposób do życia wielu biednym rodzinom swych braci. Był to *morejna*, w całém znaczeniu tego wyrazu, a osobą swą przedstawiał pra-

wdziwego dostojnika Mojżeszowego narodu.

Imie też jego przypadało właśnie do jego postaci; bo w rzeczy saméj, z oblicza tego sędziwego i szlachetnego, brody siwéj i poważnéj, czoła łysego i wysokiego, oczu czarnych pełnych życia i wyrazu, malarz alboby podobieństwo do obrazu tego patryarchy, albo wzór na jego obraz upatrzył.

W grodetury i atłasy ubrany był cały pan Abraham. Żupan atłasowy czarny, srebrnemi haftkami i pętlicami na piersiach zapięty; takiegoż koloru płaszcz długi grodeturowy, taśmami i kutasami sutemi jedwabnemi na szyi przywiązany i szerokie na wiatr rozpuszczający poły; nakoniec trzcina ze srebrną gałką w ręku, a aksamitna jarmułka, wąziutkim galonikiem oszyta, na głowie, dopełniała tego uroczystego stroju, w jakim ukazał się

on we drzwiach izby, w któréj siedział samotny ksiądz Daniel.

Rzadko dziś bardzo, a wkrótce i zupełnie nie ujrzysz między Izraelskim ludem takich staroświeckich postaci. Znikają one z nowego pokolenia, przekształcającego się w powszechną europejską ludność; przewodniczyli oni niegdyś w synagogach i kahałach, zasiadali i radzili w owych tajemnych sanhedrynach, kierujących losami tego wygnańczego narodu, a razem trzymali w swych rękach handel całego kraju. Wyżsi prawością, i dostojnością, że tak powiem, a zwykle i mieniem, nad gmin szynkowy swych jednowierców, wyrabiali oni ogromne lasy Litewskie i wszelkie inne płody ziemi naszéj za granicą popłatne; len, pieńka, siemie, na miejscu przez nich opłacane, szły do portów i wzbogacały ich corocznemi zyski. To dawało im wstęp do

wszystkich znakomitszych panów, którym gotowemi zawsze służyli kapitałami, a w tych stosunkach nabywali poloru, taktu i pewnego rodzaju powagi i godności, która uszlachetniając ich w oczach własnych, uszlachetniała razem ich sumienie i postępki.

Żyd taki trzymał się ściśle swojego zakonu: wznosił własnym kosztem po miasteczkach szkoły, pokrywał w nich srebrnemi blachami dziesięciora, hojne ubóstwu wyprawiał szabasy. Ale mimo to przywiązanie do religii swych ojców, wyzuwał się jednak w pewnym stopniu z nienawiści ku Chrześcijanom; owszem częstokroć przywykał serdecznie do rodzinnego siedliska i do panów, pod których opieką kilka swych pokoleń wyhodował.

Mamy i dziś żydów bogatych, miewamy w nich kupców rzetelnych, ale takich *morejnów* nie mamy już — a różni-

ca główna w tém, że prawość i rzetelność tych ostatnich, przynajmniéj zarówno z oszacowania siebie i ludzi, z którymi obcowali, jako i z interessu dobrze zrozumianego wypływała; dzisiejszych—tylko z interessu. Daruje mi czytelnik tę małą dygressyę, bo w niéj razem i pana Abrahama Ilskiego opisałem, który wpływa do mego opowiadania.

— Z przeproszeniem godności pańskiéj— rzekł więc, zatrzymując się we drzwiach Abraham— czy mogę wejść i pogadać trochę z księdzem dobrodziejem?

Ksiądz Daniel podniósł głowę i ujrzawszy nadchodzącego, łatwo się domyślił, że go tu wspólnie wszystkim dotkliwa bieda przyprowadziła. — Proszę, panie Abrahamie — odpowiedział zatém — proszę.

Abraham wszedłszy, zaszczepił za sobą drzwi na kruczek, obejrzał się na wszystkie strony i zbliżył się potém do stołu.

— Siadaj, panie Abrahamie — siadaj!

Abraham usiadł, bo dla wieku i poczciwości, starosta nawet długo mu przed sobą stać nie dozwalał; dobył potém srebrnéj tabakiery, zażył z niéj, pogładził poważnie brodę i patrząc w oczy księdzu — posłałeś Jegomość dobrodziéj po starostę? — rzekł.

Ksiądz Daniel skinął głową — i po doktora — dodał — bo starościna słaba.

— Dobrze pan zrobił — ale cóż daléj będzie? bo zawsze od początku trzeba patrzéć na koniec. Pogadamy o tém sam na sam z Jegomością dobrodziejem; może i stary Abraham, stary przyjaciel i sługa panów, cokolwiek poradzi — mówił dobrą polszczyzną, choć obrótem słów sobie właściwym. — Więc cóż daléj będzie, Mości

księże dobrodzieju? — ponowił on pytanie.

—Co Bóg da, panie Abrahamie, co Bóg da; my pokornie o miłosierdzie jego błagać będziemy.

—I my całym kahałem przez trzy szabase modlić się będziem: Pan Bóg, Mości kięże dobrodzieju, dla wszystkich jeden. Ale z przeproszeniem godności i mądrości pańskiéj—tu znowu zażył tabaki i mówił powoli—ja myślę tak: Powróci pan starosta, aj gwalt! strach! co to będzie? no, na końcu odpuści się—bo on ojciec, a to jedynaczka, i zapyta się, gdzie ona pojechała?... a matka odpowie płacząc, ja nie wiem... może już umarła! to pan starosta weźmie się za głowę, i będzie sobie włosy rwać... no, wtenczas kto jemu powie:—Ona żyje, i wiem gdzie żyje— to podziękuje on jemu; oj, i jak po-

dziękuje! i błogosławić jemu będzie! czy nie prawda?

—Prawda, ale daj Boże, aby to odpuszczenie jak najrychléj nastąpiło— odpowiedział Ks. Daniel.

— No, to Jegomość dobrodziéj nad tém pracuj, ale ja myślę o córce. Oj biedna ona, biedna! choć ona tam z mężem, ale jéj dusza tu.

— Z mężem...— powtórzył Ks. Daniel wątpliwie i potrząsł głową.

Abraham przenikając wnet myśli jego,— z mężem, — powtórzył głosem stanowczym— z mężem Mości księże dobrodzieju; niechaj Bóg broni mówić inaczéj! Na sto lat życia Jegomości dobrodziejowi... ale Jegomość popchni myśl swoją naprzód, daléj a daléj... Kiedy on nie mąż, a ona nie żona... to co będzie? to co będzie z ich dziećmi? Na sto lat biedy! na sto lat biedy—na dzieci, wnuki i prawnu-

ki! z przeproszeniem godności pańskiéj. Oj! oj! oj! strach i mówić i myśléć.

Ks. Daniel spuścił głowę i zamyślił się; pojął prawdę słów Abrahama, i jakby spójrzał w głęboką przepaść, którą on mu odsłonił.

Ten znowu kontynuował swe, nałogową kupiecką, że tak powiem, rozwagą i ostrożnością przecinane sensa— biedna ona, biedna! ona zna co rodzicom zrobiła... a jak jéj przyjdzie do głowy, że starzy pochorują, a może i poumierają z żałości, to i mąż nie doradzi, Mości księże dobrodzieju... a kiedy kto jéj wtedy napisze—rodzice żywi i zdrowi—temu ona ręce i nogi całować będzie... A ktoż jéj to napisze? Jegomość dobrodziéj.—Ot dla czego ja tu przyszedł.

A gdzież ja napiszę?— rzekł ksiądz Daniel—nie wiedząc dokąd pojechali; chyba trzeba mi się obaczyć z tym...—pobożne

usta nie wymówiły wyrazu, który im gniew podawał — z tym Kuleszą; a nuż odeń czego się dowiem!

— To Haman! — zawołał Abraham— to Haman! po waszemu Mości książe dobrodzieju, to Judasz nic dobrego. Jegomość od jego się nie dowiesz; bo co mówi Salomon: »*Srebro wyborne serce spra-*»*wiedliwego, ale język niezbożnych za nic nie* »*stoi.*« On podzielił się z Wołkanowskim pieniędzmi, które oni ugody wzięli za Sieliszcze.

— Ugody za Sieliszcze? — rzekł zdziwiony Ks. Daniel. — Ach! a ja sobie głowę suszyłem, dochodząc, zkądby Piotr dostał funduszu na tę podróż; ale zkąd znowu to wiesz, panie Abrahamie?

— Ot tak, Mości księże dobrodzieju. Kulesza zaszedł z całą swoją gromadą do naszéj karczmy, i kazał dać miodu; więc szlachta po swojemu pić zaczęła i huczny

prowadziła rozhowor, a ja zdaleka przysłuchiwałem się; aż jeden pyta go: panie Janie, a wiele wziąłeś *rebochem* od Wołkanowskiego, za to, że zaprzedałeś jego Sieliszcze?

A on na to — ot imainacya: co to do tego należy; widzi Jegomość, że jego takie przysłowie:—Co tobie do tego, krzyknął na szlachcica; pij i milcz!

— No, to szlachcic tak i zrobił, ale ja domyśliłem się całéj téj sprawy.— Kulesza, wielki prawnik, on wszystką szlachtę za nos wodzi, a oni słuchają go jak monarchę; on musiał ten interes zrobić i wziął *oberchabę* dobrą, a Wołkanowski dostał pieniędzy na drogę.

— Rozumiem, teraz wszystko rozumiem — mówił Ks. Daniel, potrząsając głową; nie do rodziców więc on jeździł, ale kończył przez nagłą ugodę ten proces o Sieliszcze, *staraniem* Sołohuba od-

nowiony. Więc zkądże weźwiemy wiadomość gdzie oni pojechali?

Tu pogładzając poważnie swą siwą brodę, mówił Abraham:—Mój wiernik *Hirszko*, to on niby prosty sobie żydek, ale...— postukał tu palcem w głowę— ale gdybym ja jego do piekła posłał, to i z samym Lucyperem kontraktyby zrobił, i nie dałby się oszukać. A kiedy ja jemu powiem *chejrym! cyt!* to jak kamień do wody... Otóż Mości księże dobrodzieju, gdybym ja jego naprzykład...— a tu stukał po tabakierze — gdybym naprzykład, ja... *Abraham Ilski*, kupiec, wysyłam mego wiernika *Hirskę*, dla opatrywania puszcz po całéj Polsce. No, to on jedzie i jedzie... a rozpytuje się po drodze u żydków, gdzie oni nocowali? gdzie popasywali się? gdzie im koło złamało się? wszystko za niemi a za niemi, aż póki gdzie nie osiądą. Wtenczas on

pomału, nieznacznie, dowie się co tam na miejscu dziać się będzie? kto tam z niemi? i z kim oni? i o wszystkiém, co nam wiedzieć trzeba będzie?... A kiedyby tam biéda była, to on będzie miał...—tu uderzył po kieszeni.— Czy tak dobrze, Mości księże dobrodzieju?

Ks. Daniel patrzał zdziwiony w oczy żydowi, który nie przestając gładzić swéj srebrnéj tabakiery, i wzajemnie patrząc w oczy księdzu, oczekiwał odpowiedzi.

W końcu ks. Daniel ujął rękę Abrahama i ściskając ją, wzruszonym głosem rzekł:—Tyś poczciwy i rozumny człowiek; każdy poznałby tu konieczną potrzebę wiadomości, gdzie się znajdować będzie córka starostów; aleś ty potrzebę tę z serca rodziców i dziecka rozpoznał; sam więc masz serce.

—I sam mam dzieci—przerwał Abraham.

—A serce twe dobre jest i wdzięczne,

dodał ks. Daniel— gdy nawet pieniędzy nie żałujesz.

— Jak to, Mości księże dobrodzieju? córka moich panów miałaby być bez chleba! no, o tém potém. Ale czy dobrze tak będzie jak mówiłem?

Ksiądz Daniel pomyśliwszy nieco—dobrze— rzekł—i bardzo dobrze, byle nikt nie wiedział ani o wyjeździe twego wiernika, ani o powrócie; bo gdyby starosta przed czasem dowiedział się o schronieniu córki, mógłby w gniewie ścigać ich i powiększyć własne, żony swéj i dzieci nieszczęście.

— A *chejrym*, Mości księże dobrodzieju! a *chejrym!*

— Kiedy tak, to wysyłajże tego swego Hirszka, panie Abrahamie.

— No, to już i wysłałem.

— Jak to? już wysłałeś?

— Wysłałem, a Jegomości dobrodzie-

jowi dziękuję, że pochwaliłeś to, co ja zrobiłem; teraz czy *Hirszko* co napisze, czy sam powróci, ja Jegomościa dobrodzieja wnet zawiadomię i znowu radzić będziemy. Kontent jestem! bo co mówi Salomon: »Daj mądremu powód, a przyczyni »mu się mądrości; nauczaj sprawiedliwe»go, a pokwapi się wziąźć (1)« a to się tycze mądrości Jegomościa dobrodzieja.

— Bodaj czy nie więcéj mądrości waćpana, panie Abrahamie — rzekł, uśmiechając się ksiądz Daniel—zawsze jednak winszuję, że tak dobrze znasz świętą biblię.

—Ach! z przeproszeniem godności pańskiéj, to tak, jakbyś mnie Jegomość dobrodziéj winszował, że umiem chleb jeść; a teraz do zobaczenia i do nóg upadam.

---

(1) Przypowieści Salomona.

— Do zobaczenia — powtórzył ksiądz Daniel — do zobaczenia!

Araham skinął głową, włożył na nią szeroki kapelusz, wziął swą trzcinę w rękę i wyszedł, krocząc poważnie przez lipową ulicę do miasteczka.

Powrót ojca.

Błogosławiony dom, który miał i który miećby mógł dzisiaj u siebie takiego kapelana, jakim był ksiądz Daniel, takiego stróża wszelkich cnot chrześcijańskich, takiego przyjaciela i doradzcę w trudnych okolicznościach życia, takiego pocieszyciela i Bogomódlcę w nieszczęściu.

Żaden dom pański dawniéj nie obszedł się bez kapelana i bez domowéj kaplicy. W niéj codzień panowie i dworscy słuchali Mszy Ś-téj, jedni drugim służąc przykładem do jéj ozdoby; panie, córki i respektowe dzie-

wice szyły w krośnach bogate kobierce i zapony; w niéj znakomitym kosztem okupione, lśkniły się złotem i srébrem mszalne apparata, a drogiemi kamieniami święte naczynia. Słowem, przepych i zbytek panów, wszędzie naówczas dowodzący zarozumiałéj dumy magnatów, tu we wspaniałych ofiarach dowodził ich pokory przed Bogiem i chętnego poświęcenia Mu ich bogactw.

Kapelan pobożny i mądry (a takich zwykle wybierano), jakby drugi ojciec wchodził w rodzinę, którą codzień w swych modłach polecał opiece Boskiéj. Dzielił z nią złe i dobre chwile, uspakajał domowe rozterki, karcił i hamował częstokroć możno-władcze pana zapędy, słowem, posiadając miłość i zaufanie wszystkich, utrzymywał pokoj, umiarkowanie, swobodę i religiję w domu.

Takim był ksiądz Daniel. Do tych przy-

miotów swego stanu, łączył on jeszcze szczere i serdeczne przywiązanie do rodziny Sołohubów, których był nawet krewnym dalekim; kochał i czcił starościnę, poważał bardzo starostę, kochał czule, jakby ojciec Maryę, któréj tajemnic wiary świętéj nauczał; lubił nawet Wołkanowskiego, bo odeń głębokiego synowskiego uszanowania codzienne odbierał dowody; był on zatém duszą Ilskiego dworu.

Ksiądz Daniel był Jezuitą.— Czuję ja, że na to imie nie jeden z czytelników moich, powszechném napełniony uprzedzeniem o tym zakonie, w charakterze cnotliwego i pobożnego kapłana, z trudnością upatrzyć będzie mógł Jezuitę. Wszakże w czasie, do którego odnosi się ta powieść, największa część magnatów naszych miała domowych kapelanów z tego zgromadzenia. Przypuścić zatém niepodobna, aby zakon ten cały, z którego

wyżsi oświeceniem, a pobożni ludzie wybierali sobie stróżów sumienia, składał się tylko z chytrych intrygantów i stronników jedynie swéj instytucyi. Nie tu miejsce rozwodzić się szerzéj o tym przedmiocie, w rozmaitym już względzie nie raz rozbieranym; chcę ja tylko wzmianką tą strącić z drogi wyobrażeń czytelników moich myśl, któraby w obrazie cnót i świętobliwości przedstawionego przezemnie kapłana, cień niejakiejś wątpliwości rzucić mogła; zresztą, w ogólności dodam, że zakon, który dał Polsce *Piotra Skargę*, *Sarbiewskiego* i wielu innych znakomitych obrońców wiary naszéj, nie zasługuje na bezwarunkowe nienawistne wspomnienie (1).

---

(1) Jezuici w naszym kraju, nie mieli wprawdzie powszechnéj sympatyi, którą im inne zakony, zazdrośne ich powodzeniu i przewadze, w klassie zwłaszcza średniéj obywatelskiéj, psuć starały się, ale też nie mieli i powszechnéj nienawiści:

Przeszło dni kilka spokojnych w Illii. Dwór był smutny jakby w żałobie. Przybyły doktór z Wilna nie odstępował starościny, ona w szakże w modłach i pobożności, w którą ją pogrążył ksiądz Daniel, więcéj spokoju, a zatém i sił, niżeli w jego medykamentach znajdowała; pocieszał ją cnotliwy ten kapłan upewnieniem, że wkrótce wiadomość o córce będzie miała,

---

zatém po skassowaniu ich nie było żałoby, ale też nie było i powszechnego, jak gdzie indziéj, najgrawania się. Naród przyjął upadek instytucyi ze zdumieniem, ale jéj członków wychodzących gromadami ze wspaniałych klasztorów, spotkał jak braci swoich, jak ziomków i kapłanów i każdego po szczególe chlebem powszednim opatrzył. Jezuici Polscy ponieśli tu pokutę za braci swoich zagranicznych; bo nie sięgając w głębszą przeszłość, w ostatniém stuleciu ich istnienia, nie wdawali się oni w żadne głębsze polityczne intrygi któreby rząd kraju zakłócić, obrazić lub zatrwożyć mogły; wpływ ich dosięgał wprawdzie możnowładcze rodziny, w których wielu jeszcze swoich wychowańców i uczniów liczyć mogli; lecz w ostatnich czasach i ten wpływ się zmniejszył, już to wzniesieniem się odmiennéj opinii we względzie wychowania młodzieży, szerzonéj szczególniéj przez Pijarów, do których

i przygotowywał do spotkania się z mężem, którego codzień oczekiwano.

Nakoniec przyszła ta chwila, i jednego ranku, gdy ledwo słońce wschodzić zaczynało, ksiądz Daniel siedząc na ganku i szepcząc pacierze, postrzegł w lipowéj ulicy pojazd, który wnet stanął przed gankiem i wysiadł zeń starosta.

Spotkał go ksiądz Daniel; twarz jego zmienioną była, ale więcéj w niéj zapamiętania niżeli troski się wydawało—

---

konwiktów znakomitsze domy oddawały swych synów; już to rozwinieniem się ogólnych wyobrażeń oświecenia, niezgodnych z Jezuicką rutyną. Pamiętam, że za młodu słyszałem, jak wspominając o skassowanych Jezuitach, nazywano ich zakon *„Kabak na rozumy“*— to jest, że zgromadzając oni u siebie i garnąc mądrość wszelaką, wydzielali z niéj pod miarą i wagą cząstkę narodowi i to jeszcze na własny gatunek przerobioną; definicya ta popularna, po większéj części była sprawiedliwą, lecz gdy *Kabak* podjęto, zapasy mądrości tam nagromadzone rozlały się po kraju i weszły do powszechnego użycia. Skassowanie zatém Jezuitów nie usprawiedliwione tu wprawdzie żadnemi głównemi przyczynami,

smutek mężczyzn bliższy gniewu— smutek kobiet bliższy łez.

— Jak się ma moja żona? — zapytał nie witając się nawet— pisałeś do mnie, że słaba—a oddychał głęboko, jakby się umordował.

— Właśnie chciałem najpierwszy spotkać i przestrzedz pana— rzekł ksiądz— że starościna potrzebuje wielkiéj spokoj-

---

przeciw nim gdzieindziéj świadczącemi (Paraguay), podwójną jednak przyniosło korzyść narodowi; raz, dając ogromne fundusze na edukacyę krajową, powtóre, dając pobożnych i uczonych ludzi, którzy uwolnieni z pod obowiązków, jakiemi ich reguła i prawa zakonne obarczały, gorliwość tylko kapłańską i naukę z cel klasztornych wyniosłszy i stosując oną do nowych widoków i pojęć, wsparli liczbą i światłem wyższe zwłaszcza narodowéj instrukcyi zakłady. W niedawnych czasach pojawiła się u nas jakaś niespodziana literacka krucyata przeciw nieobecnemu nieprzyjacielowi, to jest przeciw Jezuitom, wzbudzona bodaj odbiciem się prelekcyj antyjezuickich, w Paryżu z katedr głoszonych; ale wkrótce ustała wojna, dla braku oporu nie istniejącego nieprzyjaciela i zda się, że już się u nas więcéj nie wznowi, chyba wzmianką w dziejach, które każdy fakt spełniony do swéj treści garną.

ności, i że każde wzruszenie mocne, może ją o niebezpieczeństwo życia przyprawić; tak mówi pan *Baranek* (1) który tu od dni pięciu siedzi, a i bez niego łatwo to poznać.

— Więc sprowadziliście Baranka?

— A wszakżem pisał do pana, że rozstawionemi końmi po niego wysłałem, lękając się o starościnę.

— A tak, zda mi się, że to jest w twoich listach; więc moja żona słaba?

— Choroby żadnéj wyraźnéj nie ma, nawet róża przeszła: ale stoi ona na tym śliskim punkcie, z którego najlżejsze popchnięcie w grób ją pogrąży. Czeka pana niecierpliwie i z bojaźnią; szczęście, że rankami usypia trochę, bo sam turkot przyjazdu pańskiego jużby ją gwałtownie wzruszył; ja nie przestawałem dzień i noc

---

(1) Najsławniejszy ówczesny doktór w Wilnie.

pilnować, abym pana spotkał, i polecił miłości twéj małżeńskiéj panie starosto, życie twéj małżonki.

—Wychowałem węża!—zawołał zapalczywie starosta,—który mię śmiertelnie ukąsił... ale, ale chyba mi śmierć oczy piaskiem zasypie—mówił konwulsyjnie ściskając pięście—będzie jeszcze jeden trup w téj przeklętéj rodzinie!...

—Wejdźmy—przerwał Ks. Daniel—do pańskiego gabinetu, nie budząc starościny; gdy się ocknie, pierwsze jéj pytanie jako i zawsze będzie: czyś pan nie przybył?

Weszli więc do środka: dworscy na dziedzińcu zdaleka patrzali na to, nie śmiejąc zbliżyć się i powitać pana.

Godzinę mogła trwać konferencya starosty z Ks. Danielem, do któréj wezwa-

no i doktora. Oczekiwano chwili obudzenia się starościnéj i starosta walczył sam z sobą, aby się ile można zdobyć na spokojność, i spotkaniem nie dobić żony... gdy nagle i niespodzianie drzwi się odemknęły i ona weszła... Przerażony starosta spojrzał na nią... serce mu się zatrzęsło!...

Ona podniosła nań oczy, a wspierająca ją panna zaledwo ją utrzymać mogła... W mgnieniu oka taka głęboka miłość, żałość i litość wzajemna objęła ich oboje, że słowa nie przemówiwszy, jakby niewidomą ręką ku sobie popchnięci, już byli w objęciach... płacz ich głośny, rzewny, jękami przerywany, rozległ się natenczas. Ks. Daniel, łkający sam, nie mógł koić nieszczęśliwych; doktorowi nawet łzy strumieniem płynęły.

Nakoniec starosta składając żonę na

kanapie rzekł: — ty przynajmniéj zachowaj się dla mnie!

—A ona... a ona!...— ozwała się zaledwie przemówić mogąca starościna—ona mówiła, że umrze kiedy jéj wrócić niedozwolim, że nas kocha...

Na to wspomnienie, płomień, zalany łzami, buchnął na nowo w staroście; krew czerwonemi plamami zarumieniła bladą twarz jego; już—już miał zbluźnić Bogu, lub przekląć swe dziecko... ale kapłan spojrzał nań... spojrzał nań wzrokiem, jakim wybrani tylko słudzy Pańscy są obdarzeni—jest to wzrok ducha, któremu oko jest tylko zwierciadłem, przed którym topnieją namiętności ludzkie... który zwrócony na człowieka wraża mu miłość i pokorę: zwrócony ku niebu, jedna dlań pokój i miłosierdzie... Wzrok to Chrystusa na krzyżu, pocieszającego matkę na ziemi, i błagającego Ojca w niebio-

sach!!! Czyż wzrok taki ludzkiemi słowy opisać się może...

Urokiem czy potęgą wejrzenia tego, bo się wyrazić nie umiem, dotknięty starosta, ochłonął i najtkliwszemi zaklęciami błagał żony, aby zdrowie swe szanowała: a gdy *Baranek* nalegał, by cały ten dzień została w łóżku, i żywe swe wzruszenie uspokoiła, przeto sam starosta odprowadził ją do jéj sypialni, i wzajemne troskliwe i czułe o zdrowie swe odebrawszy prośby, powrócił do swego gabinetu, i rzucił się na kanapkę, chcąc zmęczone podróżą, niewczasem i wewnętrznem udręczeniem siły pokrzepić.

Dnie smutku w Illii wlekły się leniwie; dworzanie snuli się jakby ospali. Tymczasem starosta chciał koniecznie dośledzić, kto we dworze, szczególniéj z ko-

biét, które podejrzywał najbardziéj, mógł pośredniczyć między jego córką, a Wołkanowskim? Mniemał on, że miłość, która ją aż do opuszczenia domu rodzicielskiego doprowadziła, musiała mieć powierników, musiała długo się pierwéj rozpłomieniać, musiała mieć ułatwione osobiste wyznania i układy ucieczki, musiała mieć tajną korrespondencyę, słowem, musiała przechodzić wszystkie symptomata i konieczne, a zwyczajne swe koleje. Nie pomyślał on, że uczucie to jak pożar nagły, częstokroć w jednéj chwili tuż się i wznieca i wzmacnia; że promieniejąc z serc i z oczu zakochanych, ożywia się i kommunikuje wzajemnie; że jedno słowo między niemi wyrzeczone niedosłyszanym przez świadków półgłosem, więcéj znaczy i stanowi, niżeli tysiące przez powierników.

Brał on więc kilkakrotnie na ścisłe exa-

mina Porębskę, jako najbliższą sługę i ochmistrznię Maryi. Lecz téj łzy i rozpacz przekonywały dostatecznie, że nie tylko wspólniczką nie była, lecz nawet przypuścić sobie do głowy nie mogła ściślejszego między zakochanemi porozumienia; a nawet zbliżanie się częste na pokojach Wołkanowskiego do Maryi, ze zwykłą przenikliwością kobiécą, niebezpieczném i nieprzyzwoitém być sądząc, pierwsza ostrzegła starostę, i skutkiem właśnie téj przestrogi, Piotr tak nagle i niespodziewanie ze dworu wyprawionym został.

Nie uszły także podejrzeń i pytań panny respektowe; ale były to dziewice szlachetne, towarzyszki Maryi, lecz starsze od niéj wiekiem, niektóre i o lat kilkanaście; dzieliły one smutek dobroczyńców swoich, ale samo to podejrzenie tak ich dojęło, że żądały dozwolenia powrotu do swych domów, na co w obecnym stanie

zgodzić się niepodobna było, gdyż każda z nich czułém staraniem około starościny, córkę jéj zastąpićby chciała. Z kolei dziewczęta pokojowe przeszły przez również badania, ale i te płaczem tylko na prośby i groźby pana odpowiadając, oprzysięgały swą niewinność. Nakoniec ksiądz Daniel, obecny wszystkim tym inkwizycyom, zapytał raz uroczystym głosem:— Czego to śledzisz, panie starosto?

— Dziwne pytanie!— odpowiedział on.

— Nie, nie dziwne — mówił ksiądz— bo szukasz sam dobrowolnie jadu, którym masz zalać i zajątrzyć jeszcze gorzéj ranę twojego serca.

— Nie rozumiem cię— rzekł Sołohub.

— Szukasz zemsty. Dotąd jesteś nieszczęśliwym, a chcesz zostać prześladowcą! Dotąd możesz z czystém sumieniem wznieść oczy do Boga i błagać jego łaski i wsparcia; a chcesz sumienie twe tak ob-

ciążyć grzechem, abyś oczu na ołtarz Pański wznieść nie mógł.

—Jakto, księże Danielu! Mamże spokojnie, bez dośledzenia i kary zostawić tego, który pomógł do najsroższego mego nieszczęścia? do zguby mego domu, do okrycia nas hańbą i wstydem?... Księże Danielu!... ja tego wymówić nie mogę... ale...—tu w najwyższém wzruszeniu drżąc cały, rzucił się na kanapę.

Ksiądz przetrwawszy to mocne wzruszenie starosty, rzekł znowu:— Więc kiedy chcesz koniecznie znaleźć winnego, ja ci go wskażę.

— Kto? — niecierpliwie powstając zapytał starosta.

—Ty sam—wymówił poważnie kapłan.

— Bluźnisz, księże!

— Nie, nie bluźnię.— Ty sam! to jest twoja pycha, która cię zaślepiła i która tak wysoko Sołohuba, a tak nizko Woł-

kanowskiego w oczach twych stawiła, że ci i na myśl nie przyszło, że ten młodzieniec ma serce, i że twa córka ma je także; gdybyś był mniéj dumnym, byłbyś ostróżniejszym: w ich wieku...

— Jak to? chcesz więc i jego usprawiedliwić?—przerwał starosta. Prawda, nigdy sobie nie pomyślałem, aby taka zuchwałość mogła w nim powstać; lecz gdy mą nieostróżność potępiasz, czémże nazwiesz jego postępek?

— To jego winy nie zmniejsza bynajmniéj.

— A ona! ona!— mówił coraz bardziéj rzewniąc się starosta — ona, nasza pociecha jedyna! ona chluba nasza! moja pieszczota! ona moja nadzieja! Ona niewdzięczna!— tu łzy mu się polały.— Oh! księże Danielu, nie jesteś ojcem, nie znasz jaki cios sercu rodzicielskiemu zadaje niewdzięczność dzieci!...

— Ona nieszczęśliwa teraz — kończył ksiądz Daniel, podniecając czułość ojcowską— ona krwawemi łzami płacze teraz zapewne po rodzicach.

— Nie, księże Danielu, nie! daj mi pokój; ona nie myśli o naszych męczarniach; nie myśli, że nam grób własnemi rękami otworzyła! o Boże! daj mi zapomnieć to wyrodne dziecko!...

Ksiądz Daniel wzniósł oczy w górę i przeciwną w myśli ofiarował Bogu modlitwę; a ucieszony w duchu, że czulsze wspomnienie córki w sercu starosty obudziło się, że tkliwą łzę w oczach jego ujrzał, zaczął od téj chwili przypuszczać nadzieję, że przyjdzie czas gdy za pomocą Bożą duma się miłością pokona.

Z poszukiwań tych wszakże utwierdziła się ta pewność, którą już wprzód Abraham odkrył i księdzu Danielowi objawił, że Kulesza nietylko do ślubu i do ułatwie-

nia ucieczki, czego wielu było świadkami, pomagał, ale że Wołkanowski, oddalony przez starostę, nie do rodziców swoich lecz do niego się udał, że z nim razem jeździł do *Horodyszcza* dla zawarcia kombinacyi z właścicielami ówczesnemi *Sieliszcza*, że wziął od nich ugodą kilkaset czerwonych złotych, a ugodę tę doprowadził i pisał nawet *Kulesza*, bo był zawołany prawnik. Na niego więc miał wywrzéć całą swą zemstę starosta; i gdy właśnie szukał ku temu sposobów i projektów, przyjechał do Illii tenże sam Kulesza — *trupem* — bo nagłą śmiercią zabity, co mu za karę Boską policzył starosta.

Tymczasem ksiądz Daniel niecierpliwie oczekiwał powrotu wiernika Abrahamowego; tém bardziéj, że starościna żyła tylko nadzieją téj wiadomości i co-

dzień o nią się dopytywała. Starosta milczał, nie wspominał córki; ale czy to za przykładem żony, czy to ze zmartwienia tłumionego wewnątrz, znabożniał bardzo. Codzień słuchał w kaplicy Mszy Śtéj, odmawiał różaniec i tym podobnie, do czego dawniéj nie bardzo tęsknił; a jeżeli kto z sąsiedztwa odwiedzał dom ten, niedawno tak uprzejmy i otwarty, to albo nie widział się z gospodarzem, wymawiającym się słabością zdrowia, albo gdy przybyły był takim, że go koniecznie przyjąć trzeba było dla jakiego interesu, to z pierwszego wejrzenia na starostę litość brała gościa, tak, że sam skracał chwile udręczających odwiedzin. Ku żonie tylko, która się nieco podźwignęła ze swéj słabości, podwoiło się w nim przywiązanie i tkliwość; snać ona w nim teraz zajęła całe serce, rozdzielone dotąd na dwoje drogich mu istot. Starosta pielęgnował ją,

pieścił najczulej, a gdy ją rozrzewnioną i płaczącą obaczył, tulił do swych piersi głowę jéj i najtroskliwiéj o folgowanie zdrowiu błagał. Lecz tego, coby ją jedynie pocieszyć mogło, to jest myśli swych o dziecku zawsze jéj drogiém, nigdy nie odkrywał, ani wspomniał; więc i ona nie śmiała wymówić jéj imienia; a tak milczeniem, jak żałobnym całunem pokrywali oni oboje między sobą przepaść, któréj zgłębić jeden nie miał woli, a drugi siły.

Ks. Daniel, baczny na każdy krok starosty, jak doktór uważający każdy symptomat chorego, każde tętno jego pulsu, i znający głęboko serce ludzkie, lubo się cieszył tém nabożeństwem i tą miłością jego dla żony, nic jednak pomyślnego nie wróżył ztąd jeszcze dla córki. Mniema on, myślał w sobie mądry kapłan, że ich dwoje tylko zostało dla siebie na świecie; wspiera ją i pielęgnuje, bo jéj miłością

chce siebie napełnić, a własną miłością dla niéj, zatrzéć w jéj duszy uczucia matki... Nieborak! źle kalkuluje, myli się i o sobie i o żonie, bo chce zwyciężyć naturę.. ale zły to znak; bo pobudzając się do jednéj, choć najpoczciwszéj miłości, usiłuje zapomnieć drugiéj... garnie się i ucieka do Boga, bo światu i ludziom nie śmie zajrzéć w oczy, bo się wstydzi upokorzenia. Oh! modlitwy jego nie jednostajnéj intencyi z żoną... daleko z nim jeszcze do końca!...

Pierwsza wiadomość.

Tak upłynęło parę miesięcy. Ks. Daniel codzień pod wieczór odbywał przechadzkę do miasteczka, i albo zachodził do Abrahama, lub się z nim w ulicy spotykał, dla nieznacznego komunikowania się. *Hirszki* jak nie było, tak nie było;

niecierpliwiącego się, Abraham uspakajał, mówiąc:—Mości księże dobrodzieju, *Hirszko* darmo nie siedzi, daleko widać oni zajechali.

Nakoniec, pewnego piątku, wchodząc z jednego końca do miasteczka, Ks. Daniel, postrzegł w drugim pędzącą szybko brykę; z pośpiechu i smagania koni domyślił się, że jedzie żyd jakiś śpieszący na szabas już zapadający, a przeczuciem zgadł, że to *Hirszko*. Niżeli doszedł do karczmy, w któréj mieszkał Abraham, już bryka stanęła przed nią, a mała i większa rodzina Abrahama witała krzykiem wysiadającego z niéj *Hirszka*; wyszedł i sam Abraham, a zbliżył się Ks. Daniel.

Po serdeczném między żydami *sałamechem*, Abraham zaszwargotał coś po swojemu; *Hirszko* kiwnął głową; Abraham pogładził brodę, i toż samo kiwnię-

cie, poważniéj tylko i z wesołém wejrzeniem oddał Ks. Danielowi.

Giéj a wek!—krzyknął on potém na tłuszczę dziatwy ich otaczającą, i rozpierzchnęli się wszyscy. *Hirszko* wyjął z wozu worek skórzany, w jakim zwykle żydzi chowają starannie w podróży swe modlitewne szaty i poszedł za Abrahamem, który także i na Ks. Daniela skinął. Serce mu biło gwałtownie, gdy wszedł do osobnéj i czystéj izby, zachowywanéj przez Abrahama na konferencye handlowe, i talmudowe, w dniach uroczystych rozmyślania.

— Cóż, mój kochany *Hirszku?* cóż?— zapytał on niecierpliwie—czy żywa? czy zdrowa?

—Nu, a czemu nie ma być żywa i zdrowa? — odpowiedział zimno i spokojnie żydek, odwiązując swój worek, z którego

dostawszy list: — Nu, to od niéj — i podał Ks. Danielowi.

Ten aż ścisnął z radości *Hirszka*, a ujrzawszy na adresie, że list był do starościny, schował go za nadrę.

— *Aj wej mir*, jaki strach? ja u nich cały tydzień gościł.

— Gdzież oni?

Tu trzykrotne uderzenie młotkiem w okiennice: — *Giéj a szule!* — wrzasnął szkolnik.

— Z przeproszeniem godności pańskiéj, Mości księże dobrodzieju — rzekł Abraham — trzeba nam iść do szkoły; jutro wieczorem po szabasie, Jegomość dobrodziéj pofatyguj się niby jak zawsze spacerem do nas, to *Hirszko* wszystko rozpowie; a nagle obracając się do wiernika, zapytał:

— *Herst* du, a konie i furman zkąd?

— Z Mińska — Rebe Abraham — a do

Mińska nająłem ze Świsłoczy, a do Świsłoczy...

— *Ganc gut, rebe Hirszko, ganc gut!* i śladu nie ma.

— Ks. Daniel pośpieszył do dworu, i jeszcze tegoż samego wieczora znalazł chwilę, w któréj zostawszy sam na sam ze starościną, dał jéj list od Maryi. Nie będziemy opisywali stanu jéj, gdy go drżącą ręką otwierała, gdy czytając najtkliwsze wyrazy miłości, najrzewniejsze żądanie miłosierdzia i przebaczenia, najgłębszy żal i pokorę, obfitemi go skrapiała łzami... gdy niezdolna w tym momencie do długiéj modlitwy, wymawiała z najczulszém westchnieniem, przyciskając list do piersi: Boże! dzięki tobie! ona żyje! ona nas kocha jeszcze! Boże dzięki tobie!... I pierwszy raz Ks. Daniel ujrzał na jéj twarzy, dobrotliwy, że tak powiem, uśmiech, jaki się pokazuje na udręczonych

obliczach, gdy wśród nieprzerwanych czarnych godzin życia, pierwsza nadzieja promieniem błyśnie... Znika on wnet, bo odwykł od lic na których dawno gościł; tonie w niepewności i trwodze, nim coraz częściéj zsyłając go z nieba Bóg, jasnością szczęścia nie obleje rozpogodzonego czoła.

W przypisku Marya oznajmiła, że mieszka w domu krewnego jéj męża, że jéj na niczém nie zbywa, a nakoniec polecała się modłom i pamięci swego duchownego ojca, Ks. Daniela. On wzruszony i niespokojny, aby się przed czasem nie wydała tajemna matki z córką komunikacya, błagał starościnę, aby panowała nad sobą, i odkrywszy jéj natenczas, że pociechę tę winna była życzliwości Abrahama, a przyrzekając na jutro przynieść jéj dalsze szczegóły, których, jak to widzieliśmy, i sam się jeszcze nie dowiedział,

zostawił ją spokojniejszą, i żegnającą w tę stronę, gdzie była jéj córka.

Sklep Zaklęty.

Nazajutrz K. Daniel czekał gwiazdy na niebie, i gdy pierwsza migotać zaczęła, udał się znowu do miasteczka. W połowie lipowéj ulicy spotkał on Taturę, wracającego właśnie z miasteczka.

—Kłaniam uniżenie—rzekli sobie wzajemnie. — A Jegomość dobrodziéj — mówił Tatura — codzień jak uważam z paciórkami spacerujesz sobie wieczorem, po téj ulicy.

—A tak, kochany panie marszałku, tak; ale zkądże to waćpan wracasz?

—Z miasteczka Mości dobrodzieju; rozkazałem tam jednemu tatarowi gotować się do drogi, bo pan starosta ma go wysłać na Białoruś, z listami do swego tam

krewnego, podczaszego Sołohuba, który tu, jak zapewne pamiętasz Jegomość dobrodziéj, przed dwoma laty był w gościnie.

Ks. Daniel zastanowił się. — A kiedyż to wyślecie tego tatara?— zapytał.

—Nie wiem dnia— odpowiedział Tatura—zalecił tylko starosta, aby był gotów.

— Dobranoc, panie marszałku.

— Dobranoc Jegomości dobrodziejowi. — Rozeszli się.

Marszałek szybkim krokiem poszedł do dworu, a Ks. Daniel przeciwnie zwolnił kroku, bo projekt ten starosty utkwił mu w głowie i dał powód do rozmyślań głębokich.

Ten pan podczaszy — rozpamiętywał on zatém idąc powoli, prawda, był tu przed dwoma laty, i miał z sobą synka; piękny chłopczyk, mógł miéć wtedy lat ze dwanaście; starosta podobał go sobie,

i pamiętam że mi raz powiedział: »Ot księże Danielu, gdyby ten chłopak był o lat dziesięć starszym, dałbyś mu ślub z naszą Maryą.« — Ha! cóż on teraz zamyśla? po co posyła do podczaszego?... łatwo zgadnąć; nieszczęśliwy! sam siebie dręczy, i sam siebie łudzi... chce przybraném dzieckiem rodzone zastąpić — biedny! biedny!... wieleż to boleści szarpie mu duszę!... Niewdzięczność dziecka, wyznał mi to; sroga! sroga to boleść!... pojmuję to, pojmuję! chce mścić się nad tém co kocha... jak wydrzéć serce z łona i wstawić tam drugie? Boże! zlituj się nad nim!!!

Właśnie przy tém wezwaniu Ks. Daniel ujrzał się przed kościołem, który miał pomijać, zastanowił się więc — otworzył furtę u bramy, i upadł na kolana na głazach, przed drzwiami świątyni.

Widziałbyś natenczas, przy jasném świetle księżyca, niewzruszoną tę postać,

jakby pomnik kamienny tych, którzy u progu kościoła pod temi płytami spoczywali. Modlił się on głęboko, modlił się więcéj duchem niż słowami, i gdy na końcu bijąc się w piersi: »*Boże bądź miłościw nam grzesznym!*« trzykrotnie z jękiem i łkaniem powtarzał;— słysząc, pomyślałbyś, czy zrozumiał, że ręką tą kapłańską *wiara — nadzieja*— i *miłość*, każda po kolei, w uniesione ku Bogu serce uderza.

Wszedłszy do izby już od wczora mu znanéj, Ks. Daniel znalazł Abrahama siedzącego nad otwartą wielką księgą; kilkanaście świeczek dogorywających w wielkim mosiężnym żyrandolu, wiszącym na środku izby, niepewnym migotało blaskiem; na stole zaś białym i cieńkim obrusem przykrytym, jaśniejsze świece

w siedmioramiennym srebrnym świeczniku gorzały; sam poważny *morejne*, w tejże saméj czarnéj atłasowéj, na srebrne haftki zapiętéj czamarze, z czapką sobolową na głowie, siedział głęboko zaczytany w księgę.

— Przepraszam — rzekł wchodzący — przerywam, panie Abrahamie, ale zdaje się, żeś już szabas skończył; nawet rozumiałem, że się spóźnię, bo się trochę pomodliłem przed kościołem.

— I u nas dziś w szkole nasz rabin wywoływał modlitwę na tę biedę naszych panów — rzekł Abraham witając księdza — a potém wszyscy szli do dziesięciora; wszak to wszystko pójdzie do tegoż samego Pana Boga, czy po hebrajsku, czy po łacinie, czy po polsku. Czy to źle, Mości księże dobrodzieju?

— Oh! nie źle, nie panie Abrahamie: kto Boga chwali i kocha a ludziom do-

brze czyni, temu i w błędach Bóg miłościwym będzie.

Żyd spójrzał na księdza, dobył tabakiery, przecierał ją, zażył potém kilka szczypt raz po razu, nakoniec kiwnął głową. Siadaj Jegomość — rzekł.

— A Hirszko gdzie? — zapytał siadając Ks. Daniel.

— Hirszko odpoczywa po drodze — odpowiedział Abraham — ale on mnie wszystko pogadał, a ja Jegomości przepowiem.

Dowiedział się więc ksiądz Daniel, że zbiegli zajechali aż w Sandomiérskie, do familii Wołkanowskiego; że tam znaleźli kilka domów pokrewnych jemu, i że mieszkają teraz u jednego z nich w *Wielkich Wołkanach*, obywatela dostatniego i bezdzietnego, także Wołkanowskiego; że im na niczém nie zbywa, co już i z listu Maryi wiadomém było: owszem, że ją bardzo szanują wszyscy i pociesza-

ją; że niewymownie uszczęśliwioną była, gdy ujrzała i poznała Hirszkę, którego od dnia do dnia przez cały tydzień zatrzymywali, a gospodarz domu wypytywał się go sam na sam o wszystkiém, i potém tém bardziéj Maryę jako córkę znakomitego rodu czcić zaczął; że Piotr ani na chwilę od żony nie odstępuje, że nakoniec oboje najusilniéj prosili Herszka, aby do nich znowu przyjechał, i odpowiedź od matki im przywiózł; że mu dawali pieniądze na podróż, i za teraźniejszą nagrodzić chcieli, lecz dowiedziawszy się, że go Abraham własnym domysłem i własnym kosztem wyprawił, Marya kazała Hirszce aby mu powiedział, że mu tego dobra, które jéj wyświadczył, nigdy nie zapomni; i nakoniec prosili go, aby błagał od nich litości i pomocy Ks. Daniela, któremu los swój i nadzieje poruczali.

Wysłuchawszy pilnie tego opowiadania, Ks. Daniel powiedział, że i starościna poleciła mu toż samo powiedzieć, że nigdy jego postępku życzliwości nie zapomni.

—A widzi Jegomość dobrodziéj, z przeproszeniem godności pańskiéj—rzekł natenczas żyd, gładząc brodę— że choć żyję w błędzie...

— Rozumiem— przerwał Ks. Daniel— rozumiem i przepraszam cię pokornie, poczciwy panie Abrahamie—a to mówiąc uściskał mu rękę tak szczerze, że żyd zapomniał gniewu i rzekł:— Oh! Jegomość dobrodziéj prawdziwy ksiądz, bo i mądry i pokorny; a co mówi Salomon: »Lepsza jest mądrość, niżeli moc, a pokora nachyli ku sobie serce królewskie.« U nas takich rabinów mało, bo kiedy który nauczny, to jemu krukiem nosa nie dostać.

—Ale cóż będzie, panie Abrahamie, czy Hirszko pojedzie znowu?

—A pojedzie, i dziesięć razy pojedzie, byle list od pani starościny.

—Ufam w Bogu, że go otrzymam— rzekł ksiądz— kosztu wszelako na to nowego nie podejmiesz, panie Abrahamie; zaradzimy temu.

—A co Jegomości do tego? Czy Abraham Ilski prosił kiedy Jegomości dobrodzieja pieniędzy? przepraszam godność pańską.

—Nie, ależ koszta na tak długą podróż nie małe być muszą, i fatyga twego wiernika nie może być bez wynagrodzenia, a starościna nie zgodzi się abyś tak dla nich expensował się.

—Aj! aj!—odpowiedział Abraham trzęsąc głową—i pójdzie ona prosić pieniędzy u męża na drogę dla Hirszka, wiernika Abrahama, jadącego do jego córki.

Oj! oj! a Sołohub dowiedziawszy się o wszystkiém, i Abrahama i Herszka i cały kahał Ilski przepędzi gdzie pieprz rośnie. Czy ja go nie znam? kiedy on w gniewie, to Mości księże dobrodzieju, gorszy od Hamana.

— Starościna ma swoje własne dochody i żadnego rachunku z pieniędzy swoich mężowi nie zdaje— rzekł ksiądz Daniel.— Ja jestem jéj podskarbim, panie Abrahamie, bo większa część tych dochodów przez moje ręce biednym się rozdziela; więc nie potrzebuje prosić męża o pieniądze. Wszakże i Illia jest jéj dziedzictwem, wiesz o tém zapewne, boś tu jeszcze pod Radziwiłłami mieszkał.

—No to i owszem, Mości księże dobrodzieju; to ja będę miał z kim się rachować, a kiedy nie ja z panią, to moje dzieci z jéj córką— mówił uśmiechając się.

Ks. Daniel pokręcił głową, bo mu przy-

szły na myśl projekta starosty, które zgadywał, wydziedziczenia córki.— Ha, panie Abrahamie—rzekł więc—nie tak bardzo ufaj temu... bo co mają rodzice, mogą nie miéć dzieci, zwłaszcza gdy przeciw woli ich postępują: mogą natenczas rodzice wydziedziczyć niewdzięczne swe potomstwo.

—Jak to wydziedziczyć? przepraszam godność pańską, ale ja tego nie rozumiem.

— To jest, panie Abrahamie, fortunę swoją oddać czy zapisać komu innemu, naprzykład krewnym, a nie dzieciom własnym i przyznam się waćpanu, że się boję bardzo, czy to i staroście po głowie nie chodzi.

—A czy to u panów w religii można?—zapytał Abraham.

— Daleko by to panie Abramie tłómaczyć ci, jak? kiedy? i za co? tak się zda-

rza u nas czasami, kiedy niebłogosławieństwo Boskie padnie na dom jaki.

— Bo u nas, Mości księże dobrodzieju,nie tak; a choćby kto miał diabłów dziećmi, to po śmierci jego i oni swój spadek wziąść muszą koniecznie.

—Jak to diabłów dziećmi? chyba chcesz mówić dzieci tak złośliwych jak złe duchy; ale na co ich wspominasz, panie Abrahamie.

—Nie, nie, Mości księże dobrodzieju, to prawda co ja mówię, i tak ja mówię; są dzieci, które rodzą się diabłami, a rodzą się bez matki.

Ksiądz ściskał ramionami.

—Tak nie dawno było w Wilnie, i nasz Rabin Eliasz, a po naszemu Ella, który chwała Bogu żyje i teraz, sam odsądzał co im po ojcu należało. Jegomość dobrodziéj wiesz zapewne, bo wszyscy wiedzą,

że takiego drugiego rabina na całym świecie nie ma... to prorok (1)!

—O tym waszym mądrym i, jak powiadają, bardzo poczciwym rabinie słyszałem; ale prawisz mi panie Abrahamie baśnie i dziwię się, że sam będąc człowiekiem rozsądnym im wierzysz.

—Przepraszam mądrość pańską, ale to nie baśnie, ani bałamuctwo, nie; ja opowiem Jegomości dobrodziejowi wszystko jak było.

—Trzeba Jegomości wiedzieć—opowiadał zatém Abraham—że u nas tak stoi w piśmie, że kiedy który żyd popeł-

---

(1) W rzeczy saméj, sławny to był w owym czasie Rabin Wileński; dziś on jeszcze jest pamiętny u żydów i portret jego nie u jednego znaleźć można obok Patryarchów na

ni grzechy wielkie, takie, za które Bóg na Sodomę i Gomorę siarczysty ogień dopuścił, to z każdego grzechu staje się diabeł, który jest rodzoniuteńkim synem tego żyda.

Ks. Daniel pokręcił głową, poczuł bowiem, że morał téj idei, czy to wyrażający figurycznie, że z ciężkiego grzechu nowy zwykle grzech się rodzi, czyli dla grozy i odrazy od występków, chociaż zabobonnéj treści, zawsze jednak pożytecznie był pomyślany. Abraham tymczasem przecierał swoją tabakierę i poważnie z niéj zażywał, do czego zwykle się uciekał, gdy cokolwiek z namysłem miał mówić.

ścianie umieszczony. Mniemanie jest między nimi, że Eliasz zostawił wiele pism proroczych, w których przepowiedział wszelkie wypadki ziemskie dni naszych i dalsze dalekie, ale ogłaszać tego nie dozwolił do pewnego zakreślonego czasu, który naturalnie jeszcze nie doszedł. Stanisław

— Lat z dziesiątek temu, Mości księże dobrodzieju — kontynuował więc — umarł w Wilnie żyd *Mendel*, tak sobie po średniemu, ni to bardzo bogaty, ni to ubogi; miał jednak swoją własną kamienicę na Końskim targu, a pod nią było kilka pięknych sklepów, więc tam kupcy składali różne swoje towary, i to był największy jego dochód, z którego on żył pod starość; bo miał trzech synów, a jak wszyscy pożenili się, to zajęli wszystkie stancye, tak, że i ojcu było ciasno.

Po śmierci Mendela, synowie jego podzielili się kamienicą; starszy wziął sklepy i ojcowską stancyę, drugi pierwsze piętro, a trzeci drugie piętro.

August, w podróży swéj do Petersburga, przejeżdżając przez Wilno, chciał widzieć Eliasza i rabin ten mu się przedstawił. Historya tu opisująca się, jemu rzeczywiście przez żydów jest przyznawaną.

— No to i dobrze — rzekł Ks. Daniel.

— Oh! i jak dobrze, gdyby tak i zostało się, ale jak tylko każdy wstąpił już do swojego, tak pierwszéj zaraz nocy w sklepach zaczął się taki harmider, taki hałas, taki stuk, że poprzelękali się wszyscy. Zapalili więc świece i poszli patrzéć co tam jest. Nie znaleźli nikogo, ale wszystkie towary, wszystkie beczki, skrzynie i paki, powywracane i porozbijane, jak po jakim rabunku; opatrywali oni wszędzie, czy nie było jakiego lochu, kędyby ktokolwiek włazić mógł, a nie znalazłszy żadnego śladu i nie wiedząc co to znaczy, poprzybierali i poskładali towary jak mogli, i postanowili milczéć czekając co daléj będzie. Starszy tylko narzekał, że jak kupcy przyjdą po towary i znajdą popsute, opuszczą jego sklep i dochód zginie.

Rozumieli Mendelowicze, że to na jednéj nocy skończy się, aż tu jako żywo.

Gwałt! drugiéj jeszcze gorzéj: biją jak w tarabany, śpiewają, grają na cymbałach, wyją jak wilki.— Gwałt! powiadam Jegomości dobrodziejowi.

Poznali żydki, że to nie żarty; nie poszli już drugi raz do sklepów, dosiedzieli w strachu do dnia i pod dzień wszystko ucichło, a było to zimą, noc długa. Nazajutrz wszyscy z kamienic drugich, obok i naprzeciw stojących, pytali się co tam u nich w nocy było? czy Hamana pędzali przed czasem? albo czy nie powaryowali z wielkiego żalu po ojcu? Mendelowicze nic na to nie mówiąc, pobiegli pędem do rabina Elli i wszystko mu rozpowiedzieli, prosząc o radę i pomoc.

Wysłuchał wszystkiego od początku do końca, Rabbi Elliasz, jak państwo nazywacie. Zamyślił się potém bardzo i odpowiedział nakoniec, że sam przyjdzie nanoc do ich kamienicy; ale zakazał aby ni-

komu o tém nie mówili. Pod wieczór zatém wyjął on z szafki na zamek zawsze zamkniętéj księgę... ale ach! z przeproszeniem mądrości pańskiéj; jakże ja to mam powiedzieć Jegomości... księga ta...

—Pewnie Kabała— przerwał ksiądz.

—Gwałt! zkąd to Jegomość wiész? zawołał zdziwiony i jakby przelękniony żyd.

—Ja, mój panie Abrahamie, uczyłem się niegdyś po hebrajsku, a zatém znam się potrosze z waszemi książkami; ot naprzykład ta, którą czytasz, rzekł odwracając i przypatrując się pierwszéj karcie, jest *Miszna*, główna część waszego talmudu; i wielu duchownych naszych zna wasz język rodowity (1).

Abraham patrzał przenikliwie na księdza Daniela, a potém niedbale i obojęę-

(1) W owych czasach tak bywało.

tnie niby— A na cóż to potrzebne?— zapytał.

— Jak to na co potrzebne?—odpowiedział ksiądz— czyż my, zwłaszcza księża, nie powiniśmy znać najgruntowniéj pismo, tak dla nas jako i dla starozakonnych święte, Biblię, i dla tego uczymy się niektórzy po hebrajsku, bo chcemy czytać ją nie w tłómaczeniach, ale w języku w którym była pisaną.

— To i Kabałę Jegomość rozumiesz?

— Kabała to nie Biblia, mój panie Abrahamie, więc czytać jéj nie mamy potrzeby; ale wiemy przecież, że w nią wierzycie.

Abraham pogładził brodę i uspokoił się, jakby stróż skarbu, gdy się przekona, że mu go nie wykradziono.

— No — mówił on daléj —nie wiadomo zresztą jaką on tam księgę wziął, ale zabrał razem i swoje szkolne szabasowe ubranie. Jegomość wiesz, *Tfilim* i dziesię-

cioro; kazał także jeszcze dwóm, choć nie tak mądrym jak on sam, ale taki bardzo naucznym rabinom iść z sobą, i wieczorem, cicho, gdyby nikt nie widział, poszedł do téj zaklętéj kamienicy.

Jak tylko tam wszedł, kazał bramy zamknąć. Mendelowicze, z przeproszeniem godności pańskiéj, stali przed nim jak przed monarchą. On siadł za stołem sam jeden, w téj stancyi, w któréj były drzwi do sklepów, i zégarek na stole położył; w drugiéj izbie zasiedli rabini, którzy z nim przyszli, a reszta wszystkim kazał na drugie piętro ustąpić i cicho tam sie dziéć; a potém zaczął czytać swoją księgę.

Pod północ, znowu diabli zaczęli swój sejmik. Przepraszam Jegomości, bo i szlachta na sejmikach krzyczą i hałasują jak diabli; więc i oni hałasowali, bębnili, ale słychać było jak po razy kilka wywoły-

wali: Rabbi Ella! Rabbi Ella! Już oni poczuli, że tu jest na nich bicz!

Ella na to nie uważając, czytał bez ustanku i na zegarek poglądał; a jak sama dwunasta doszła, wstał, ubrał się jak na nabożeństwo— zawołał rabinów, im także ubrać się kazał, a stać w milczeniu, sam zaś otworzył sklep... Rabinom włosy na głowach powstały... a on z księgą swoją w jednym ręku a ze świecą w drugiém, powoli po schodach do sklepów spuszczać się zaczął.

Gdy tam wszedł, z początku stanęło cicho, potém krzyk: Rabbi Ella! Rabbi Ella! jakby go witali; potém znowu cicho i cicho... tylko kiedy niekiedy Ella wymawiał jakieś słowa, których ani dosłyszéć dobrze, ani zrozumiéć i domyśléć się nie mogli rabini; a po tych słowach szum tylko wielki chodził po sklepie, i znowu potem cicho... aż nakoniec i sam patryar-

cha pokazał się na schodach z księgą i świecą; ale tak on był blady i słaby, że rabini podchwycili go pod ręce, wprowadzili do izby i posadzili w krześle, a sklep zamnęli.

Odpocząwszy trochę, posłał on po Mendelowiczów i rzekł im gdy przyszli: — »Słuchajcie. — Nakładam cheyrym! abyście pierwszéj nocy po dniu *Jom Kipur* (1) o saméj 12-téj godzinie, stanęli u mnie, Rabina Elli, na sąd z tymi, którzy tam są w sklepach. Dam im także cheyrym, i oni stanąć muszą, a do tego terminu — wam, cheyrym na języki, im na swawole w sklepach.«

To powiedziawszy, wyszedł z rabinami. Wszystko potém stało się spokojnie; żydki nazajutrz weszli do sklepów i znaleźli towary na miejscu polokowane tak regularnie, jakby nikt ich nie ruszył.

(1) *Jom Kipur*, 10 września — dzień oczyszczenia z grzechów.

— Nu, w kilka miesięcy przyszedł Mości dobrodzieju Jom Kipur — przyszła noc — żydkom cheyrym na głowie. — Stawaj do sądu! nie ma żartów; strach czy nie strach, a iść trzeba. Poszli więc i stanęli u patryarchy przed samą północą.

Siedział on znowu za stołem nad księgą, przybrany w swój Tfylim i z dziesięciorem na czole; przy nim siedzieli obadwa ciż sami rabini, bo zwyczajnie na sąd duchowny trzeba trzech mężów. Izba w któréj na ten sanchedryn zasiedli oni, była po połowie od dołu do góry suknem czarném zawieszona, na stole paliła się jedna tylko świeca woskowa i leżał zegarek; jak stanął na dwunastéj, Ella wstał i zawołał głosem wielkim:

— Wy, złe duchowie, na których cheyrym nałożyłem, czy jesteście?

— Jesteśmy odezwało się kilka głosów za suknem.

— Bo tam ktoś siedział— przerwał ks. Daniel.

— Przepraszam godność Pańską, czemu Jegomość do końca nie słuchasz? więc znowu zawołał Ella:

— Wy, synowie Mendela Izraelowicza, na których cheyrym nałożyłem, czy jesteście?

Żydki trzęsąc się ze strachu, ledwo wymówić mogli—jesteśmy.

Rabin znowu:— Wy, złe duchowie mówcie teraz, jakiém prawem zajmowaliście sklepy w kamienicy Mendelowiczów?

— Bo my dzieci Mendela pierworodne, z jego grzechów zrodzone—odpowiedzieli oni—mamy prawo do jego dziedzictwa; odsądź więc nam Rabbi Ella spadek po ojcu naszym.

—Wy nie z tego świata—rzekł Eliasz— więc na tym świecie nie możecie mieć dziedzictwa; a ja was zaklnę tak, że już

Mendelowiczom uprzykrzać się nie będziecie mogli.

— Możesz tak uczynić — odpowiadali diabli— możesz tak uczynić, boś ty Prorok! boś ty pan! bo ty wiesz słowo Salomona! Ale za to my będziemy dręczyć naszego ojca w piekle, że nam, dzieciom swoim, nie zostawił żadnego spadku.

Rabbi Ella zamyślił się... myślał, myślał i kiwał głową... Mężowie siedzący obok niego milczeli, milczeli... i czekali, czekali, co on powie...

Namyślił się on nareszcie i rzekł:

— »Duchowie piekielni! czyniąc folgę duszy Mendela, odsądzam wam drugie piętro jego kamienicy.«

— Oj waj! krzyknęli diabli — Rabbi Ella, nie może być tak: wiemy co namyśliłeś, wiemy! Chcesz nam oddać drugie piętro kamienicy, a jutro to piętro zbić każesz i nas na kominach osa-

dzisz. Nie, nie Rabbi Ella, sądź sprawiedliwiéj!

Eliasz pokręcił głową, pomyślił znowu i rzekł: »Duchowie nieczyści, odsądzam wam jeden sklep pod kamienicą: siedźcież tam cicho w lochu i ciemności!«

— Zgoda!—krzyknęli za suknem—zgoda! oddaj nam więc ten sklep, Rabbi Ella, oddaj!

— Oddam, oddam jutro o téj saméj godzinie— rzekł Eliasz— a kamieniem i słowem mojém, wy wiecie jakiém, zamuruję go. Teraz precz ztąd! Cheyrym na was! i potrójny chejrym! — Zaszumiało tylko za suknem. Eliasz wstał, zrzucił tę zasłonę i nikogo tam nie było. Kazał potém Mendelowiczom, aby oni sami, nie biorąc żadnego człowieka cudzego do pomocy, w cichości nanosili do sklepów kamieni, ile potrzeba było na zawalenie

jednych drzwi. Ucałowawszy oni połę jego *Tfilimu*, odeszli.

Wieczorem przyszedł znowu do nich Eliasz. Przepraszam godność Jegomości, ale jak on fatygował się, och! taki wielki, taki nauczny, taki poważny patryarcha! Przyniósł z sobą, na wielkim pargaminie dekret sądu duchownego, przez siebie po hebrajsku napisany i podpisany, a przy nim podpisali się i dwaj rabini, którzy tę sprawę odbywali, i teraz razem przyszli do Mendelowiczów, którzy wydarli bruk w jednym sklepie własnemi rękami, więc nikt o ich pracy nie wiedział, a kamieni było aż nadto. Ella tak samo jak i pierwéj ubrany wszedł do sklepów, ale teraz i rabini i Mendelowicze za nim weszli. Tam w trzecim, ostatnim lochu, który złym duchom odsądzał, przeczytał głośno dekret; kazał potém wnieść płaski kamień, położył pargamin na tym kamieniu i szep-

cząc jakieś słowa, drugim kamieniem nacisnął — nakoniec wyszedł, a kazał Mendelowiczom, aby drzwi do tego sklepu wnet zawalili. Diabli odtąd ani się odezwali i cicho tam siedzą na wieki. Mendelowicze sklep ten zamknięty na głucho, potém cegłami zamurowali, a drugie dwa i teraz kupcom na towary najmują (1).

Ksiądz Daniel niedowiarliwie pokręcił głową.

— Jegomość dobrodziéj nie wierzysz? mówił Abraham, cóż robić? ale jak kiedykolwiek w Wilnie będziesz Jegomość, popytaj się swego faktora, gdzie ta kamienica w któréj siedzą diabli zaklęci w sklepie? to pewnie zaprowadzi Jegomości i pokaże; bo wszyscy o tém wiedzą.

---

(1) Obrząd ten sądu i zaklęcia sklepu przez sławnego Rabina Eliasza, nie jest wcale wymysłem autora; wiele takich cudownych czynów jego opowiadają żydzi litewscy, a między temi i opisany.

— A jakże się wszyscy o tém dowiedzieli, kiedy Eliasz takie ciężkie cheyrymy nakładł na języki?

— Oho! przepraszam godność pańską, ale w naszém piśmie stoi, że »Ziemia niebu przysięgała, aby żadnéj tajemnicy nie było nigdy« (1) to nigdy i nie ma i nie będzie; wszystko na wierzch wychodzi. To samo stało się i ze sprawą Mendelowiczów; oni sami i rabini, którzy byli z Ellą, zaczęli pod sekretem rozgadywać takie cuda jego! Wszyscy dziwując się, rozpowiadali jedni drugim i tak powoli całe miasto o wszystkiém się dowiedziało.

— Wszystko to być mogło, panie Abrahamie rzekł po niejakiéj zwłoce ksiądz

---

(1) Zdanie z Talmudu obrócone w przysłowie między żydami.

Daniel — ale wróćmy do naszéj sprawy. To więc staje na tém, że wyprawimy Hirszka z listem starościnéj do córki?

Abraham uchylił głowę na znak zgody.

— Co potém nastąpi — mówił daléj ksiądz — Bogu wiedzieć; ja zaś nie omieszkam, panie Abrahamie, radzić się zawsze waćpana, jako tak poczciwego i przywiązanego przyjaciela panów twoich, a rozumnego człowieka.

— U nas powiadają, Mości księże dodrodziejú — mówił żyd gładząc brodę — że *rozum i szmalec do wszystkiego uchodzi.* — Pan Abraham nie poślednie miał widać przekonanie o swym rozumie.

— A toż co Jegomość mówił, że starosta ma jakoby fortuny swoje komu innemu nie córce swojéj odpisać? — zapytał on, jakby nastręczając się ze swą radą.

— Ja się tego domyślam tylko, odrzekł ksiądz, a mam w Bogu nadzieję, że do

tego nie przyjdzie, i że mi natchnie sposób zapobieżenia temu; a teraz powiem znowu starościnéj o życzliwości twojéj, panie Abrahamie.

— Nu, ach! na sto lat życia jéj, niech zdrowa będzie, a stary Abraham doczeka jeszcze, że matka i z córką przyjdą do niego na wielkanocną macę i pocieszym się razem wszyscy.

Nazajutrz rano po mszy, gdy starosta oddalił się do swego pokoju, Ks. Daniel przyszedłszy do starościnéj powiedział jéj wszystko, co od Abrahama usłyszał; a nadto że *Hirszko* gotów jest znowu jechać do Maryi i zawieźć jéj odpowiedź matki.

Starościna zdumiała się — jakto Ks. Danielu? odpowiedź moją? ach mój Boże! cóż ja do niéj napiszę?

— Napiszesz błogosławieństwo twoje, bez którego tak jéj żyć trudno, jak tobie bez niéj.

Przywykła do płaczu zrenica starościnéj, znowu łzą zaszła: wyjęła ona ze stolika, za którym siedziała, list Maryi, czytając go rozrzewniła się jeszcze głębiéj i rzekła— a gdybym ja Ks. Danielu poniosła ten list mężowi memu?

Ks. Daniel pomyśliwszy nieco — nie, rzekł, nie jeszcze—gorącego żelaza oliwą nie ostudzić; zawre tylko goręcéj lub płomieniem buchnie. Serce męża twego jest w walce jeszcze! to się on do Boga garnie, to ku tobie czule się skłania; szuka ono ratunku i uspokojenia, które tobie, utrapiona matko, Bóg już zlewa w miłości twéj macierzyńskiéj; ale w nim przemagają jeszcze ludzkie pochopy gniewu, żalu, dumy. Patrzę ja nań codzień uważnie, śledzę go i przenikam — list ten za-

krwawiłby go tylko, i kto wié na jakie projekta naprowadził: czekajmy jeszcze i módlmy się zań do Boga w którego ręku są serca ludzkie. Teraz idzie tylko o to, aby dziecie twe w rozpaczy nie upadło pod ciężarem zgryzot i tęsknoty; aby wiedziało przynajmniéj że żyjesz i je kochasz.

—Ach, mój ojcze! rzekła starościna, moje *życie* i moja *miłość* dla niéj to wszystko jedno—(1) broń boże co na nią!... cona nią!!

Ach serce matki! serce matki!... Dziewico młoda! jeżeli to czytać będziesz, rzuć się na łono twojéj... w tém łonie bije także serce, dla którego *życie* i *miłość* dla ciebie, to wszystko jedno... Uścisk ten będzie zakładem, że serca tego nigdy goryczą nie napełnisz, i wzajemnie

---

(1) Nieszczęśliwy! czyliż to pisałem z przeczucia!!!

że w niém zawsze znajdziesz szczęście i osłodę twojego życia; tkliwa zaś łza wasza będzie najmilszą nagrodą pobudzającego was autora. Wzięła więc pióro starościna i drżącą ręką napisała »błogosła»wię cię Maryo moja! kocham cię — aby »Bóg dozwolił mi widzieć cię!« daléj pisać nie mogła. — Widząc stan jéj Ks. Daniel, — dość, rzekł, dość na ten raz, ja resztę dokończę; i wziąwszy list wyszedł dozwalając starościnéj odpoczynku i uspokojenia.

Dokończył on obszerniéj listu tego. Napisał wszystko, co bogobojny kapłan, i jakby ojciec kochający dziécie swe napisać mógł; nie zapomniał i o mężu Maryi, któremu niewczesnych już wymówek nie czynił, a tylko w miłości ku żonie, w obowiązkach tak wielkich względem jéj zaciągniętych, i w cierpliwości utwierdzał; i wyprawił *Hirszka* dając mu mimo oporu Abrahama, sowite na koszta podróży pie-

niądze, a osobno za wolą starościnéj, trzysta dukatów dla oddania Maryi od matki.

Tak zjednawszy i matce i córce niejakie uspokojenie i pociechę, Ks. Daniel tém pilniéj uważał na ojca. Starosta często drzwi swego gabinetu przymykał i zasiadał do pisania; ale niedostępny natenczas nikomu z dworzan, nie mógł zaprzeczyć wejścia kapelanowi i spowiednikowi swemu; a ten właśnie przerywał mu to zatrudnienie. Zaambarassowany natenczas starosta, podsuwał wnet zapisany swój papier pod inne na stoliku leżące, i obojętną rozpoczynał konwersacyę. Czas się jednak ściągał, tatar był zawsze gotowy do drogi, ale nie wyjeżdżał. Widocznie na tak stanowczy krok starosta odważyć się nie mógł: powierzyć

go nawet żonie lub księdzu nie śmiał, chociaż dla nich żadnéj dotąd nie miał tajemnicy! bo czuł, że żonę jedynym swym wyrazem zgnębi do ostatka, i że się ona nigdy na jego projekta nie zgodzi; a ksiądz, że je zgromi i potępi.

Tak nadszedł adwent: czas to szczególniejszego nabożeństwa w chrześcijaństwie; dwór cały wybierał się do spowiedzi. Ks. Daniel codzień przy wieczornych w kaplicy pacierzach, na które wszyscy dworscy zwyczajnie się zgromadzali, przygotowywał ich nauką i modlitwą do tego Ś-go Sakramentu! Lecz raz upatrzywszy chwilę, gdy oboje starościństwo obecnemi byli, a starosta pilniéj zważać zdawał się na słowa jego. »Przystępujcie zatém, rzekł, »do świętych tajemnic, za przykładem po»bożnych panów waszych, którzy tę chrze»ścijańską powinność spełnią bez zwłóki.«

Nic w tych słowach nie było nadzwy-

czajnego, a jednak powiedział je Ks. Daniel z namysłu; bo obowiązywał niemi starostę do dania przykładu sługom, a sług upoważniał do oczekiwania przykładu od pana; a zatém zmuszał niejako starostę do spowiedzi. Była to prawdziwa Jezuicka sztuka, ale w dobrym celu użyta. Czyli ją starosta zrozumiał, albo nie? nie wiemy, lecz w następną niedzielę oboje poszli do spowiedzi, jak zwykli do Ks. Daniela— po któréj— starosta nie zamykał się już i nie pisał skrycie, tatar został na miejscu— a ksiądz Daniel dziękował Bogu, że go natchnął myślą nastręczenia sposobności, w któréj o *gniewie* i *pysze*, jako o najszkaradniejszych grzechach śmiertelnych, mógł udręczonemu niemi człowiekowi, dać zbawienną i skuteczną naukę.

Nowy gość.

Zima nadeszła, święta Bożego Narodzenia, tak niegdyś wesołe i huczne w Illii, przeszły tak cicho i ponuro, jakby dom był żałobą pokryty. Hirszko wrócił, przywiózł znowu listy pocieszające starościnę, w których Marya uszczęśliwiona kilką słowami matki, nadzieję swą zostania także matką objawiła, uspakajając razem, że w takiéj chorobie, na żadnych około jéj staraniach nie zbędzie, owszem że na troskliwości męża i otaczających ją, zupełnie polegać może: lecz jednak niepewna w takim razie życia, najczulszém zaklęciem żebrała u obojga rodziców przebaczenia i miłosierdzia, jakby w ostatniéj życia swego godzinie.

Tymczasem po powrócie Hirszka, Abraham wyprawił się z nim razem w lasy

Borysowskie, które także wyrabiał, dla obejrzenia roboty i przygotowania spławu: a w kilka potém tygodni, na dziedziniec Ilskiego dworu wjechał jednym konikiem na prostym wózku szlachcic jakiś, i wysiadł do oficyny; tam nie długo bawiąc i zostawiwszy swą szubę wilczą, szedł do pałacu.

Służba przyuczona nie przypuszczać do starosty każdego komuby się tylko wejść podobało, owszem szarym zwłaszcza braciom szlachtom czynić wstręt, a z interessami, któremi się teraz najmniéj nie trudnił starosta do administracyi odprawiać; i tego przybysza równiéj zbyć chciała. Ale on nie ustąpił, i koniecznie z samym panem widzieć się żądał; wpuszczono zatém upartego.

Starosta był w swym gabinecie z Ks. Danielem, gdy wszedł i stanął przed nim starzec, siwy jak gołąb', i schludnie choć

ubogo odziany. Miał wszakże szablę u boku, znak nieomylny jego szlachectwa: strudzony snać był długą zimową podróżą, lecz nie złamany; oparł się bowiem jedną ręką na paręczu krzesła, lecz pod brwią białą stało oko żywe i światłe.

Ktoś waszmość? zapytał *Sołohub.*

—Pan starosta mnie nie poznajesz? niedziw, dawnośmy się widzieli.

Wpatrzył się Sołohub, i— *Wołkanowski!* krzyknął.

—Tak, on sam, odpowiedział starzec; a wzruszył się mocno Ks. Daniel.

Zawrzała krew w staroście—jak śmiesz ty!... ty niegodny starcze stawać przedemną? precz! z mojego domu! precz! bo cię wyrzucić każę!...

—Panie starosto, rzekł spokojnie Wołkanowski: jam szlachcic, skrzywdzić siebie nie dam, i ta ręka choć stara, obroni mię jeszcze od obelgi—ale jam ci nic

nie winien: a ty panie starosto mnie i Bogu wiele winieneś!...

—Jam jemu winien! a to rzecz dziwna! jam winien, że jego syn odebrał mi jedyne me dziécie! O przeklęta godzina w któréj go do siebie przyjąłem.

—I ja jéj nie błogosławię, panie starosto— niechby syn mój poczciwie pracował na kawałku swojéj ziemi — niechbym ja jego poczciwość, pracę i cnotę, czystém sumnieniem błogosławił; i niechbym skonał przy nim i na jego ręku!!! A teraz co? a teraz co? ot ośmdziesięcioletni starzec wlokę się na świat szukać syna mego jedynego; i kiedy go znajdę, nie błogosławić mu, ale złorzeczyć jemu! oh ciężkoż mnie! ciężko!

—Jam go osypał dobrodziejstwami memi — rzekł starosta: łzy i słowa starca pohamowały go w impecie.

—Panie starosto, odpowiedział Wołka-

nowski, któremu głębokie wzruszenie sił wymowy dodało— panie starosto! bodajbyś tych dobrodziejstw nigdy jemu nie świadczył: bodajbyś go woléj do pracy i służby szlacheckiéj nie do dworszczyzny sposobił— nie zbliżyłbyś go do twojéj córki; nie ośmieliłbyś dwoje młodzieży do przywiązania, które ich obojgu zgubiło... ale niech ci Bóg odpuści! bo i ty, panie starosto, nieszczęśliwy... ty nieszczęśliwszy odemnie, bo ty wielki pan: ty myślisz wyrzekać się swojéj córki... Starosta zdumiał się, bo nikomu téj myśli nie objawiał, zkądby Wołkanowski ją przeniknął?

Ja zaś,—mówił daléj starzec, ja zaś syna mego kocham, i nigdy się go nie wyrzekę: kocham już i twoją córkę jak własne me dziecie... i ot wywlokłem moją starą głowę do nich... pożegnałem żonę, pożegnałem starych moich sąsiadów i

przyjaciół: pożegnałem wszystkie kąty mojéj chaty...—tu mu łzy rzęsiściéj płynęły;—bo nie powrócę już do nich... nie powrócę... a mojéj chaty ubogiéj i za twe pałace, panie starosto, nie oddałbym... Tyle latek w niéj przeżyłem spokojnie, i spokojnie w niéj umrzeć chciałem... O Boże! Boże! czemuż mnie tego nie dozwoliłeś!!!

Słowa te starca, proste ale czułe i szczere, widoczne na staroście uczyniły wrażenie, i w niejakąś niespokojność go wprawiały. Chodził on wielkiemi krokami po pokoju, tarł czoło, i nakoniec—gdzież ich szukać będziesz? zapytał.

—W Sandomiérskim, u familii mojéj, która ich przyjęła, i córkę twą panie starosto weneruje.

—I my wiemy gdzie są oni—odezwał się Ks. Daniel.

Starosta obrócił się doń zdziwiony, i

miał się zapytać, zkąd ta wiadomość; ale ksiądz wyszedł nagle... a przebiegłszy kilka pokojów, wszedł do starościnéj—Pani, zawołał, Bóg zsyła chwilę przesilenia: bierz pani listy i idź do męża wnet, wnet, nie tracąc ani chwili czasu.

— Cóż to takiego? zapytała starościna; ale posłuszna machinalnie, wyjęła ze stolika listy Maryi i szła za księdzem.

Weszli—właśnie Wołkanowski domawiał — nie, panie starosto, nie! nie chce on twoich bogactw: wyrzeka się ich... daj im panie starosto błogosławieństwo rodzicielskie; bo bez tego córka twoja nieszczęśliwa... starościna rzuciła nań okiem, a starosta rzekł z przyciskiem— ojciec Piotra! Wołkanowski!

Starzec wzniosł oczy, i jakby widokiem téj szlachetnéj a wynędzniałéj twarzy natchniony, rzuca się do nóg starościnéj... a jękiem i ciężkiemi westchnie-

niami przerywanemi słowy, ledwo wymówić może.—»Pani! Jaśnie wielmożna »pani!... tak, jam ojciec Piotra... daruj »dla miłości Boga!!! przebacz dziecku twe»mu rodzonemu!... jam nieszczęśliwy... ja »stary i słaby!... ja do nich jadę... przebacz!

—Jam jéj dawno już przebaczyła— rzekła starościna—powstań staruszku.

—Jak to przebaczyłaś? zawołał starosta.

—Tak, przebaczyłam, odpowiedziała żona; przebaczyłam! mogłamże i siebie i dziecko pchnąć do grobu? czytaj jéj listy.

—Jéj listy? starosta wyciągnął rękę... lecz wnet ją umknął.

—Ja przeczytam, rzekł Ks. Daniel, biorąc je z rąk starościnéj: i nie czekając ażby się starosta opamiętał, czytał dokończenie drugiego listy *Maryi*.

»Zaklinam was o moi najdrożsi rodzice, »i u nóg waszych o życie moje błagam »was! Mam być matką: w tym trudnym

»razie mogę umrzéć. Ach! czyż mam u-
»mierać opuszczona od was! Boże! Boże!
»czemużem woléj w kolebce nie umarła...
»matko moja najmilsza! tyś mi przebaczy-
»ła — o niech ci za to Bóg nagrodzi — tyś
»mię pobłogosławiła: błagaj ojca — ojcze
»mój miły! na kolanach żebrzę twego mi-
»łosierdzia... nie odpychaj twojéj Maryi!...

»Ja was kocham,—czytał daléj Ks. Da-
»niel — ja was kocham z całéj duszy; co-
»dzień zrana o godzinie dziesiątéj, gdy wy
»mszy Ś-téj słuchacie w kaplicy, ja modlę
»się za was...

Starościna nie mogąc dotrwać, usiadła na kanapie i rzewnie płakała; płacz ten przeniosł się na źrenice Ks. Daniela, omroczył je, i czytać mu nie dozwalał: zaszedł na powieki Wołkanowskiego: jeden starosta suchém lecz osłupiałem okiem poglądał w około... nakoniec rzucił

się obok żony na kanapę, i obu rękami twarz zakrył...

»Oh! serce mi pęknie, czytał znowu »ksiądz, z miłości, tęsknoty i smutku! zli»tujcie się nademną... zlitujcie się nad nie»winném dzieckiem mojém, które w so»bie noszę... Rodzice moi! nie chcę dostatków...

Odpadły ręce od twarzy starosty... i twarz ta we łzach się okazała!!! »Tak się »widać Bogu podobało«—wyjąknął. Żona rzuciła się w jego objęcie—Wołkanowski całował mu ręce, a ksiądz Daniel jakby ogarnięty szczęściem, które w tych słowach starosty świtało, stał z podniesionemi rękami, błogosławiąc i polecając Bogu ten obraz.

Wnet wszystkie lica się rozpogodziły; starosta odjął rękę od ust Wołkanowskiego, a uścisnął go.—No starcze, rzekł, dość! tak się Bogu podobało!... Na tém powta-

rzaném słowie, skończył on wyznanie swéj wewnętrznéj przemiany, która hamowana w wyrazach, widoczną była w jego rozrzewnieniu.—Usciskał on pokilkakrotnie żonę i rękę Ks. Daniela — Panie Wołkanowski, rzekł potém spokojniéj: odpocznij sobie dni kilka u nas, a potém z moim dworskim pojedziesz wygodniéj w twą podróż. Podobno przyjdzie mi pójść za przykładem hetmana *Białego;* mogłemże przewidzieć opowiadając niegdyś tobie tę historyę, że ze mną coś podobnego się zdarzy— tak się Bogu podobało!...

Ksiądz Daniel zabrał starca do własnéj kwatery, aby mieć o nim pilne staranie; a po ich wyściu pozostałe małżeństwo, jakby odnowione i odrodzone, jakby po długiém oddaleniu znowu razem, poufnie wylewali sobie nazwajem tajnie swéj duszy. Starosta wyznawał żonie swe udrę-

czenia i walki; żona swoją miłość ku dziecku, i sposobność komunikowania się z niemi; tak wzajemnie leczyli rany swego serca.— Odczytując nakoniec ze swobodniéjszą myślą listy Maryi, — zkąd jéj, rzekł starosta, ta czułość, ta łatwość wyrażenia się, ten rozum?... Dziecko takie, lat ośmnaście zaledwo zaczętych; zawsze w domu i pod naszém okiem?

— Ty nie znasz kobiét, odpowiedziała starościna: ty nie pojmujesz jak nadzwyczajnie rychło serce ich i umysł dojrzewa i rozwija się pod wpływem miłości i niedoli; to i Maryę z dziecka zrobiło dojrzałą niewiastę.—Oh mój drogi! kogoż nieszczęście nie uczyni mędrszym i lepszym nawet; my sami mężu, my sami, czyż przez ten czas krótki naszego gorzkiego umartwienia nie przeżyliśmy długiego wieku? czyż przez te kilka miesięcy nie myśleliśmy więcéj o sobie, o Bogu, o zbawieniu

naszém, aniżeli przez całe dotychczas życie?... Więc jesteśmy lepszemi; więc Bóg udręczenia nasze nagrodzi — więc wróci nam dziecko nasze kochane; więc, mój drogi, cieszyć się będziemy i pieścić nasze wnuki... nieprawdaż mój drogi?

Pocałowanie serdeczne zakończyło ten monolog, na który odpowiadając starosta: tak, rzekł—tak; widzę po twych słowach, że nieszczęście doskonali; lepszą cię jednak uczynić nie mogło. boś ty zawsze aniołem! więc będziemy pieścić nasze wnuki... ha! jeżeli będzie syn, to się będzie nazywał *Sołohub;* choćby mi przez sejm przejść trzeba było.

Uszczęśliwiony Ks. Daniel tém co się stało, wymknął się wieczorem na saneczki. i do Abrahama który przed kilką dnia-

mi wrócił ze swéj podróży, pośpieszył. A był to znowu koniec szabasu; znalazł go więc jak przedtém w téj saméj rzęsisto oświeconéj izbie, i jak przedtém nad księgą. Kłaniam uniżenie rzekł Ks. Daniel wchodząc.

—Sługa Jegomości, odpowiedział powstając Abraham, i uprzejmie wskazując na krzesło przy stole.

—Z dobremi nowinami, panie Abrahamie umyślnie przyjechałem do waćpana, rzekł ksiądz.

—A jakie nowiny? przepraszam godność pańską.

—Starosta chwała Bogu przebaczył córce: stary Wołkanowski, ojciec Piotra, przyjechał tu gdzieś z daleka...

—Nie bardzo i z daleka, przerwał Abraham uśmiechając się, i zażywając podług zwyczaju, poważnie ze swéj srebrnéj tabakiery tabakę, a patrząc w oczy księ-

dzu — nie bardzo i z daleka, mil jakich dwadzieścia.

— A zkąd wiesz panie Abrahamie, gdzie on mieszka?

Abraham nie przestając gładzić swéj tabakiery, z jednostajnym wzrokiem i uśmiechem, bo on mieszka,— rzekł, — w lasach Borysowskich, które ja wyrabiam.

Na te słowa Ks. Daniel nagłym domysłem zgadł wyrazisty wzrok i uśmiech Abrahama,— i tam jeździłeś teraz! zawołał powstając z krzesła.

Żyd pogładził poważnie brodę, i skinął głową potwierdzając domysł księdza.

— A mnie mówiono, żeś tam pojechał dla obejrzenia swojego towaru.

— Przepraszam godność pańską, obeszłoby się tam i bezemnie; ja tam szafarzów i wierników mam.

— A więc jeździłeś umyślnie, aby się widzieć z Wołkanowskim?

—No, jedno przy drugiém, jedno przy drugiém, Mości księże dobrodzieju.

— Więc poczciwy panie Abrahamie tyś namówił staruszka, aby tu przyjechał.

—Przepraszam mądrość pańską, odpowiedział kręcąc głową Abraham— nie— a czy ja prorok, czy ja mógł zgadnąć jak tu jego przyjmą? Oh! ja jego nie namawiałem, nie: ja tylko jemu powiedziałem, gdzie jego syn, co się z nim dzieje; i co się tu dzieje—a reszta...

—A reszta—przerwał ksiądz. resztę, Bóg dokończył!

—No to i dobrze Mości księże dobrodzieju! to i dobrze, mówił Abraham podając rękę księdzu—cieszmy się i radujmy się! bo co mówi Salomon. »*Jedz miód mój sy-*»*nu; bo dobry jest: i plastr najsłodszy gardłu* »*twojemu*« (1).

---

(1) Przypowieści— Rozdział 24-

W małéj chatce, kominkiem tylko nad dach wywiedzionym, okienkami światlejszémi i schludnością wewnętrzną, różniącéj się od zwyczajnych włościańskich, na prostym tapczanie słomianą matą zasłanym, leżał człek schorzały, blady i wynędzniały. Do trupa raczéj, niż do żyjącego podobny, oczy miał zapadłe i zamknięte; oddychał jednak swobodnie i zdawał się uśpionym, a mimo choroby i wycieczenia, łatwo było poznać, że nie był starym, i że półwieku zaledwie dochodził. Czarna szata, do habitu podobna, przykrywała go, lecz i ta ciężyć mu się zdawała, bo słabą ręką zrzucał ją z piersi. Czuwał nad nim siedzący przy stole z głową na ręku opartą, człek daleko odeń starszy, ale twarzy pełnéj i zdrowéj, chędogo po szlachecku ubrany; wpatrywał się on troskliwie w oblicze chorego i szeptał cichy pacierz.

Na stoliku stał krzyż drewniany z figurą Chrystusa, leżała gromnica, i kilka flaszek z lekarstwami czy tylko z napojem było tamże na stole, przy kilku prostych miskach glinianych i talerzach, składających cały sprzęt domowy mieszkańca téj chatki.

Dzień wrześniowy pięknéj jesieni miał się ku schyłkowi, i zachodzące słońce rzuciło przez okienko do izdebki jakby pożegnalne wejrzenie na oblicze umierającego tak, że opromienione oblicze to niewymównym zajaśniało blaskiem; a omamiony czy przelękniony czuwający starzec, przeżegnał się z trwogą. Chory zdawał się w téj chwili marzyć coś nadzwyczajnego... oczy miał zamknięte, ale wzrok duszy jego objawiający się częstokroć ciału przed opuszczeniem go na zawsze, snać w tym promieniu słońca, błogosławione jakieś i miłe widział obrazy, bo

konający kilkakrotnie wyciągał przed siebie ręce, i twarz jego cierpieniem zmęczoną, błoga jakaś spokojność i jakby uśmiech okrasiły... Lecz powoli słońce sciągało swój promień, i jakby ostatki życia chorego szły za umykającém się tém światłem, lica jego bledniały, i czoło śmiertelnym oblało się potem. Zważający ze zdziwieniem na to wszystko starzec, rozumiejąc, że nadeszła chwila skonania, brał się do zapalenia gromnicy; — gdy wtém chory otworzył oczy.

Gdzież to było? kto był umierający? i kto czuwający nad nim człowiek? zapytasz czytelniku.

Okolica jałowa i pusta, do któréj cię na pierwszéj karcie téj powieści wprowadziłem, była natenczas gęstym zarosła la-

sem, a od gościńca, Czarnym nazwanego, mała jeszcze kołowinka zawracała się na prawo, i wiodła do kaplicy, któréj dach dla tego z traktu widzieć można była, że zbudowaną była na wzgórzu, a zatém przewyższała otaczające ją drzewa. O kilkadziesiąt zaś kroków od kaplicy, w głębi puszczy stała chatka przeznaczona z początku dla szpitalnika jakiego, mającego strzedz ścian kościołka, lecz zmieniona w domek pustelniczy, gdy się zdarzył człowiek z powołaniem samotnego pustelnika, który go zająć pragnął.— Umierającym teraz w téj chatce był właśnie pokutnik ten, a raczéj pustelnik od lat pięciu w niéj zamieszkały; a strzegący go starzec był pan Chojecki, właściciel tego miejsca, syn fundatora kaplicy, a ojciec dzisiejszego w niéj zakrystyana, u którego gościłem.

—Spałeś bracie Danielu? rzekł Chojecki.

— Czy spałem?... nie wiem.— Sen to był... czy tak marzenie.... albo też... ach o Boże! mamże być ofiarą na odkupienie grzechów całéj mej rodziny!... Tak!tyś o Jezu odkupił grzechy całego świata!... dziéj się wola twoja— widziałem ich... widziałem rodziców moich... widziałem dziadów i pradziadów...wyciągałem ku nim ręce moje...

Chojecki niepewny czy chory majaczy, czy w rzeczy saméj miał jakieś widzenie, w które wiara powszechniejszą natenczas była, i świadek zmian jakie się z nim działy, a więc rzekł:

Bracie Danielu, miałżeś objawienie jakie?

—Objawienie—tak, objawienie się tych z którémi się wkrótce połączę... Ja nie śmiem mniemać, że Bóg cud ten dla mnie niegodnego uczynić raczył... że zesłał na utwierdzenie nadziei moich, na pociechę ostatniéj méj godziny duchy rodziców i

przodków moich w światłości niezwyczajnéj, wzywające mię do siebie po nagrodę za cierpienie i pokutę, na którą w tém życiu za nich ponieść byłem widać przeznaczony... Oh! i za własne grzechy!

Chojecki aż drżeć zaczął, myśląc że w promieniu słońca były duchy, których on tylko co nie widział.

Pochowaj mię ojcze,— mówił daléj chory,— boś mi był ojcem przez te lat kilka którem tu przebył, w bramie kościelnéj: niech ludek Boży przechodząc przez nią na nabożeństwo, i depcąc koście moje, zmówi za duszę moją, *wieczne odpocznienie.*

—Ale mój bracie, rzekł *Chojecki*, jeżeli taka wola Boska abym cię pogrzebał, toć i na kamieniu grobowym wykuć zda mi się trzeba imie i nazwisko twoje, aby pobożni wiedzieli za kogo mają się modlić; a ja dotąd nie wiem jak się nazywasz, ani kto jesteś? Jeżeli za życia miałeś mo-

że przyczyny dla których taiłeś swe nazwanie i życie, toć jeżeli czujesz że cię Bóg rychło do swéj chwały powoła, nie powinieneś zostawić na ziemi jakiejś wątpliwości o sobie. Byłem świadkiem twojego świątobliwego żywota, twéj pokuty, twych umartwień i maceracyj ciała, twéj najgorliwszéj codziennéj pobożności. Pomimo ukrywania się twojego, pomimo zaparcia się samego siebie, i pokory twéj pustelniczéj i żebraczéj, łatwo mi było poznać i dociec, żeś nieubogo ani podło urodzony; że wychowanie twe brałeś po szlachecku, a może i po pańsku, bo zkądżeby ci wielkie i głębokie wiadomoście nauk, z któremi niekiedy mimowolnie się wydawałeś; wiek twój dalekim jest i teraz jeszcze, a tém bardziéj gdy tu wchodziłeś, od tego w którym człek ucieka od świata: słowem, wszystko mię przekonywa, że cię w tę pustynię jakiś szczególniejszy los czy

nieszczęście zagnało.— Nie mam ja prawa do twych głębszych tajemnic, może na sumieniu twém leżących, bo sumienie każdego do Boga należy, a twoje otworzyłeś zapewne na spowiedzi przed kapłanem; ale zdaje mi się bracie mój, że przynajmniéj powiedzieć mi powinienbyś ktoś jest? Przemieszkawszy lat kilka prawie razem, razem i codzień modląc się w naszym ubożuchnym kościołku, zjednoczyliśmy się w Bogu i serdecznie; ja stary od ciebie téj posługi spodziewałem się do któréj ty mię teraz wzywasz—Zapłakał stary *Chojecki* i zamilkł.

Chory milczał także przez czas niejaki; zdawał się rozmyślać nad tém czego z uwagą słuchał; łzy Chojeckiego wzruszyły go.— Ojcze—rzekł nakoniec—prawda, zjednoczyliśmy się w Bogu; przez cały czas pustelniczego mego tu życia, doświadczałem codziennie dobrodziejstw

twoich, a w częstych chorobach moich i w téj ostatniéj, nie odstępujesz łoża mojego, Bóg ci niech nagrodzi! Gdy przed nim stanę, błagać będę majestat jego za ciebie i twoich... Chcesz koniecznie wiedzieć ktom jest? dobrze, niech żadna wątpliwość nie łączy się do wspomnienia twego o mnie, abyś mógł czystém sercem westchnąć za mną do Boga. Za życia wyznać tego nie chciałem, bom się lękał, aby się moje nie wydało i rozgłosiło schronienie, aby świat mi znowu nie zajrzał w oczy i do nowych nie pociągnął zawodów; lękałem się nawet nieprzyjaciół moich; nie dla złego od nich, ale aby ofiarami swemi, do których własne ich sumienie zmuszało i które mi nie raz ponawiali, nie pokuszali mnie. Dziś gdy stoję u progu wieczności, i gdy zaraz go przejdę, znika potrzeba tajemnicy, przed tobą zwłaszcza mój ojcze; na kamieniu

jednak, którym grób mój nałożysz, imie me tylko wykuj, bo te mi chrzest święty nadał, a ludzie nie odjęli.

Nazywałem się Wołkanowski, ale i od tego nazwiska mnie odsądzono.

— Wołkanowski! — przerwał zdziwiony Chojecki — byłżebyś tym, którego process z Radziwiłłami był głośny po całéj Litwie.

— Ten sam jestem.

— Zadawano ci bodaj *imparitatem* (1).

— Nie; zadawano mi i dowiedziono nieprawość urodzenia.

— Jak to? i dowiedziono?

— Tak, według sądu ludzkiego dowiedziono; ale jest sąd inny, przed którym stanęli świętą przed ołtarzem przysięgą złączeni rodzice moi, stanę i ja zaraz i czekać będziemy prześladowców naszych,

(1) Nierówność urodzenia — to jest nieszlachectwo.

a wtenczas Bóg nas rozsądzi... Oby im przebaczyć raczył!

Tu chory słabym głosem i powoli, ale rozmyślnie i jasno opowiadał Chojeckiemu dzieje pobrania się rodziców swoich, któreśmy na poprzedzających kartach przebiegli. Chojecki przerywał mu niekiedy, prosząc aby wypoczął, niekiedy i sam się on zastanawiał, folgując swéj słabości; z kolei doszedł do kresu swéj powieści, na którym my naszą zawiesiliśmy, i tak po rodzicielskich własne już dzieje kontynuował.

Gdy po przebaczeniu ojcowskiém rodzice moi wrócili do Illii, jam miał niespełna półtora roku. Z opowiadań więc tylko matki mojéj, gdym był młodym chłopcem, księdza Daniela, na pamiątkę

którego dano mi to imie, i starych dworzan naszych, dowiedziałem się o téj czułéj scenie, gdy przybywająca i spotkana w ganku przez rodziców córka z dzieckiem małém upadła im do nóg, a obok mąż jéj; gdy rozrzewnieni dziadkowie wzięli na ręce wnuczka i błogosławili mu; gdy dumny starosta ustąpił zupełnie rodzicielskiemu swemu sercu i płakał jak dziecko, a starościna pieściła jak dawniéj swą ulubioną Maryę.

Ale wśród tych uniesień rzekł starosta — idźmyż teraz wszyscy razem do kaplicy, abyście w obliczu Boga i pod błogosławieństwem rodzicielskiém ponowili waszą małżeńską przysięgę.

Nie zważano na znaczenie słów tych; wszyscy ochotnie poszli za starostą do kaplicy pałacowéj, tuż z sieni otwierającéj się — tam ujrzeli księdza Daniela stojącego uroczyście w komży przed ołtarzem

otwartym i oświeconym, a przed nim rozesłany kobierzec.

— Ukochane dzieci! — ozwał się on, ocierając łzą nabiegłe oczy! — Ukochane dzieci! podług praw Boskich i ludzkich, podług praw świętéj religii naszéj, potrzeba jest, abyście ponowili ślub wasz; ja z mocy indultu, który oto trzymam w ręku, gotów jestem spełnić dla was ten święty sakrament— przystąpcie więc.

— Jak to?— zawołał przerażony ojciec mój— czyliż jesteśmy bezślubni? a dziecię nasze? (1).

Matka moja zbladła, chwyciła mię z rąk niańki, tuliła mocno do piersi, jakby się lękając, aby jéj dziecka nie odebrano...

— Nie lękajcie się, dzieci— mówił daléj ksiądz Daniel— nie lękajcie się! rodzice wasi, których sumienie jako kapłan

(1) Treść tego ustępu jest czysto-prawdziwa.

piastuję, was i synka waszego za krew własną, za swego wnuka pierworodnego uznają i błogosławią.

Babka moja wzięła mię natenczas od matki na ręce i utwierdzając słowa kapłana, przycisnęła mię do piersi, oblała łzami i żegnała po głowie. Starosta także przeżegnał mię i ucałował czule—mówiąc— los jego i imie ja biorę na siebie— a ojciec mój nie wiedział co począć?

Wtém ksiądz Daniel, przerywając tę wątpliwą chwilę, rzekł znowu uroczystym głosem: — Dzieci moje! Jesteścież spokojni wewnątrz siebie? jesteścież spokojni w najgłębszych tajniach myśli waszych i waszego sumienia? w najgłębszych modłach waszych?... jesteścież spokojni?...

Na te słowa rodzice moi podnieśli na siebie wzrok łzawy i głęboki... nagle podali sobie ręce i poszli na kobierzec.

Po niejakim wypoczynku chory znowu mówić zaczął.

— Akt ten spełniony przyniósł pokój, szczęście i spokojność w dom starosty; wszystko się rozweseliło i rozjaśniło na jego dworze. Stalewska była mi najtroskliwszą niańką, poczciwy i mądry ksiądz Daniel nauczał mię pacierza gdym dobrze wymawiać zaczął; stary nawet Abraham, pamiętam jak mi przynosił obwarzanki. Rosłem na pieszczotach rodziców i dziadostwa moich— lata szczęśliwe! i tylko te szczęśliwe w mém życiu.

Tymczasem starosta przemyśliwał nieustannie nad sposobem jakby mi swoje nadać nazwisko, a przynajmiéj jakby wątpliwość mojego urodzenia zatrzeć. Trudno to jednak było: nie dla tego aby mu król odmówił, jeżeliby dyplomu na to żądał, lecz że sama prośba o to i staranie jużby mię piętnem nieprawego urodze-

nia plamiło, piętnem, które uprawnić łatwo, zetrzeć niepodobna— przestał więc bodaj na powszechniéj bardzo myśli, że gdy jawne a codzienne uznawanie mnie wnukiem swoim utwierdzi jeszcze własnoręcznym testamentem, nikomu nieprzyjdzie do głowy zaprzeczać mi tego i wznawiać dawno zapomniane dzieje. Z uczynieniem więc takowego testamentu nie ociągał się najmniéj: napisał go kilką laty przed swoją śmiercią, lubo się jéj tak rychło niespodziewał, i wszelką formą prawną utwierdził: a w nim córkę swoją, a moją matkę jedyną swą sukcesorką i mnie po niéj dziedzicem, jako własnego wnuka, naznaczył.

Lat siedm nie miałem spełna, gdy Sołohub życie zakończył. Została żona jego a babka moja, przywiązana do córki jak do własnego życia, a bodaj i bardziéj jeszcze, a przez nią i do mnie najczuléj.

Stan i położenie nasze domowe nie zmieniło się prawie: ojciec mój, za życia jeszcze teścia i z woli jego zajmował się już wszelkim rządem majątków i interesów; spokojniéj tylko było u nas, bo starościna stan swój wdowi i wiek podeszły samotnie pędzić pragnąc, nie ściągała do siebie licznych odwiedzin, dość mając na domowém księdza Daniela, dzieci, kilku sług wiernych i starych rezydentów towarzystwie.

Matka moja od powrótu do rodziców, a podobno od chwili odjazdu od nich, odwykła od wesołości; często owszem piękne swe czarne oko łzą zaćmione na mnie zawieszała... przeczucie czy żal... O! nigdy tego wejrzenia nie zapomnę... i dodał ciszéj — niedawno tém samém okiem na mnie patrzała!!!—Ojciec mój, oddany jéj bez granic i wzajemnie kochany, zarażał się niekiedy od niéj tym smut-

kiem i melancholią, ale częściéj rozrywać ją, bawić i rozpędzać tę chmurę z jéj pięknego czoła starał się.

Wychowanie moje i nauki szły pod okiem i dyrekcyą księdza Daniela. Miałem rozmaitych nauczycieli, ale jemu tylko winienem najdroższą mądrość na świecie, to jest *wiarę i ufność w Bogu*, które mi pod brzemieniem nieszczęść upaść nie dały, i które mię potém tu zawiodły, a ztąd teraz na sąd Boski spokojnie prowadzą. Jużem był dobrym wyrostkiem, gdy się zaczęły z kolei nieszczęścia i straty moje: najprzód poszła babka moja, Sołohubowa; i ona także podobny mężowi swemu zrobiła testament. Illię swą posagową i całą substancyę córce swéj i mnie po niéj zapisując; potém w lat dwa, ojciec mój, młody jeszcze, bo ledwo czterdzieści kilka lat liczący sobie, nagle apopleksyą uderzony, żyć przestał; że zaś

matka moja tak srogie przeżyła ciosy, cud to był prawdziwy miłosierdzia Boskiego i dowód, że miłość macierzyńska pokonać może najsroższą rozpacz, a przywiązać do życia, gdy to życie jest ofiarą dla własnego dziecka. Matka moja tę ofiarę właśnie dla mnie poniosła, a nawet, gdy siły jéj osłabione długą po tych stronach chorobą wracać zaczęły, cała się dla mnie poświęciła, zajęła się rządem majątków i dokończeniem mego wychowania, zawsze przy pomocy i radach księdza Daniela, któremu, Bóg na pomoc nam i opiekę życia przedłużał.

Pod jéj więc czułém okiem wzrosłem na młodzieńca i nakoniec dojrzałem wiekiem i umysłem; przeżyła ona bowiem o lat dwadzieścia męża swego.

Wspomnienie chwili gdy ją straciłem nakoniec, osładza mi tylko w tym momencie przekonanie, że się z nią wkrót-

ce połączę, a nawet wzbudza we mnie żądanie, by się to jak najrychléj spełniło. Został mi więc tylko ksiądz Daniel, drugi mój ojciec...

— A cóż się stało z dziadkiem twym, Wołkanowskim, który wyprawił się był po was w Sandomierskie? — przerwał Chojecki.

— Ha, ja go nie pamiętam, ale wiem, że został on w wiecznym pokoju, tamże w gnieździe rodziny swojéj, i umarł pobłogosławiwszy rodziców moich, swoje dzieci i mnie niemowlę jeszcze.

— Ksiądz Daniel — mówił daléj stary — przeżył zda się wszystkich na to, aby pokrzepiał mnie w duchu, męztwie i cierpliwości chrześcijańskiéj, na smutne wypadki mojego żywota, których początku był świadkiem, i aby mi koniec onego przepowiedział: »Rozbrataż się, synu mój, »z ludźmi i ze światem, a skończysz w Bo-

gu i z Bogiem.« Te były ostatnie jego słowa, które wymawiał żegnając mnie w ostatniéj swéj godzinie, nadeszłéj w chwili, gdy mnie z ojczystego domu wypędzono.

Póki żyła matka moja, nikt jéj praw jako jedynéj dziedziczki nie zaprzeczał, ani się mieszał do jéj majątków, ani do dóbr Sołohubowskich, których była dożywotnicą; ale jak tylko ona oczy zawarła, wnet publiczne manifesta rzuciły na jéj imie czernidło, a na mnie wzgardę i hańbę. Rozżalony zmazą pamięci matki, bardziéj niż własną krzywdą, rzuciłem się na mych nieprzyjaciół, zapamiętały — ale bezsilny — któż w Litwie pokonał Radziwiłłów? a z drugiéj strony po dziadowskie majątki szli Sołohubowie.

Główna treść sprawy téj i procesu mego z krewnymi dziadów i matki mojéj, dziś po kilkunastu latach zapomniana, głośną natenczas była po całéj Litwie;

sprawiedliwość, a nawet politowanie ludzi poczciwych, było po mojéj stronie, ale prawność i przemożność były przeciw mnie. Wsparty dwóma testamentami, dziada i babki, broniłem mojego dziedzictwa i imienia, a tém samém i dobréj sławy rodziców: to jest usiłowałem powrócić, jako prawy dziedzic matki mojéj i syn prawego jéj małżeństwa z mym ojcem, do majątków, z których mię zaraz na początku siłą i przemocą wygnano. Proces to więc był razem duchowny i świecki: upadek mój w pierwszym wiódł za sobą niewątpliwy upadek i w drugim; dowodzono nieprawność i nieformalność pierwszego ich ślubu, lecz mimo silne przeciwników moich wpływy, ważność dobrowolnéj przysięgi przed ołtarzem, w obec licznego ludu spełnionéj, możeby przez sumiennych kapłanów, rozbierających ten spór dotkliwy dla mnie, i uzna-

ną była; ale ślub drugi nikczemnił powagę pierwszego (1) i mnie tém samém odejmował imie, dziedzictwo, mienie i wszelkie prawa dobrego urodzenia i szlachectwa, słowem, to wszysko, co jest najdroszém człowiekowi żyjącemu wśród ludzi.

O jakżem był biédny natenczas! sam jeden, bez nikogo na świecie, któryby mi jakiekolwiek przyniosł pocieszenie, żebrak, z pana; do kogóż się udać i czyjéj wzywać mogłem opieki? Wszakże przeciwnicy moi, sumieniem, czy wspaniałością wzruszeni, ofiarowali mi znaczną summę; mógłbym oddaliwszy się gdzieś w obce strony, spożywać kawałek chleba, ale chleba okupionego hańbą tych, którzy mi dali życie... nie przełknąłbym żadnego zeń kęsa bez gorzkiego przypomnienia, żem

(1) Treść rzeczy zupełnie prawdziwa.

przedał sławę rodziców moich. — Nie — odpowiedziałem zatém ofiarującym mi pieniądze — nie! precz mię kusicie? wyrok ostateczny nie zapadł jeszcze — Appeluję. — Dokąd od *nuncyatury* (1) i *trybunału?* — zapytywali mnie z zadziwieniem. — Tam! — rzekłem i wskazałem ręką w niebiosa. Zostali w osłupieniu — ale... nie zapomną téj chwili.

Przestał znowu mówić Wołkanowski, jako i pierwiéj kilkakrotnie odpoczywał wśród długiego opowiadania; siły mu ubywały, słabiał coraz widoczniéj, ale się wzmagał, zatrzymując jakby w sobie ostatnie tchnienie do ostatniego słowa swéj powieści.

Odwilżywszy usta kilku kroplami wody, znowu więc zaczął.

---

(1) *Nuncyatura* — najwyższa juryzdykcya duchowna, prezydowana przez Nuncyusza Papieżskiego.

Tymczasem słowa mego opiekuńczego ducha, słowa ostatnie księdza Daniela, odzywały mi się nieustannie w duszy: »Rozbratasz się z ludźmi i światem, a skończysz z Bogiem i w Bogu.«

Słowa te naprowadziły mię naturalnie na myśl ukrycia się w jakim klasztorze i przyjęcia ślubow zakonnych. Zaprobowałem;— kilka miesięcy przebyłem pod przyswojoném imieniem w jednym z najsamotniejszych klasztorów, ukrytych w głębi lasów poleskich; ale nie— i tu mi było za ludno, i tu mię ciekawość i domysły ludzkie ścigały, a udręczała tęsknota za rodzinném powietrzem i niebem, za mogiłami rodziców moich.

Został mi jeszcze mały zapas od znacznéj gotówki, którą po matce znalazłem, a która wszystka po wygnaniu mojém z Illii, na długie processa i podróże, na mieszkanie po miastach powiatowych i

wojewodzkich, i na przeżycie wysypała się; kupiłem konia więc i zabrałem się na wózek, kierując bez celu, ale ku tym stronom.

Zachorowałem w drodze.—Ty wiesz ojcze jako biednego, a prawie konającego podróżnego znalazłszy w téj chatce, do któréj ledwo się przywlokłem, na opiece staruszki kalekiéj, tu przy kościołku natenczas żyjącéj, uratowałeś mi życie staraniem twojém; lecz się zadziwiłeś, gdy przyszedłszy do zdrowia, oświadczyłem ci postanowienie moje zostania tu pustelnikiem na resztę mego żywota. Przyczyny mego postanowienia i imie moje zataiłem przed tobą; tyś ojcze, ustępując mi chętnie tę chatkę, nie nalegał i zostawił czasowi i bliższemu poznaniu mię, odkrycie méj tajemnicy i powodu mego pustelnictwa, luboś się domyślał, że powód ten nie mógł być ani zwyczajnym

ani pospolitym. Dzisiaj wiesz wszystko; mamże ci jeszcze wyznać przyczynę, która mię do téj chatki przywiązała? dla czegożbym jéj nie powiedział— I po krótkiém zastanowieniu mówił: Tyś człek pobożny i bogobojny; ty wierzysz w widome cuda, które niekiedy Bóg z miłosierdzia swego ludziom objawiá; nie raz czytając razem żywoty świętych Pańskich, moc Boską i łaskę chwaliliśmy pokornie; a więc powiem ci— oto gdym tu leżał, w chwili zupełnego po gorączce osłabienia, ujrzałem przy sobie księdza Daniela...

— Możeś zasypiał i marzył, jako i teraz cóś podobnego z tobą było— przerwał Chejecki.

— Może... alem go widział tak... jak widziałem teraz rodziców i przodków moich... jasność go natenczas, jako i ich teraz, otaczała; a czy własnémi słowy, czy wewnętrznem natchnieniem, bo tego nie

pomnę ani pojmuję, jako i wtenczas nie pojmowałem, dał mi on posłyszéć czy poczuć w sobie znowu mój wyrok: »Rozbrataj się z ludźmi i ze światém, a skończ tu z Bogiem i w Bogu... Dokonywam dziś i spełniam ten wyrok.

Jeszcze cię proszę, ojcze, mój — mówił cora z ciszéj i trudniéj — jeszcze cię proszę... pisma i listy matki mojéj do mnie, które znajdziesz w papierach moich... połóż mi na piersiach w trumnie...

Zamilkł.

— A cóż z innemi papierami mam zrobić?— zapytał Chojecki.

— Milczenie.

Wczesny zmrok jesienny zapadł, Chojecki zapalił lampkę i postawił ją na stoliku przy krucifixie; płomyk jéj niepe-

wny niknął w ciemności izdebki,—słabém swém ogniskiem obejmując zaledwo krzyż Zbawiciela, twarz śmiertelną bladością obleczoną, ale spokojną usypiającego pustelnika, i martwiejącą a rozciągniętą na łożu postać jego. A kiedy niekiedy tylko żywiéj błyskając, odsuwał daléj nieco pomrokę i wyjawiał oblicze starca, stojącego u łoża umierającego i ze złożonemi pobożnie rękami cichą szepcącego modlitwę... Tak przetrwał czas niejaki obraz ten— niewzruszony, milczący jakby na tle całunu ponurą fantazyą malarza utworzony...

Nagle podjął on powieki, a w tém osłupiałém oku Chojecki z przerażeniem dostrzegł— *śmierć*— wyciągnął rękę, ujął krzyż ze stolika i do ust go swych przyciskając, zaledwo dosłyszanym głosem wymówił? »z Bogiem... i w Bogu!« drugą zaś ręką chciał wziąść gromnicę, tuż

pod krzyżem leżącą, lecz otrętwiała prawica upadła tylko na nią a ująć jéi mogła.

Zrozumiał chęć tę Choi[illegible] palił więc gromnicę i trzy[illegible] razem z zimną ręką umierającego, litanię do Matki Boskiéj głośno odmawiać począł... Gdy wyrzekł z głębokiém uczuciem—*Patronko konających!*— i po razy kilka powtórzył— *Patronko konających! zmiłuj się nad nami!*— lekkie westchnienie wzniosło pierś pustelnika...

Chojecki skończył litanię, dotknął jego czoła— zdmuchnął gromnicę... i wyszedł— w chatce została *lampka*, słabym pełgająca płomieniem—godło życia ludzkiego— *trup*, godło końca człowieka na ziemi— i *krzyż*—godło wiecznéj jego nieśmiertelności.



Koniec.

A 1800 —
1800

1200/13/16/487

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
195293

Biblioteka WSP Kielce
0058968